

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

kujawy i pomorza 2007

nr 2 (54)

HARTWIG

JUREWICZ

HOFFMAN

DZIEN

KORNHAUSER

BRAKONIECKI

KIERC



Fot. Elżbieta Lempp

Julia Hartwig

Dokąd wędrują

Przybiegliśmy a on tam był
Wśród tłumu pielgrzymów wygnańców uciekinierów

Przynieśliśmy mu prezent w zgniecionej starej gazecie
wziął nie patrząc Spoglądał na nas nieobecny
odarty ze wszystkiego niemy w gorączce

Gdzie podążał? Nie wiedział dokąd
I myśmy nie wiedzieli

Ale wiedzieliśmy że tak ma być
że musi podążać

I my sami byliśmy jak porzucone pakunki
Bez domu i bez żadnej nadziei

W tłumie było wielu zarażonych
świadomych że wkrótce ich nie będzie

Wspaniała pani która znalazła się tu w niewiadomy sposób
siedziała na wysoko usypanej ziemi
z zarzuconą na twarz czarno-białą chustą

Dźwignęliśmy worki jakiejś starej kobiety
złej i zrzędlivej i przenieśliśmy je na następny postój
Jesteśmy teraz zupełnie sami – powiedziałam

I nie był to smutek ale jakby wycie wiatru
który szarpie i gnębi bez powodu
bo taka jest jego natura

Nie wiadomo było czy wyruszymy dalej w drogę
czy zostaniemy tu do końca
Ale tliło się w nas jeszcze coś niewiadomego
i zdaliśmy się na los
nie wiedząc nawet co to naprawdę znaczy

Dajmonion

Przywoływał go nieustępliwie
i pilnował nocą i dniem
bo wiedział
że zawsze gotów jest do ucieczki

Gdy był już stary
otrzymał w zapłacie jego wierność
i absolutne oddanie:

położył się przy jego łóżku
i tym razem
odszedł razem z nim

Gdzie indziej

Którzy szykują się właśnie
by wejść na niebezpieczne tereny poezji
obierają sobie protektorów najwyższego kręgu
ufając że w ich cieniu
łatwiej będzie ukryć nieporadność pierwszych kroków

Ale Pascal Nietzsche Schopenhauer i Spinoza
obróceni do nas tyłem
nie wiedzą nawet że zostali wybrani
pochłonięci myślą o niedokończonych zadaniach

Vincent

Jeżeli szaleństwo ma w sztuce taką siłę
że poraża tego co obraz ogląda
otocz opieką szaleństwo
a nam pozwól wołać żeśmy nie szaleni
lecz pełni boskiej zazdrości która jest zachwytem

Dlaczego jemu właśnie kazałeś płacić za to
że podpalił drapieżnym słońcem
pola pszeniczne i łąki wokół Arles
i zagasił je o zachodzie

Julia Hartwig



Fot. Elżbieta Lempp

Aleksander Jurewicz

Dzień przed końcem świata*

* * *

– To będzie tutaj! – powiedział tato. – Nigdzie więcej nie pojedziemy!

Tego dnia jeździliśmy od rana bryczką wujka Kazika i szukaliśmy naszego miejsca do życia. Jesień i zimę przemieszkaliśmy u wujka, czekając, aż mama na nowej ziemi urodzi moją siostrę. Po Wielkanocy tato zaczął jeździć po okolicach i oglądać domy przeznaczone dla takich jak my. Czasami zabierał mnie ze sobą. Dzisiaj też zabrał. Widzieliśmy już dwa domy w innych wsiach, ale przy żadnym z nich tak ojcu nie zabłyśły oczy. Wcześniej połączyliśmy drogę, pomiędzy brzoźowymi zagajnikami, wjechaliśmy na wzgórze i zobaczyliśmy tę wioskę – wydawała się cicha i senna. Widać było kościelną wieżę, kwitły ogrody. Pokazano nam, gdzie mamy skręcić. Bryczka trzęsła się po wybrukowanej ulicy, jechaliśmy w szpalerze zielonejących lip. Za kościołem wujek zatrzymał konia.

* Fragment powieści, która ukaże się w Wydawnictwie Literackim.

Tato już chyba był zmęczony albo zniecierpliwiony oglądaniem i szukaniem i chciał czym prędzej rozgościć się na stałe i na swoim – z nami i maszyną do szycia. Dom wydawał się niepozorny, jakby zapomniany pośród gruzów i chaszczy dzikiego sadu. Nie było płotu, okien i drzwi, studni też nie było. Ale zarośnięty sad był jednak pięknie rozkwitnięty, jeszcze nie wiedziałem, że niedługo, jesienią, będę zrywał w nim owoce, a dom będzie pachniał śliwkowymi powidłami. Jeszcze nie wiedziałem, że akurat w tym domu rozpoczniemy drugie życie i pół wieku później wśród jego ścian będę usiłował wskreszyć wiosnę 1958 roku, gdy wszystko wtedy było dopiero na początku i z całej siły powstrzymuję się, żeby tamtemu chłopcu nie odbierać nadziei, że tutaj nareszcie będzie spokojnie i szczęśliwie, a ten kwitnący sad szybko przestanie być przeczuwanym rajem. Nie był to dom taki, jak u babci, podwórko też nie takie i domy inne niż w Krupowie, kościół był tutaj cały z kamienia. A szkoła już zupełnie jak nie szkoła; akurat wybiegły z niej na przerwę dzieci, dla których wkrótce będę „kacpem”, a które teraz z ciekawością przyglądają się naszej bryczce, bo prawie nikt już bryczką nie jeździ.

Brnęliśmy przez wszystkie trawy, pośród zeszłorocznych liści, depcząc zgniłe jabłka i gruszki. Ojciec niczym detektyw szukał jakichś śladów, widocznych tylko dla niego znaków i wskazówek, które doprowadzą do dobrego finału. Często przystawał, zamyślał się i rozglądał dokoła, jakby stracił orientację. Od czasu do czasu coś mówił do siebie, jak gdyby kogoś nieobecnego przekonywał albo o coś z tym niewidzialnym się spierał.

– Na pewno tutaj muszą przylatywać żurawie – powiedział, wdychając mocno powietrze z łąk.

Jak tato odgadnął, że tutaj muszą przylatywać żurawie, bo na drugi dzień po naszym sprowadzeniu się zobaczyliśmy odlatujący klucz żurawi, a potem następne?

Za naszym przyszłym ogrodem, a raczej za chaszczami, wśród których rósł i laskowy orzech, i głóg, i karłowaty kasztan, zobaczyłem znajomą chatę krytą strzechą prawie wrośniętą w ziemię, a za nią na strzesze sto-doły w gnieździe stał bocian. Z komina unosił się dym, a więc ktoś tutaj mieszkał.

– Widzisz, tu chyba muszą mieszkać ludzie od nas, świat jest nieduży.

– To ktoś, tatko, przyjechał ze swoim domem tak jak ty z maszyną do szycia?

Ojciec tylko się zaśmiał i pogładził mnie po włosach.

– Podoba się tobie tutaj?

– A Niemców tutaj nie ma? Babcia przecież mówiła, że...

– Gdzie tobie tutaj Niemcy! – przerwał mi jakby zniecierpliwiony. – Wiadziałeś, jak jechaliśmy koło cmentarza? Tam może jeszcze oni są i niech sobie będą.

– Tutaj i cmentarz jest?

– To porządna wioska. Wiesz, tak dziwnie mi się zrobiło, kiedy ją pierwszy raz z daleka zobaczyłem.

– A mamie i Grażynce się spodoba?

Pod okap nadlatywały jaskółki, lepiące nowe gniazda. Tacie i wujkowi udało się odchylić deski, które zagradzały przyszłe drzwi wejściowe do domu, a płomień lampy karbidowej zniekształcał nasze cienie na ceglanych ścianach, jakby tutaj przeniosły się wszystkie stwory z dziadkowych opowieści. Wtedy wszystko wydawało mi się duże, wysokie i trudne do zrozumienia, że to jest dom, że tutaj można mieszkać, że właśnie my zamieszkamy. Jak poszukiwacze skarbów posuwaliśmy się ostrożnie po glinianej polepie. Światło lampy wyłuskało uczepionego deski, zakrywającej okienny otwór, martwego nietoperza.

– No nie, Michał – kręcił głową wujek Kazik, gdy wyszliśmy na słońce.

– Jeszcze mamy kilka adresów do zobaczenia.

– To będzie tutaj! Nigdzie więcej nie pojedziemy!

– W gruzach będziesz żył, jak po bombardowaniu?

– Tu naokoło żyją ludzie, ty tylko popatrz. Co ja mówię ludzi, Kaziuku, to przecież klienci!

– Ale tu nie ma doprowadzonego światła? Jednak tam poprzednio było lepsze miejsce.

– Widzisz, że wszędzie stoją słupy, to i tutaj też założą światło.

– Ale kiedy założą? Wiesz, jak to jest, lata miną...

– Koniec tułaczki! – przerwał zdecydowanie tato. – Ja dla słupów elektrycznych do Polski nie przyjechałem.

Wujek chodząc wzdłuż domu kręcił głową i kłął po cichu.

– Ty tylko zobacz, tam u nas też po sąsiedzku była i szkoła, i kościół.

– Ale poprzednio wszystko było przygotowane. I elektryka, i podłogi, i okna, płot tylko był pochylony, bo poniemiecki.

– Koniec tułaczki, mówię tobie po raz ostatni – powtórzył tato, przeciągając dłoń po kruczoczarnych włosach, które w słońcu zdawały się mienić granatowo, jak wieczorne niebo. – Dawaj, pojedziemy obejrzeć całą wioskę.

W bryczce tato popadał w coraz większe zamyślenie i jakby jego myśli obojętnie ślizgały się po płotach, dachach, kasztanowej alei przy starym huczącym młynie.

– Pojedziemy jeszcze w inne miejsca? To tylko cztery kilometry stąd – bryczka przystanęła.

– Nie, nie pojedziemy, zawracaj! Tak widać pisane, że to będzie tutaj.

– I studni nie ma – zniechęcał wujek.

– Spokojna twoja głowa o studnię. To pierwszorzędne miejsce – tato użył swojego ulubionego słowa, co znaczyło, że już postanowił ostatecznie.

Chyba to była jedna z tych improwizacji ojca, o której skutkach albo jej natychmiastowych efektach, nie myślał. Czy to kształt przepływającego obłoku, z którego odczytał jakiś wiadomy dla siebie znak, znajomy z jakiegoś dobrego wspomnienia zapach wiosennego ogrodu, wyrosły po sąsiedzku dom ze słomianą strzechą, który stał się na chwilę pocieszeniem, że tak daleko nie odjechał od swoich stron, zdecydował o wyborze takiego miejsca? A może akurat nie to, ale coś innego i pozostanie to wieczną tajemnicą, której on – sprawca tego wszystkiego, także konsekwencji, które będą miały ciągi dalsze w innych pokoleniach – nikomu nie zdradził. A jego szycie. Czyż w wielu zaskakująco efektownych realizacjach nie było improwizacją? Przecież miałem zawsze najnowszy krój spodni, chociaż w pracowni nie widziałem nigdy żadnych gotowych wykrojów. A czapki „degolówki”, modne przez jakiś czas? Nie dość, że to diabelstwo było skomplikowane do noszenia, więc co mówić o ich uszyciu – a do ojca przyjeżdżali chłopaki z miasta, kierowani przez ojca kolegów – krawców, jako do fanatyka szycia czapek. A zagraniczne metki, którymi ozdabiał garnitury, chociaż nie każdy był nimi honorowany? Gdy po półwieczu przepatruję jego życie, jego wybory i raptowne, często ryzykowne decyzje, aż po jego koniec, który okazał się wielką, ale i ostatnią improwizacją, to widzę w nim konsekwencję, improwizowany sens, tak chciał, tak żył...

Już następnego dnia pojechał do urzędu w mieście i wrócił po paru godzinach z wytatuowanym stemplami dokumentem, który niczym relikwie

położył u wujka na stole i często wpatrywał się w niego, jak podróżnik w mapę przed wyruszeniem w długą, pełną niewiadomych wyprawę.

Mając już urzędowe pozwolenie do legalnego wchodzenia na bezpańskie do niedawna podwórko, zaczął tam jeździć rowerem coraz częściej. Niekiedy towarzyszył mu któryś z braci albo szwagrów. A ja układałem nasz przyszły dom w marzeniach, z którymi nie miałem, ale i też nie chciałem, z nikim się podzielić. A kiedy czasami z nim tam jechałem, dom rozrastał się we mnie, byłem szczęśliwy i przestraszony, jeszcze nie wiedziałem, co to jest strach przed życiem.

Powoli zaczynało się tutaj zmieniać – położono tynk i pomalowano go na białą, przywieziono deski na podłogi i brązowe kafle na piec. Tato niestrudzenie stawiał, a raczej wypłatał kunsztownie drewniany płot, jak ten zostawiony u dziadków, a takiego płotu u nikogo we wsi nie było. Trawa w sadzie była skoszona i pierwszy smak zrywanych z drzewa wiśni gdzieś musi się przechowywać w głębinowych studniach pamięci. W miejscu, gdzie przyszłą wiosną mama posadzi cebulę, buraki, kapustę i astry, teraz rosły dziki koper, łopiany i perz. Zerwałem, żeby pokazać mamie, piękny, zielony liść chrzanu.

Któregoś razu akurat trafiłem, gdy robiono schody i momentalnie przypomniało mi się, że jeszcze niedawno w innym miejscu i przy innym domu patrzyłem, jak dwóch murarzy wygładza beton nowych schodów i, wykorzystując ich nieuwagę, odcisnąłem w nim swoją stopę, a potem tłumaczyłem się, kiedy zaczęli na mnie krzyczeć, że będzie to pamiątka po mnie; czy mnie tam jeszcze kto pamięta, czy wspomina?

Nasz przyszły dom nabierał życia, ale jeszcze brakowało mu tego, co jest jego oddechem – jeszcze tylko brakowało mu dymu z komina.

Na początku września, gdy skończyło się długie deszczowe lato, nareszcie się przeprowadziliśmy. Jechaliśmy tutaj jak Cyganie – w cztery wyładowane wozy, a przodem w bryczce jechała mama z kilkumiesięczną Grażynką. Było niedzielne przedpołudnie i nasz niecygański tabor wzbudzał ciekawość, kiedy przejeżdżaliśmy przez inne wioski. Tutaj akurat skończyła się msza w kościele i młody ksiądz Król przyszedł do nas z kropidłem, a mnie dał święty obrazek; wtedy chyba po raz pierwszy zobaczyłem, jak wygląda anioł. Siostra na przywitanie rozplakała się i długo nie można było jej uciszyć. Przy furtce witał nas, szczekając radośnie, czarny kudłaty piesek, którego parę dni temu przyniósł jeden z sąsiadów. Mamie ciekły

ły z oczu i żadnym sposobem nie mogła ich powstrzymać. W małym pokoju, który zostanie pracownią krawiecką ojca, stały już szafa i solidny stół – wszystko poniemieckie, odkupione od tutejszych. Na naszym podwórku było gwarnie i tłoczno, śmiech mieszał się z parszaniem koni, brzęk kuchennych sprzętów ze szczekaniem Miśka, który za kilka tygodni zaginie bezpowrotnie; tak tłoczno, ale smutnie, będzie na tym podwórku dopiero za kilkadziesiąt lat. Maszynę do szycia, jak jakąś królową, wniesiono na końcu i wybrano jej miejsce przy oknie.

Nadchodził wczesny wieczór, gdy zostaliśmy sami. Dom i my oswojaliśmy się nawzajem. Podłogi, ściany, klamki u drzwi, szyby i krzyże okien, sufity z pustym miejscem na żarówki i żyrandole uczyły się naszych głosów, oddechów i kroków. Tak było na początku. Mama rozpałała pod kuchnią i po chwili pierwszy ogień pojawił się w palenisku. Tato wbił gwóźdź i powiesił na nim naftową lampę. Zaczęło nas otulać pierwsze ciepło. Filował knot lampy i długo nie czekaliśmy, a z jakiegoś ukrycia albo wspomnień, nadfrunęła ćma. Trzaskały smolne bierwiona i pachniała żywica. Ćma usiłowała dosięgnąć płomienia.

Wyszedłem przed nasz, już nasz dom. W górze pulsowały cierpliwe gwiazdy. Z komina unosił się dym, do nieba szedł dym z naszej kuchni.

Przed Bożym Narodzeniem listonosz przyniósł pierwszy list od babci Malwiny.

* * *

Skąd dowiedzieli się o śmierci ojca i zjawili się niespodziewanie pod wieczór? Widziano, że nadeszli od strony wzgórza za jeziorem. Weszli jakby ukradkiem i zatrzymali się niepewnie w drzwiach kaplicy. Stanęli ściśnięci, niczym stadko przestraszonych ptaków, i z pochylonymi głowami czekali, aż ucichnie żałobne zawodzenie staruszek. Przez uchylone drzwi zobaczyłem osuwające się za wzgórze słońce, pokryte koronkami wrześnieowej mgły, a może wczesnym babim latem.

Pierwsza ośmieliła się Weronika, a po chwili za nią, jak gdyby byli połączeni niewidzialnym łańcuchem, Kołowaty, Waldek i Ali Baba. Mimo wielu lat niewidzenia rozpoznałem ich od razu; nawet niewiele zdążyli się postarzeć. Stanęli półkolem u wezglowia trumny. Do zapachu śmierci i tłących się świec wnieśli zapach jakby dalekiej, nietutejszej mgły, jakiejs

cierpkiej wilgotności nieznanego końca lata. „Wieczne odpoczywanie, racz jemu dać Panie...” – zaczęła Święta, zagłuszając niewybrzmiałe echo żałobnych płaczek, z każdym słowem wznosząc się na czerwonych, łuszczących się pantoflach i kierowała ku górze hipnotyzujące, błagalne spojrzenie, pewnie wierząc, że otworzy się sufit kaplicy i będzie się modlić wprost do nieba. Pozostali zaczęli dołączać do modlitwy, która jakimś cudem przechowywała się w ich wariackiej pamięci. Czynili to jednak z nieśmiałym roztargnieniem i tylko Ali Baba nie nadążał za nimi, przyzwyczajony całe życie do twistowej frazy. Po policzkach Kołowatego wolno, wolno spływały łzy i ściekały na zużyty przeciwdeszczowy płaszcz. Waldek przestępował z nogi na nogę, gniotąc w rękach czapkę, może tę, którą uszył mu kiedyś ojciec.

Mama wpatrywała się w wariatów z woskową twarzą, owijając bezwiednie ziarenka różańca wokół palca, na którym przestawała złocić się niepotrzebna już obrączka. Wariaci zamilkli, nie mogąc przypomnieć sobie drugiej zwrotki modlitwy i znowu ten dziwny powiew chłodu, niczym ciężkie westchnienie kogoś niewidzialnego, przemknął po ścianach, płosząc ogniki dopalających się do końca świec. Dzisiaj nie pamiętam, czy to wtedy, czy niedługo później poczułem dławiący, nieznany mi dotąd strach przed czymś nieznanym, chociaż oczekiwanym, i ten strach powraca do mnie coraz silniej z biegiem czasu. I chyba już wiem, chyba na pewno wiem, czego się boję. Wiem już, że wtedy opadła na mnie niewidzialna pętla, która zaciska się coraz dotkliwiej.

Usłyszałem ostatni pociąg do miasta, lecz nie zagwizdał jak zawsze, kiedy zbliżał się do przejazdu i przetoczył się koło cmentarza tak cicho, jak nigdy. Przypomniało mi się, że ojciec zamierzał zostać konduktorem i przez moment wyobraziłem sobie, że teraz leżałby w kolejarskim mundurze i służbową czapkę na piersiach, a skądś dolatywałyby do katafalku dźwięki kolejarskiej orkiestry, szykującej się do ojca pogrzebu.

Wariaci z zakłopotaniem spoglądali po sobie, nie wiedząc, co dalej powinni robić. Weronika przetrząsała zakątki pamięci, szukając dalszego ciągu żałobnej modlitwy, lecz tylko bezradnie poruszała ustami. Tylko Waldek nie przejmował się nagłą ciszą, bo od jakiegoś czasu maniakalnie wpatrywał się w leżącego ojca i, to mrużąc, to rozszerzając z niedowierzaniem oczy, prawie przechylając się nad głową zmarłego, zatopił spojrzenie w przeguby złączonych na piersiach rąk. Coś niewyraźnie zamruczał do

Kołowatego, a potem z grymasem lęku na twarzy podniósł oczy ku sufitowi kaplicy, z którego zwisał mosiężny żyrandol podobny do koszmarnego pająka, i widać było, że kieruje ku górze wiadome tylko jemu pytania i nie doczekawszy się z wysokości potrzebnej odpowiedzi, kręcąc z nieustannym zdziwieniem głową, znowu wpatrywał się w żółknące ręce mojego ojca. Rozglądaliśmy się między sobą ukradkiem, nie rozumiejąc, co się z Waldkiem zaczyna dzieć i czy czasami nie nadchodzi na niego mgławica wariackiej furii, i co w takim przypadku robić, gdyż męskie siły w kaplicy były o tej porze niewielkie.

Raptem Waldek przerwał łańcuszek wariackiego kwartetu, co nadszedł z niewiadomych pól, żeby oddać pożegnalny pokłon, wcisnął zmiętą czapkę do kieszeni i wysuwając się z szeregu począł skradać się do boku trumny. Mama jęknęła i usiłowała podnieść się z ławki. Stojący obok mnie Karol Guśko zasyczał podenerwowany: „Trudno-świetnie, teges smeges...”. Pamiętałem Waldka jako najspokojniejszego, pokornego wariata, ale przecież czas nie tylko nami, czyli niby normalnymi, potrafi nieźle zawirować, więc mimo psychicznego odrętwienia, w jakie coraz bardziej się osuwałem, byłem gotowy do niepoczytalnej reakcji. A Waldek pochylił się nad trumną, niczym lekarz przystępujący do sekcji zwłok, i przyłożył ucho do przegubu umarłej ręki. Przez chwilę trwał w nieruchomej, boleściwej pozie, jakby żegnał się z kimś naprawdę bliskim, a potem popatrzył z przerażonym zdumieniem na nas i ponownie pochylił się nad ojcem, jakby wciąż czemuś nie dowierzał.

– Człowiek już umarł, a zegarek u niego nadal na ręku chodzi! – oznajmił, wznosząc palec do góry. – Kto powie, jak to możliwe?

– Bo to chyba, Waldek, ruski zegarek – powiedział głośnym szeptem ktoś za mną, ale nikomu nie chciało się śmiać.

– Przecież świętej pamięci był zegarmistrzem – odezwał się flegmatycznie Kołowaty, jednocześnie lękliwie oglądając się ku przymkniętym drzwiom kaplicy.

– Był krawcem, teges smeges, pierwszorzędnym krawcem – nie wytrzymał Karol Guśko.

– Tak, tak, był krawcem, a to jego robota – Waldek zawachlował czapką nad trumną.

– To znak prędkiego zmartwychwstania – Święta uczyniła dostojnie znak krzyża, aż osunęła jej się chusta z głowy.

Ali Baba podszedł do trumny kołyszącym się krokiem i przystawił ucho do przegubu z zegarkiem, i on też z niedowierzaniem rozejrzał się po kaplicy i żałobnikach.

– Zegarek chodzi, cyka, sekundnik kręci się u niego! – wyrecytował jednym tchem.

– Jezus Maria! – jęknęła mama. – Zabierzcie stąd tych durnowatych!

Teraz Weronika pochyliła się nad ojcem, a gdy podniosła głowę, przeciągłym spojrzeniem popatrzyła ojcu w twarz i odchodząc od trumny położyła w nogach zmarłego niewielki bukietek wrzосу.

– Zmartwychwstaniesz, tylko poczekaj troszeczkę... – wypowiedziała odchodząc, zakłęcie teatralnym szepem.

Jedynie Kołowaty błądził nad naszymi głowami zawstydzonymi oczami, że jako jedyny boi się podejść i dawał pozostałym nerwowe znaki, żeby już stąd wychodzić.

A mój umarły tato, jakby usiłował podnieść się na łokciach i półleżąc na swoim ciasnym śmiertelnym posłaniu i chciał popatrzeć przez niedomknięte drzwi kaplicy za odchodzącymi wariatami. I może patrzył, ale patrzył bez jakichkolwiek emocji bez wiary, że patrzy na prawdziwy świat, bo nawet nie drgnęły mu powieki, nie spojrzał na zegarek, nie uśmiechnął się do nas.

W tym czasie wariaci, jak później opowiadano i pamięta się o tym jeszcze do dzisiaj, przebrnęli przez zdziczałą część cmentarza, gdzie rozsiedli się do podwieczorku albo wczesnej wieczery, a może stypy po moim ojcu. Chwilami do cmentarnej poczekalni dochodził stłumiony śmiech Ali Baby albo nagły atak kaszlu Waldka, podobny do łoskotu spadających z nieba kamieni.

I widziałem czwórkę wariatów, jak skosem przez nasze stare boisko doszli do kolejowych torów. Szli nie w stronę domu wariatów, ale posuwali się za zachodzącym słońcem, jak gdyby dogasające słoneczne promienie kusiły ich jakąś nieziemską obietnicą – wypełnianiem lepszego przeznaczenia, a może ofiarunkiem pięknych marzeń.

Jako pierwszy szedł Kołowaty, a nad nim kołysała się gromadka milczących wron, z daleka podobna do falujących na wietrze żałobnych wstążek albo czarna aureola, i Kołowaty wyglądał jak wroni król.

W niewielkim odstępie za nim podskakiwał Ali Baba w cierniowym wianku, niczym wieńcu laurowym, uplecionym z cmentarnego głogu i dzikich róż.

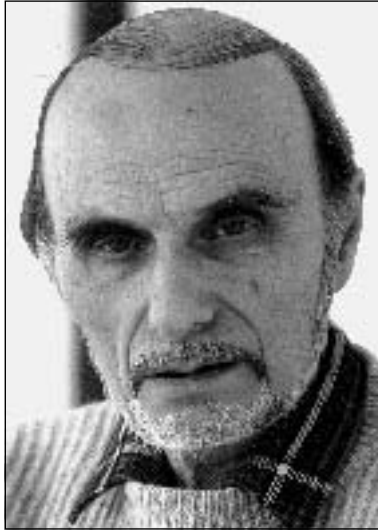
Weronika, z chustą narzuconą na ramiona, szła finezyjnie po kolejowych podkładach jak primabalerina.

Waldek co jakiś czas oglądał się za siebie, jakby czegoś się lękał, a potem wskakiwał na szynę i rozłożywszy ręce usiłował po niej iść, chyba wyobrażając sobie, że za chwilę pofrunie ku zimnym obłokom.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że widzieliśmy ich po raz ostatni.

Tak odeszli, tak zniknęli, ale czemuś mi się wydaje, że wciąż w czwórkę wędrują po świecie i gdzieś ich jeszcze spotkam.

Aleksander Jurewicz



Fot. Archiwum „K.A.”

Kazimierz Hoffman

Odsiew

- przedarłeś obraz. Powód?
- motyw. Przeważył. A miało być:

wyjsć naprzeciw i stop, by
nie przechylić, łamiąc porozumienie nie-
jako, harmonię pomiędzy znakiem a znaczeniem.

Smukała

dzień. Czystość i lekkość

rysunku, rozmach zarazem, jakby ktoś
kapłańskim rozpostarciem ramion ustalał prostą
pomiędzy prawym a lewym wzniesieniem całej okolicy,
pomyślał jej liczbę także, linie i kąty, a potem
w nagłym akcie

połączył w całość, ustalając formę. Nadmiar słów

już? W tym krótkim przecie opisie moreny czołowej,
widocznej jak na dłoni, w klasycznej zgoła proje-
kcji?

a choćby nawet. Nadmiar. Nie, w żadnym przypadku
nie powinien dziwić. Tak było i tak będzie (to
norma), kiedy bujającemu w obłokach
ze wszech miar pogodnej chwili (Moebe), s p r z y j a
widzenie (...) Wzrok pnie się wyżej
i wyżej

pod blask
z wysoka,

a zachwył łaknie utrwalenia.

I lasy,
no właśnie, te lasy wszędzie

* * *

I to jeszcze:

wewnętrzna jakość
każdego przedmiotu, tak. Inscap Hopkinsa

ze swoim „ja”. Chmura, pagórek, drzewo,
głaz, każde z osobna, ze swoim „ja”. Głaz

głaz nade wszystko. Przetrwał
dzieje, był t a m przecie i jest,
trwa. On i piach (popatrz na Gobi). Każde

w sobie, z własnym „ja”. Świadczące pospołu
o wadze Zamyśłu.

Kazimierz Hoffman



Fot. Elżbieta Lempp

Mirosław Dzień

Cytrynowa dolina

1.

Ponad domem obłok-pielgrzym na czele
stada zmierza w dal pamięci. To, co było
mieszka w przywołaniu, w dzikim winie
wzroku, którego kłącza oplątują kamień
i garść pomazanych szlamem śmieci.
Świat uwalnia się z własnego kształtu.
Jest szatą bez ciała, trójkątem bez boków.

2.

Kartki z kalendarza zrywa niecierpliwa ręka.
Czajniczek z kawą, ogryzek jabłka: rzeczy niestrudzenie
pilnują naszych pragnień. Oko czujnego monitora
łapie nas uściskiem boa dusiciela i chce więcej,
wciąż więcej. Tak dopełnia się przeznaczenie
– będziesz cierpieć z powodu kolorów i przepychu dźwięków;
– będziesz lizać świat nie znając jego smaku;

– a ręka twoja szukając ręki, jak powietrze powietrza,
odnajdzie tylko jedną z miliarda ścieżek
w przepastnych korytarzach procesora.

3.

Nic ci nie dadzą te zaklęcia:
wróżki poczuły żar za mostkiem,
tak kończy się czas ich bezkarności.
A krowy patrzą czule na zachodzące
słońce. Zwyczajny żar jest blisko nas,
prawdziwy czar, co wiąże nogi
do rozpulchłej ziemi.

Na skraju mętnych spraw, gdzie przeszczepiona
rogówka łączy się z modlitwą przez internet,
trwa niepisana zgoda. Dzieci są jednak wciąż
tak samo głodne, jak przed tysiącem lat.
Nie daj się zwieść pozorom. Pilnuj szeptu
serca, co zawieść nie może. I kto to mówi?
Spowiednik moczący nogi w miednicy z solą?
Spiker zawodów sportowych? A może guru
od public relations? W tyglu wielu możliwości
skazany jesteś na gest odwagi wzięcia ciężaru
losu do końca, jak skazaniec twarzą odwrócony
do muru i odkrywający nagle intensywną zieleń
mchu, tuż przed przeładowaniem magazynków.

4.

Pędzi wiatr, aż po horyzont
kładzie się dymem śniegu
na autostradzie, gdzie czasem
łądują myśliwce. Wiatr we włosach,
dmuchający w żagiel jachtu i tańczący między
sznurkami z bielizną, na skraju osady.
Ten wiatr, co budzi przerażonych
i nie pozwala skupić się maklerom.

Wiatr na łączach, rozdymający tranzystory,
trzymający w objęciach białe talerze
satelitarnych anten.

Wiatr bez wiatru,
tchnienie z palcem na aorcie ducha,
utrzymujący w równowadze płyny życia
krążące w trzewiach. Wolny w niepoliczalnym
rozdaniu kart, tasujący nasz los.

5.

Położ się na lewym boku
i odgródź od Miasta murem
myśli. Zwilż wargi i oceń przestrzeń
między wiernością a występkiem.
W tym geście proroka Ezechiela będziesz
miał za wzór i jego szuranie sandałów
w pyle wielu dróg. (I opuchnięty lewy bok,
i nieruchome oko wpatrzone w czuły punkt.)

Woła do nas obraz: pusta przestrzeń
w dolinie o cytrynowej barwie.
Klikamy myszką i pryska magia
rzeczywistego. W Mieście parada półnagich
ciał w rytmie rozkołysanych bioder,
w oparach syntezatorów, piszczalek
i bębnów. Pieniądz lepi się do dłoni.
„Jesteśmy wolni” – krzyczą okoliczowani
młodzieńcy napinając mięśnie niczym antyczni
herosi. Stoimy w cieniu podniecenia, wychłostani
różgami wstydu i śnimy puste pole, po którym
przebiegną zające emocji, tuż przed polowaniem.

Mamy nowy wiek i inny człowiek
z nas (gdzieś w ukryciu) uroczyste wzrasta,
pod okiem panów w kitlach z cenzusem
genetyków. On będzie ja, nawet „ja” poprawiony

– bez pieprzyka, zgagi i snów o Sindbadzie.

Na boku – wytartym przez cierpliwość –
połóż się i myśl o Mieście, jak o zarazie,
co nawet kapłanów dopada przed ołtarzem.
W ustach obok cierpkich ziół, przeżuwasz rozpacz
i lęk w imieniu tych, co teraz tylko bawią się.
Modlitwa twa niech będzie płytka niczym oddech
astmatyka. Szeptaj w niej jedno słowo – „Przyjdź”.

6.

Połowa sierpnia. Poeci odpływają łodzią
na inną stronę brzegu, otuleni w blask
swoich miseczek. Nam pozostaje
mrowisko liter i niestrudzona praca.
Są tak daleko, że zdaniem potrącić
można ich w bok, albo zrzucić kapelusz
z siwej głowy. Ich myśli karmią
ptaki, podcinają gałązki jabłonek,
spierają się o porządek bytu. W nas,
młodszych, pieni się ta sama krew
chcąc poznać początek i koniec wszystkiego.
I przeznaczenie rzeczy, które nie zaznały
cierpienia. Kusi nas rzucone ziarno w ziemię
owocujące stukrotnym plonem. Oni mrugają
ze zrozumieniem, słowa chowając na widnokręgu.
A tam znowu pojawia się tęcza: jeszcze jedno
przymierze nieśmiertelnych z nieśmiertelnymi.
Tak się dopełnia paradoks czasu spoczywającego
w bursztynie wieczności. Nie przerwana nitka
przez rzeki, mgielne szuwary, grymas wykrzywionych
ust i perłę księżycy.

7.

Choć śmierć cię także nie ominie,
nie okazuj jej najmniejszej czci.
I zawsze nisko schylaj głowę
przed Świętym Światłem, co

zakrywa cień.

8.

Znaki, same hieroglify do czytania,
podobne kręgom na wodzie obudzonym
rankiem przez nagły wicher. Okulary smaku,
zapachu i w żyłach pędząca tęsknota.
Poradniki tłumaczące sekretny zapis
obzędów. A każdy z nich ma setkę imion,
których pozazdrościłby nawet John Wieri,
gęstym szlaczkiem układający dzieło swojego
życia Monarchia daemonum w 1660 roku
w Amsterdamie.

9.

Nie możesz dotknąć tej ciszy jak dotyka się
ciała kobiety. Nieruchome są dziś wodne
młyny i wróbel studzi w powietrzu
swoje nóżki. Pachnie skoszoną trawą.
Dziewczyny na bok odłożyły koromysła
u stylistki oceniając własną pozycję.

Po zgiełku opada cisza podobna do ciężkiej
kotary po przedstawieniu w teatrze. Powietrze drży
i z wielu barw wytrąca się rzeczywisty kolor –
nieskończenie daleki od czerni.

Siedzimy w postawie lotosu czekając
na siebie. Nie ma lustra i twarzy
nie myjemy wodą. Jest cisza spełnienia,
oraz odkładający się potem na twarzy upał.
Ani cień, ani kurz nie może nam zabrać
tego świata.

10.

ycie czasem gubi spinkę pamięci

w opuszczonym domu głowy, w którym
teraz przeciąg hula od ściany do ściany,
i nie masz niczego na czym mógłby
choć przez chwilę spocząć, choć na moment
zatrzymać swoją uwagę. Albo gromadzi się
pod hełmem młodziutkiego żołnierza,
wysłanego na wojnę w kraju za siedmioma
górami. Potem pieści jasne loki, a pod nimi
jeszcze jaśniejsze myśli, które nagle
spopielają się.

I kiedy włożą tego chłopca
do ziemi, darując zdjęcie z wieczornych wiadomości,
a w przęsło mostu w prowincjonalnym mieście wbiją
gwoździem jego imię, z tych jasnych loków
nie wyfrunie ani jeden gołąb. (Tylko na palcach
matki zakwitną białe kolce.)

11.

On mówi ale słyszać tylko ludzi.
Gorsze to niż zdrada w masce zawsze
pewnego alibi. Pod górę, coraz wyżej upada
obietnica dana łotrowi nie wiadomo, po której stronie
drzewa, utyskującego na okoliczności. Wszystkie słowa
piszemy z małej litery: prawda, życie, piękno. Miłość
i sprawiedliwość zamykamy w najmniejszym pudełku,
którego nie sposób otworzyć. Żadne klucze nie pasują
do tego otworu, dziś pełnego glonów i rdzy.

12.

Od rana po zmierzchu kładziemy dłonie
na grzbietach ksiąg, jak na szorstkiej sierści
osłów, których płacz przypomina nam o niewykonanym
zadaniu. Między regałami ukryty jest lęk
przed przeznaczeniem. Wiedzieć nie wiedząc,
znać nie znając ani dnia, ani godziny
powrotu ptaków w to samo miejsce.

Małe zwierzątka podgryzają pergamin,
rozcieńczają się litery w płynie czasu
niestrudzenie pochłaniającego słowo po słowie.

Tak nam przychodzi dziś śnić
o ładach niedosiętych, o blaskach
w lekkiej wodzie. By w sieci zmarszczek,
jak w popękanych płótnach starych mistrzów,
zespolic trwale ze zniszczalnym.

Kocimi łapkami po klawiaturze
żegna nas dzień.

Jaśniejszy punkt ontologa

Tars na wieki zwiąże ze swoim
Imieniem. Obywatel Imperium Romanum,
wierzący w sprawiedliwość i prawo.
Z wysokiego rodu najmłodszego syna
Jakuba. Ogień jego umysłu – powiadają
skrupulatni biografowie – nigdy nie wygasł
lecz spalał się czystym płomieniem.

Poza czasem w trzecim niebie bywał.
Świadek słów, których nie wolno powtórzyć,
jak nie powtarza się tajemnicy, która musi
pozostać poza ostrzem sylogizmu.

Nie wiadomo

co robił w Arabii przez trzy lata. Zgłębiał sekretną
naukę Wschodu? Kontemplował sypiący się piasek
przez palce, by poznać, że wiara jest ważniejsza
ponad wszystko i wieczności nie można nabyć
złotem uczynków? A może w chłodne wieczory
widząc oddalające się wielbłądy z karawan, studiował
języki ludzi i aniołów?

Małe zwierzątka podgryzają pergamin,
rozcieńczają się litery w płynie czasu
niestrudzenie pochłaniającego słowo po słowie.

Tak nam przychodzi dziś śnić
o ładach niedosiętych, o blaskach
w lekkiej wodzie. By w sieci zmarszczek,
jak w popękanych płótnach starych mistrzów,
zespolic trwale ze zniszczalnym.

Kocimi łapkami po klawiaturze
żegna nas dzień.

Jaśniejszy punkt ontologa

Tars na wieki zwiąże ze swoim
Imieniem. Obywatel Imperium Romanum,
wierzący w sprawiedliwość i prawo.
Z wysokiego rodu najmłodszego syna
Jakuba. Ogień jego umysłu – powiadają
skrupulatni biografowie – nigdy nie wygasł
lecz spalał się czystym płomieniem.

Poza czasem w trzecim niebie bywał.
Świadek słów, których nie wolno powtórzyć,
jak nie powtarza się tajemnicy, która musi
pozostać poza ostrzem sylogizmu.

Nie wiadomo

co robił w Arabii przez trzy lata. Zgłębiał sekretną
naukę Wschodu? Kontemplował sypiący się piasek
przez palce, by poznać, że wiara jest ważniejsza
ponad wszystko i wieczności nie można nabyć
złotem uczynków? A może w chłodne wieczory
widząc oddalające się wielbłądy z karawan, studiował
języki ludzi i aniołów?

Jedno jest pewne:
po Damaszku świat przestał mu wystarczać,
i nic nie było już takie, jak dawniej.

Zmieniał ciągle miejsca pobytu zaopatrzony w kij,
tobolek i przyjaciół: Barnabę, Tytusa Greka i Łukasza.
Podróże, ciągle podróże, niezliczone imiona wybranych,
wszystkie odcienie zieleni traw i drżącego w powietrzu,
kurzu, obolałe stopy z pęcherzami, a nawet zatopiony
przez burzę okręt i dryfowanie po niespokojnej
fali morza Jońskiego. Wreszcie długie tygodnie
wyplatania namiotów, kozi ser i słońce na czole;
gorączka wypełniająca trzewia, stojąca jak oścień
w myślach, w których rodziła się pewność niemożliwego,
wbrew sile rozumu. Jak choćby to, że żyje w nim Pomazaniec
wydobyty na zawsze z jeziora śmierci. Ten, co ujął
w otchłani skostniałą z zimna rękę Człowieka i ożywił.
A teraz jest w pulsie, we włosach, rozpycha się
w porach na twarzy, oddycha w każdym płacie płuca,
i jest w literze, w podniesionym palcu, bólu nerek
po nocach spędzonych w przygodnych gospodach.

Najgłębszą studnią, w której dyskutował ze światem
próbując rozpoznać jego odbite światło były listy.
Pochyłe zdania zapisane w języku Platona, w których
zamieszkał Boży Duch. Ten zaś prowadził go po świętych
manowcach, raz po raz puszczając oko w stronę otwartych
jak okno na oścież, żrenic.

Bądźmy wyrozumiali
dla jego szaleństwa, pijąc zimnego drinka w barze,
z wytatuowanym zwyczajem sceptycyzmu
na opalonym ciele. Nie oczekujmy więcej od jednego
życia przebitego światłem, prócz wierności –
zatracającej się w jasnym, jaśniejszym od innych punkcie.

Intryguje mnie stan jego umysłu, na przykład w Koryncie,
kiedy wpatrzony w łuny gasnącego dnia (kiedy kwiaty

figowców przybierają ciemną barwę), pojął, że woda
naznaczenia jest wejściem w krainę śmierci, i trzeba żyć
trzymając ją za rękę, mocno, boleśnie. Do dziś
nie uporaliśmy się z tą aporią: pustym miejscem
po czymś oddechu, milczącym telefonem, z brakiem
niewytłumaczalnym i nie do wybaczenia.

Za gorliwość ontologa zapłacił najwyższą cenę:
wysmianie na Rynku.

Nawet w więzieniu,
przy nikłym płomieniu z oliwnego kaganka,
myśl jego biegła do Tymoteusza, nakazując
pokój i cierpliwość serca. Prosił o opończę
na zimę i swoje ukochane pergaminy.
Opuszczenie przez przyjaciół, (poza czułym
do końca Łukaszem), uznał za rzecz



Fot. Bogdan Krężel

Julian Kornhauser

Gordon z książką w ręce*

Siedział w Migrenie od dłuższego czasu, popijając kawę. Na Gołębiej przesuwali się krokiem szybkim lub statecznym studenci i profesorowie, znajomi redaktorzy i stali bywalcy tutejszych knajpek. Nie mógł oderwać się od myśli, że powieść, którą zaczął pisać, prowadzi go na manowce. Owszem, zarysowana sytuacja na temat rękopisu, nie była wcale taka zła, choć wymyślił ją znienacka, właściwie od niechcienia, ale niebezpiecznie oderwała się od pierwotnego zamysłu, by bohatera umieścić w abstrakcyjnej, borgesowskiej przestrzeni. Ta wątpliwość pojawiła się niemal od razu, po napisaniu pierwszego fragmentu. Przeczytał go ze trzy razy i odczuł jakąś jałowość rozmowy między Hubertem a Basterem. Prowadziła donikąd, była zawieszona w niebezpiecznej próżni. A przecież chciał tak naprawdę zacząć od czegoś innego: od zaczytania się bohatera w jakiejś bogatej fabularnie powieści, która go powoli wciąga w swój świat i każe mu uczestniczyć w opisywanych wydarzeniach. Widocznie zupełnie nieświadomie skrzył w bok, przeraził się literackości tego pomysłu i zwrócił się ku realiom. Czy jednak właściwie? Chyba do końca nie, bo zatrzymał się w pół drogi, jakby nie wierząc własnej

* Fragment powieści.

sile przeobrażania, a także sprytowi twórcemu, polegającemu na utrzymywaniu stałego napięcia między tym, co możliwe a tym, co wyobrażone.

Ten nierozstrzygalny dylemat nie pozwalał mu myśleć o czymś innym. Zawsze w momencie narodzin nowego pomysłu prozatorskiego więcej pojawia się wątpliwości niż zadowolenia. Ileż razy to już przeżywał! Nigdy nie udało mu się wyzwolić z tego napięcia, sprowadzającego z obranej drogi, nalegającego na rezygnację, postawienie krzyżyka na pomysłu. Dlatego tyle wyrzucił już początków! Tyle uśmiercił pierwszych zdań i akapitów, dobrze zapowiadających się bohaterów i pojedynczych, niepowtarzalnych losów. Jakże inaczej jest z poezją, pomyślał. Nie ma porównania. Odwaga rzucenia na papier kilku obrazów czy metafor w niczym nie jest podobna do budowania świata powieściowego, z jego oddechami, obcą euforią, bruderszaftem pitym z bohaterami. Tam można wymieniać elementy, inaczej układać całość i nigdy zawarta emocja nie wywietrzeje, od razu jest uchwycona w czystej postaci. Tu natomiast ciągle istnieje obawa, że rozpoczęty marsz, a zawsze chodzi o długą wędrówkę, poprowadzi cię na manowce, zboczy z trasy i od razu klops.

Opisana rozmowa dwóch koneserów może i byłaby dobrym początkiem do wejścia w labirynt powieści, ale raczej sensacyjnej, z wątkami kryminalnymi, ale po co mi to – bił się dalej z myślami. Po co mi ten Orwell, którego wrzuciłem tu na chybił trafił, bo właśnie jego nazwisko mi przyszło do głowy. Niby Orwell jest tu dobrym tropem i coś dałoby się wycisnąć z tego pomysłu, ale czy nie wciągnie mnie w grę polityczną? Istnieje taka groźba, także groźba powtórzeń, gra aluzji, której trzeba uniknąć. Ale co zrobić dalej? Poprzestać tylko na tym wprowadzeniu, zarysującym akcję i pójść dalej, inną drogą, wyzwolić się od łatwego ciągu dalszego?

Do Migreny wszedł Tadeusz. Przywitali się.

– Czytałeś? – zagaił.

– Co?

– Listę. Listę agentów z lat siedemdziesiątych w środowisku literackim.

– Tak, widziałem.

– No i?

– Nie zdziwiłem się. Byłem na to przygotowany.

– Ale Marian?

– Tak, to zaskoczenie. Ale ja naprawdę nie mam ochoty o tym myśleć. Po co to rozgrzebywać, zastanawiać się, dlaczego tak się stało. To cię jeszcze rajcuje?

– Ale nie chcesz poznać prawdy? Nie interesuje cię to, kto na ciebie donosił? Kto cię śledził?

– Daj spokój. To zamknięta epoka. Nie ma sensu wałkować tej sprawy. Wiadomo, że byli agenci, donosiciele, partyjni sprawozdawcy, ale też tacy, którym złamano kręgosłup, którzy musieli pójść na współpracę, bo im grożono. To bardzo skomplikowane rzeczy. Boję się wyrokować, w ogóle dotyczyć tego wszystkiego.

– Nie masz racji. To musi wyjść na wierzch, inaczej nie poznamy prawdy o tamtych czasach, a zwykle szuje będą chodziły w glorii sławy.

– No dobrze, ale co z funkcjonariuszami partii, ich w kartotekach nie ma, są poza podejrzeniami, a może nawet uważają się za jeśli nie ofiary, to propaństwowców?

– Ale kto był groźniejszy: ten, kto jawnie działał w pezetpeerze, czy udający kolegę tajny współpracownik? Mam wrażenie, że uciekasz od zajęcia stanowiska, tak jakbyś bał się oczyszczenia?

– To nie o to chodzi. Myślę o nas i tylu inwigilowanych. Przecież byliśmy przesłuchiwni, choć w cywilizowanej formie. Pytano nas o różne rzeczy i nie odmawialiśmy zeznań. Mówiliśmy, wprowadźcie ostrożnie i często oszukując tych pozał się Boże oficerów, ale nie unikaliśmy opinii, nawet własnych poglądów. Pamiętam, jak jeden z nich zapytał mnie nagle, który z poetów jest dla mnie największym autorytetem.

– Daj spokój!

– Słowo daję. Wiedziałem, o co mu chodzi, czekał aż wymówię znane mu nazwisko z opozycji i już się zaczął ślinić. A ja mu na to: Różewicz! I zacząłem mu o poezji Różewicza. Aż się skręcał.

– Ale co z tego ma wynikać?

– No, właśnie to, że sytuacja nie jest klarowna. Zaciera się nagle różnica między prawdziwymi agentami, którzy za pieniądze donosili i pisali raporty a takimi jak my, rozpracowywanymi, umieszczanymi na listach proskrypcyjnych, ale posłusznie idącymi, jak tylko wysyłano wezwanie, a to do Urzędu Paszportowego, a to na milicję. Nie widzisz tej dwuznaczności?

– Chyba żartujesz? Co ci w ogóle do głowy przyszło? Przecież tu nie może być mowy o zjednaniu tych dwu kategorii. Czy chodziłeś z własnej nieprzymuszonej woli? Nie. Czy wciągnięto cię do agentury? Nie. Wzywano ciebie czy mnie na rozmowę, prawie zawsze z powodu starań o paszport, było rutynowym działaniem służb. Chcieli o tobie wiedzieć jak najwięcej, dlaczego starasz się o wyjazd, czy znasz kogoś, kto należał do ścisłej wewnętrznej opozycji, a przy okazji postraszyć, że orientują się doskonale z kim się spotykasz, kto o tobie coś powiedział i tak dalej.

– To oczywiste. Nie o tym mówię. Dla mnie jednak cała ta polityka lustracji podszyta jest koniunkturalizmem. Nie wierzę w jej moralne tło. Dla kogoś, kto wychował się już w nowej Polsce, nie liczą się żadne niuanse. Dla niego to wszystko jest czymś wstrętnym, cuchnącym. Byłeś w partii, nie byłeś, działałeś na rzecz i w imieniu, czy nie działałeś, wsio równo, jesteś umoczony i tyle. A co przy tym znaczą twoje, takie czy inne, wątpliwości? Nic.

– Nie masz racji. Myślisz o jakichś nieukach, dla których historia to nic nie znacząca plama. Weź pod uwagę ludzi rozumnych. Nie wmówisz im, że nie ma tu różnic.

– Nie, ja myślę raczej o politykach, którzy wykorzystują lustrację dla celów partyjnych. Im nie chodzi o ludzkie dramaty, moralne rozterki. Chcieliby postawić pod pręgierzem współpracowników, a zapominają o działaczach partyjnych, którzy jawnie donosili i raportowali. To nie o nich dzisiaj się dyskutuje, tak jakby nagle wyparowali, ulotnili się. Każą nam zajmować się płatnymi donosicielami, na których nie warto nawet splunąć.

– O Marianie też chciałbyś zapomnieć? Kręcił się tak blisko nas, co ja mówię, był z nami za pan brat, uważałeś go za przyjaciela. I nic nie powiesz na jego temat?

– Ale co to zmieni? Jeśli to prawda, bo już tyle było pomyłek, sam wiesz. Zaczynam podejrzewać, że ktoś celowo wprowadza nas w błąd, aby tylko zamieszać, podburzyć, zniszczyć środowisko. A sam Marian? Po tylu latach już mnie nie ziębi, ani grzeje. Być może, że był na usługach. Ale przecież z tego powodu nikt nie wyrządził nam większej krzywdy. Represje, owszem, były, ale z polecenia góry. Zakaz druku, próba wyrzucenia z pracy, rozwiązanie umów wydawniczych, weryfikacja przydziału mieszkania, zatrzymanie paszportu.

– Internowanie.

– No tak, ale to już potem. Skoro byłem na liście opozycji wewnętrznej wraz z wieloma innymi, to było jasne, że mnie wezmą, zresztą bez względu na to, co się działo po osiemdziesiątym roku. Marianek? Zwykła szuja. Choć może go wzięli w obroty, bo miał jakieś problemy w pracy, pamiętasz?

– Coś tam było, jakieś protesty, strajk, czy coś podobnego. Nie masz ochoty coś mu powiedzieć prosto w oczy? I ciekawe, czy go wywalą z telewizji. Jaka to była ważna figura! Jak się nosił, jaki był uczynny.

Ta rozmowa była przygnębiająca. Kacper z wysiłkiem formułował myśli, czuł, że Tadeusz zmusza go do ostrych wypowiedzi i jednoznacznej krytyki. Jednak on sam się nie palił do dyskusji, tak jakby odciął się od przeszłości. Cała sprawa od wielu miesięcy była tematem mediów, wśród znajomych też nie ustawały rozmowy o lustracji i tajnych współpracownikach, nie można się było od tego szumu uwolnić.

Kacpra kosztowało to dużo zdrowia, bo za każdym razem musiał powracać pamięcią do czasów sprzed półwiecza, o których starał się zapomnieć, bo przeszkadzały w nowych projektach, w duchowej reanimacji. Innym było w to grać, usta im się nie zamykały, każdy miał coś do dodania, ferował wyroki. Sytuacja przypominała groteskę: w czasach komunistycznej dyktatury, choć już udomowionej, po polsku zakłajstrowanej, większość nie podnosiła głosu, nie tyle bojąc się czegokolwiek, ile dla świętego spokoju, a teraz nagle ci sami mają tyle do powiedzenia, konstruują moralne dykteryjki i czekają na poklask. Jakże to małe! Śliskie!

Tadeusz oczekiwał od niego oburzenia, łatwych oskarżeń, a w zamian dostał porcję wątpliwości i próbę samooskarżenia. Czy właściwie tę reakcję zrozumie? Kacper nie był pewien, choć znał go tyle już lat. Bardzo często ze sobą rozmawiali, zwłaszcza po jego powrocie z zagranicy, kiedy oczekiwał poparcia swej decyzji i jasno wykładanych poglądów. Ale mimo wszystko istniała między nimi jakaś niewidoczna bariera, blokująca dogłębną szczerość. Lata rozstania robiły swoje. W międzyczasie wiele rzeczy się zmieniło. Nie tylko na zewnątrz, także w ludziach. I w tych, którzy pozostali w kraju, i tych, którym przyszło żyć poza nim. Dawne nieostrożne rozmowy, pełne naiwnych spowiedzi, przeszły już do lamusa, a w ich miejsce wdarły się wysilone pogawędki na tematy z pozoru polityczne, a w istocie będące echem egoistycznych rozterek, wynikających z nieumiejętności autoanalizy.

sobota wieczór

Takie rozmowy, jak z Tadeuszem, wybijają mnie z rytmu. Niby sprawy ważne, żywo mnie i jego obchodzące, ale prowokujące do pokazywania pleców. To tylko pozór dyskusji politycznych, a w istocie wmawianie sobie, że się jest przeciw. Tylko przeciw czemu? Istniejącym jeszcze układom? Selekcjonowaniu historii? Wszystko jedno. Myślenie o tym przeszkadza mi w pisaniu. Chciałem oderwać się od przyziemnej rzeczywistości i stworzyć świat zabezpieczony przed jej inwazją. W dodatku Hubert zaczął uczestniczyć w grze, o której w ogóle nie myślałem. Będzie mi trudno się z niej wyplątać.

Hubert zajrzał do powieści Orwella, aby ją sobie przypomnieć. Dwudziesto-dziewięcioletni Gordon siedział w księgarni, czekał na koniec pracy, nie mógł już wytrzymać bez papierosa. Martwił się, że miał tylko kilka pensów do piątku. Z nienawiścią spoglądał na książki, było ich siedem tysięcy, a zwłaszcza na półki z powieściami, które uważał za strasznie kiczowate: „budyń na łoju”. Był dzień św. Andrzeja, szalał wiatr, Gordon spoglądał przez okna, obserwował przechodniów, w myślach układając początkowe linijki wiersza. Szło mu to z oporami, zaczęła się

przechadzać po księgarni, dotykać grzbietów książek, odczytywać nazwiska autorów. Ale ich widok uzmysławiał mu jego własną bezpłodność twórczą. Otwierał jakąś księżczynę i natychmiast odkładał z hukiem. Miał już prawie trzydzieści lat, a niczego nie osiągnął. Wmawiał sobie, że to brak pieniędzy przyczynia się do niemocy pisania. Do księgarni weszły dwie panie, „intelektualistki”, jak je w myślach zgryźliwie nazywał. Oddawały wypożyczone książki i wybrały nowe. Za dwa pensy Walpole’a i Dell. Kiedy wyszły, pojawił się następny klient, młody wielbiciel poezji. Gordon wsunął mu tłumaczenie z bułgarskiego (sic!), a sam zabrał się do wykończenia pierwszych linijek wiersza. Przyglądał się plakatom reklamowym na ulicy, kątem oka zaś obserwował klienta, który odłożył bułgarski tomik i wyjął z półki album o balacie rosyjskim. „Pedał” – pomyślał orwellowski bohater. Znowu spojrzał na ulicę, do sklepu zbliżała się para starych żebraków. Kobieta weszła i zapytała, czy może sprzedać książki. Jakie – zapytał Gordon, na co starucha wydobyła z worka kilka zniszczonych i cuchnących tomów. Gordon odsunął się od brudnej kobiety i stanowczo odmówił kupna. Nadchodzili nowi klienci: dwie kobiety szukające książek o psach i kotach, dziewczyna, pytająca Gordona o powieści na temat problemów seksualnych, a także szczupły młodzieniec pragnący kupić poezję Lawrence’a. Gordon znudzony przeglądał się w lustrze. Nuda, brak papierosów, ruch na ulicy, ołowiane niebo. Koniec pierwszego rozdziału.

Hubert zamknął książkę, oparł się całym sobą o poręcz krzesła, przymknął oczy. Widział Gordona marszczącego czoło, gdy usiłował dokończyć pierwszą zwrotkę wiersza, jego blade oblicze i zniszczoną marynarkę. Tam była lampa gazowa i piecyk parafinowy. Epoka przerabianych ubrań, herbaciarni przyzywających jak syreny. Jak dobrze byłoby się tam znaleźć. W tym cieple, wśród zniszczonych, zakurzonych książek, spoglądać przez okno na oświetloną ulicę. Myślał o Basterze i jego propozycji, ale jednocześnie zagłębiał się w świat orwellowskiej powieści, czując na sobie wzrok młodzieńca przeglądającego album o rosyjskim balacie.

Wstał, podszedł do regału, wyciągnął ze środkowej półki Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat”. Szukał pewnego cytatu. Wzrok przesunął się po strofach hymnu solidarnościowego, portrecie Bernarda i opisie Biura Zarządcy Świata, by wreszcie, po dłuższej chwili, zatrzymać się na zdaniu: „Pewnego razu zrobiłem rzecz, jakiej jeszcze nikt nie dokonał: stanąłem pod skałą, w słońcu, w lecie, z rozłożonymi ramionami, jak Jezus na krzyżu. – Po co, u licha? – Chciałem się przekonać, jak to jest być ukrzyżowanym. Wisieć w słońcu...”

Odłożył książkę na miejsce, usiadł przy biurku. Na kartce napisał: „Stanąłem pod skałą, w słońcu, w lecie, z rozłożonymi ramionami, jak Jezus na krzyżu”. Poszczególne

słowa zaczęły się oddalać od siebie, zajmować własne, uprzywilejowane miejsce, układając się w rodzaj szyfru. Stałem pod skałą w słońcu w lecie z rozłożonymi ramionami jak Jezus na krzyżu. Jak się to miało do słów Bierdiajewa, stanowiących motto powieści? O utopii, która się ziści. W tym coś się kryło. Skała, Jezus, krzyż.

Hubert przyglądał się poszczególnym słowom. Widział w skale pękające, różowe żyłki, łuszczące się płaty miki, słoneczne odbłaski. I mężczyznę rozszerzającego ramiona w żarzącym słońcu, z zamkniętymi oczami, przesuwającego językiem po spierzchniętych wargach.

– Hubert – usłyszał nagle za drzwiami. Głos wyrwał go z letargu.

Do pokoju wszedł ośmioletni chłopczyk, nieco zaspany, pocierający piąstką lewe oko.

– Hubert – powtórzył cienkim głosikiem. Zwracał się tak od zawsze do Huberta, od czasu kiedy został przez niego zaadoptowany. Hubert nie chciał, by dziecko zwracało się doń „tatusiu”, jakoś mu to nie pasowało.

Siedząc w sali wypełnionej tłumem studentów i członków stowarzyszenia pisarzy, Kacper uważnie przysłuchiwał się czytającym swoje utwory młodym ukraińskim autorom, którym towarzyszył jeden z tłumaczy, a także krakowski aktor, wertujący w tej właśnie chwili kilka stron przełożonej na polski prozy. Ukraińcy, w większości trzydziestoletni, wyglądali jednak znacznie młodziej, byli bardzo podobni do siebie, szczupłocy, niewysocy, o inteligentnych, ostrych rysach. W sali robiło się duszno, gorąco, wszyscy ocierali się o siebie, tylko stół pośrodku, który ugiął się pod ciężarem butelek, kieliszków, kruchych ciastek i nieśmiertelnych paluszków, wydawał się oddychać swobodnie, regularnie dzięki zdobytej już dawno pozycji i przestrzeni.

Wzrok Kacpra przesunął się z twarzy Natalki, Andrija i Serhija na zastawiony stół, ze stołu na tłumacza, odwróconego do niego plecami, z tłumacza na cztery panie literatki w pierwszym rzędzie o wyraźnie znudzonych i zmęczonych obliczach, które wyrażały jedynie strach, czy prezes stowarzyszenia zdąży odnotować ich obecność na kolejnej fecie, a na końcu z literatek na oparte o ścianę studentki. Głos Natalki, dobrze mówiącej po polsku, brzmiał czysto, sympatycznie, a jej realistyczna proza, fragment nowej powieści, opisująca drobiazgowo, niemal werystycznie podróż bohaterów na plażę, miała w sobie ten artystycznie dopracowany szlif, który marzył się samemu Kacprowi, a którego od lat nie umiał osiągnąć. Młoda pisarka czytała przekład swojego utworu, doskonale znając siłę swojej prozy, delektowała się poszczególnymi słowami, akcentowała krnąbrny szyk swoich zdań wielokrotnie

złożonych, robiła znaczące pauzy, albo też przyspieszała nagle, żeby nie stracić ani urody tekstu, ani jego, w pocie czoła wypracowanego, sensu. Sala wstrzymała oddech, poruszona tym zjawiskiem, wpatrywała się w mięsiste wargi Natalki, jej krótko ścięte włosy i czarny, pełen frywolnego żartu, sweterek.

Kacper cały czas myślał o tym, jak dojrzała jest to proza, jak wyraźnie różni się i to na korzyść od prozy jej polskich rówieśników, którym wystarczał zwykle skrócony opis sztubackiej biesiady w barze, i nie mógł wyjść z podziwu. Ta w jakimś sensie niespodziewana młodość, prezentująca się niewymuszenie w krakowskim klubie, bogata w świeże obserwacje i artystyczną umiejętność zamieniania banalnych przedmiotów w sygnały wyższego rzędu, podrywała niechęć jego autorytet, jego sporą dozę pewności, że nie stracił jeszcze gruntu pod nogami jako prozaik. Wiedział doskonale, że ów spektakl, którego jest świadkiem, podważa jego poczucie samozadowolenia, ale dziwnie się nie oburzał, jakby poddając się bezwiednie kołysaniu słów i myśli.

To samo odczuwał, gdy zaczął czytać swoje poematy Andrij, wiotki blondynek z ciężkim kolczykiem w uchu. Stał na rozstawionych nogach, rękę trzymał w kieszeni, a z jego ust wypływała ognista lawa pięknie przyrządzonych zdań, układających się w groteskową opowieść o spotkanym przyjacielu, ukraińskim pisarzu, na Rynku w Krakowie. Mimo że ze zręcznie skonstruowanej anegdoty niewiele wytrysnęło poetyckich kropel, a zawartość treściowa w istocie mieściła się w kilku zdaniach, Kacper podziwiał, albo wmawiał sobie, że podziwia samokontrolującą się energię, która wbrew wszystkiemu nie pędziła w niewiadomym kierunku, lecz z precyzją zdolnego rzemieślnika wiązała koniec z końcem, nizała koraliki słów, stając się zamkniętą całością. Swoim szybkim czytaniem Andrij wywoływał salwy śmiechu, zwłaszcza wtedy, gdy z naiwnością chłopczyka opisywał roztargnienie ukraińskiego kolegi po piórze, starającego się wytłumaczyć z towarzystwa pięknej blondynki. Kacper miał wrażenie, że poemat Andrija zbija w nim wszystkie po kolei kręgle wcześniej stworzonych w mozole obrazów i metafor, nie dając mu żadnej możliwości obrony. Brał na siebie te ciosy bez jakiegokolwiek zasłony, jakby czekał na nie od dawna, żeby sprawdzić siłę swojej odporności. Upadał, nie ruszał rękami i o dziwo był zadowolony. Wiedział, że czas minął, że należy się podnieść i opuścić ten ring. Ale nie, leżał uspokojony, zatopiony w snach.

To samo odczuł, gdy siedzący obok niego aktor zaczął czytać opowiadanie Serhija. Była to proza mięsista, zbudowana na tym samym pomysłe co poprzednie utwory obojga pisarzy, choć jeszcze bardziej groteskowa i plugawa. Serhij opisywał

losy bohatera próbującego przedostać się za granicę na podstawie sfalszowanej wizy, którą mu chcieli sprzedać jacyś podejrzani Cyganie. Błoto, ciemność, prostytutka bez przedniego zęba, autobus zamykany na kłódkę, dymy z głów. Zrobione to było bardzo zręcznie, gładko, z żadnym celowaniem na literackość czy te rzeczy. Dialogi jak należy, portrety bez zarzutu, język podsłuchany dobrze. Kacper słuchał tego może bez takich emocji jak tamtych utworów, ale przekonywał się jeszcze bardziej o pogrążaniu się w przepaść. Już nie było dlań ratunku. Żadnej nadziei na odwrócenie losu. Patrzył tępo przed siebie, z trudem wyławiając z masy wypowiedzianych przez aktora zdań choćby jedno słowo, które dawałoby mu szansę odnalezienia się w tym wszystkim.

Jeszcze bardziej skulił się w sobie, gdy ten sam aktor przeczytał esej, a w istocie eseistyczną prozę, Ołeksandra. Ten czarnowłosy chłopak o ostrym spojrzeniu wsłuchiwał się w polski przekład bardzo uważnie, jakby nie chciał uronić żadnego niuansu. A był to tekst tak dojrzały i błyskotliwie napisany, że nie chciało się wierzyć, iż wyszedł spod pióra takiego młodzieniaszka! Niech się schowają wszyscy nasi eseiści, czciciele mód, snobi nie odróżniający jednej konwencji od drugiej! Ile w tym tekście mieściło się pomysłów, jakie pulsowało życie! Tekst nie był pozbawiony humoru, do interpretacji ukraińskiej prozy wkładały się iskry dowcipu, groteskowe scenki rodzajowe i zaskakujące żarty językowe. Ołeksandr śmiało dopisywał się swoim esejem do prozy Serhija, stanowiąc jego lustrzane odbicie, mimo iż posługiwał się innym zupełnie materiałem.

Tylko Wiktor wyłamywał się z tej rozkosznej biesiady pionierów, być może ze względu na swój wiek, na oko o dwadzieścia lat starszy. Jego fragment powieści opowiadał o cesarzu Bajazycie II i poetessie Malwinie, która za punkt honoru postawiła sobie przeczytanie władcy kilku własnych wierszy. Wiktor nie czytał, Wiktor słuchał. Słuchał dźwięcznego głosu aktora, który, nie do końca rozumiejąc, o co w tekście chodzi, niewłaściwie podkreślał szyk przestawny zdań, mocniej artykułując te słowa, które wydychały z siebie powietrze tandetnej poezji: lazur, srebro, boskie. Mimo iż proza Wiktora różniła się od tamtych utworów jak komputer od maszyny do pisania (publiczność dowiedziała się mianowicie, że pisarz tworzy tę powieść od trzydziestu lat i jeszcze jej nie skończył), Kacper, a zapewne także zdecydowana większość widzów, całkiem naturalnie, bez zastanowienia, umieścił ją wśród innych wierszy i opowieści ukraińskiej delegacji. Czuł bowiem, że jej siła postmodernistycznego kiczu wlewa się wartkim strumieniem do sztucznego zbiornika zwanego współczesną literaturą i dobrze się w nim mieści.

Kacper słuchał, rozglądał się po sali, ocierał pot z czoła i zastanawiał się, dlaczego nie jest w stanie obrazić się na to widowisko, obnażające jego twórcze wyjałowienie, jak mu się przynajmniej wydawało. Nie potrzebował wcale wsparcia, szukał natomiast karzącej ręki.

Po zakończonym spotkaniu podszedł do kilku autorów, uściśnął im dłonie, zamienił parę słów. Ukraińcy nie byli skorzy do rozmów, może też i z tego powodu, że chcieli zapalić papierosa i dlatego musieli wyjść z sali na korytarz. Najwięcej mówił Wiktor, widocznie niepalący, który w otoczeniu studentek tłumaczył swoją decyzję pisania jednej powieści od trzydziestu lat. Na ich twarzach malowało się autentyczne zainteresowanie, a Wiktor pocierając siwe skronie próbował opisać swoje życie na prowincji.

W uszach Kacpra szumiały jeszcze głosy młodych pisarzy, pomieszane z głosem aktora, wziął do ręki kieliszek wina, stanął obok kilku swoich kolegów, wymienił z nimi wrażenia. Wydawało mu się, że koło okna stoi Gordon z książką w ręce i ukradkiem spogląda na, sprzedającą tomiki gości, dziewczynę. Słuchał nieuważnie tego, co mówi do niego jedna z osób, patrzył w tamtą stronę, ale obraz coraz bardziej się zacierał i nie było widać ani Gordona, ani okna.

Biegł do pociągu z biletem w ręce, wiedząc, że za chwilę będzie odjazd. Jeszcze dyszał, gdy usiadł w prawie pustym przedziale. Słoneczny niedzielny poranek wdzierał się do środka, zapraszał do siebie. Kiedy pociąg ruszył, Kacper jeszcze raz w myślach rysował plan swojej wycieczki. Przyjazd do Krzeszowic, spacer do Czernej, minięcie klasztoru, marsz w stronę Paczółtowic, następnie skrajem lasu w kierunku Olkusa, skręt w lewo do rezerwatu. Nagle spojrzawszy przez okno, stwierdził z roztargnieniem, że jedzie nie do Krzeszowic, ale w kierunku Częstochowy. Poznał trasę do Warszawy, zachnął się, wyciągnął bilet strefowy i zobaczył, że II strefa kończy się w Słomnikach. A jeden czort – powiedział w duchu, najważniejsze, że dobra pogoda. Planował zatem wysiąść w Słomnikach, ale po ponad półgodzinnej jeździe okazało się, że pociąg nie przystaje na tej stacji. Rewizorowi powiedział, że pomylił pociągi.

– E, panie, my jedziemy dopiero od wczoraj do Częstochowy, mogło się panu pomylić.

– Pociąg do Krzeszowic jedzie o tej samej godzinie, a ponieważ spieszyłem się, pomyliłem perony.

– Będzie pan miał przygodę. Niech pan wysiądzie w Miechowie.

– To pierwsza stacja, gdzie pociąg się zatrzymuje?

– Tak. Do widzenia panu.

I rzeczywiście dopiero w Miechowie Kacper nieco skołowany wyskoczył z wagonu, rozejrzał się po niewielkiej stacji, wyszedł tunelem na przeciwną stronę niż wyjście do miasta. Przed sobą miał ulicę, biegnącą pod górę. Postanowił pójść w stronę Słomnik, wiedząc, że droga jest w miarę ciekawa, a stamtąd dojedzie czymkolwiek do Krakowa. Było dość zimno, choć jasne słońce silnie operowało. Z ulicy wszedł na wzgórek, a stamtąd ubitą drogą na pola. Z góry dobrze było widać lasy, małe przysiółki i rzecz jasna miechowskie bloki, straszące po przeciwległej stronie, za torami.

Ziemia była zaorana, na ścieżce lśniły cienkie tafle lodu, wiatr wiał dość przenikliwie. Z daleka słychać było trzepot przepiórek. Schodząc do osady w Biskupicach zaczął zastanawiać się nad ostatnim fragmentem rozpoczętej powieści. Czemu wprowadził dziecko w końcowej scenie? Zupełnie bez sensu. Samo mu się narzuciło, jakby dopraszało się pukaniem do drzwi. Ale przecież adopcja, o której wspomniał w ostatnim zdaniu, wymaga rozwinięcia, grzebania w przeszłości Huberta, a to by znaczyło, że oddali się od głównego wątku. Trzeba to koniecznie przerobić. Wyrzucić chłopca, zamienić go na przyjaciela mieszkającego z Hubertem od lat. Bez jednak sugestii erotycznej, raczej w tonacji zimnej, neutralnej.

Szedł nad torami, ścieżką biegnącą tuż przy zagajniku. Przed Kamieńczycami ciężkie baraki hurtowni tonęły w słońcu, wydawały się wbrew temu, co naprawdę przypominały, jakimś wcale znośnym dodatkiem do lasu i stromych zboczy. Promienie oślepiały go i aż dziwi, że wczesnogrudniowa niedziela odstawała na korzyść od kilku, prawie kilkunastu poprzednich dni, odznaczających się brudną szarością.

Te weekendowe wycieczki, do których przyzwyczaił się od wielu lat, dostarczały mu odpowiedniej ilości tlenu, nie w znaczeniu fizjologicznym, nie, w sensie psychicznym. Nie tyle o odpoczynek tu chodziło, o oderwanie się od spraw codziennych, często przykrych, choć przecież nie tak znów dolegliwych, ile o wchłonięcie nowej porcji wrażeń, oczyszczenie się w kontakcie z naturą. Nie mając rodziny i nie czując w sobie potrzeby grzania się w ciepłe domowe ognisko, jakby powiedziało wielu jego przyjaciół i znajomych, planował swoje dni rozkosznie luźno, nie gnany żadnymi większymi obowiązkami czy wezwaniami dnia codziennego. Wypracował sobie własny rytm, któremu był wierny niemal od zawsze, z krótkimi przerwami na wyjazdy literackie, które jednak go męczyły i czyniły mało znośnym.

Oczywiście, raczej nie zastanawiał się nad tym, żył tak, jak było mu wygodnie. Jego jedynym celem stała się literatura. Literaturze podporządkował całe swoje życie od chwili, kiedy skończył studia. Wybrał zresztą studia nie najszcześliwiej, wbrew zainteresowaniom, zgodnie z oczekiwaniami rodziców. Tak jak oni uzyskał dyplom

magistra historii, ale ani przez chwilę nie łudził się, że pójdzie w tym kierunku. Zaraz po studiach zatrudnił się w bibliotece, ale tak naprawdę zarabiał pisząc recenzje, a potem opowiadania i teksty na zamówienie. Wkrótce zresztą rzucił pracę, dość szybko wyrobił sobie nazwisko, nie miał kłopotów z drukowaniem, aż do momentu, kiedy w jego życie wmieszała się polityka. Zaczęły się kłopoty, z którymi nie umiał sobie poradzić. Potem to zresztą minęło i po kilku latach wróciło do względnej normy. Ale co oznaczała ta norma? Publikowanie książek w niskich nakładach, współpraca z wydawnictwami, a po odzyskaniu paszportu w drugiej połowie lat osiemdziesiątych krótkie wyjazdy za granicę. Nic z tego specjalnie nie wynikało, może jedynie przeświadczenie o względnej ciągłości. Cały czas jednak zdawał sobie sprawę z tymczasowości tej sytuacji, odczuwając ciągłą presję odpowiednich służb i ich usługowych wyrobników.

Zresztą, przeszłość... Nie znosił powracania do minionych czasów, wspomnienia drażniły go i prawdę mówiąc wytrącały z równowagi. Jaka może być przyjemność w roztrząsaniu własnych dolegliwości, a nawet jakichś tam sukcesów? Żadna. Przeciwnie – grzebanie w przeszłości, zwłaszcza własnej, ukształtowanej ze szczątków przeżyć i ułamkowych doświadczeń, które przybierają postać z mumifikowanego potwora, to nic innego jak psychiczny makijaż, polegający na upiększaniu tego, co było byle jakie, a nawet trywialne. Każdy taki powrót we wspomnieniach do siebie samego z czasów młodości i dojrzewania nie tylko budzi niesmak, bo wszystko staje się nieznośnie naiwne, ale i rodzi podejrzenie o fałsz. Niektórzy ochoczo fałszują swoją przeszłość, bo taka operacja przynosi ulgę i pomaga wzlecieć wyżej. Inni wybierają z niej tylko to, co przynosi nadzieję na lepszą, bo ograniczoną do wąskiego zakresu przeszłość.

Kacper z trudem wytrzymywał presję wspomnień, ponieważ nie umiał z nich wyciągnąć żadnych dla siebie wskazówek, ba!, dostrzegał w nich same wady. Przeszłość ani nie układała się w systematyczny porządek, ani nie tworzyła hierarchii. Wszystko w niej było, z pozoru, ważne. Każdy szczegół, drobne wydarzenie, ból po stracie ukochanej osoby, sukces osobisty, porażki i potknięcia. Dotykanie jej czulej materii nie miało więc sensu, bo wpędzało w ślepy zaulek. Czy nie lepiej o wszystkim zapomnieć? Skazać na wymarcie? A czemu nie... W końcu człowiek nie stoi w miejscu, przesuwają się w czasie jak taśma w projektorze: krok za krokiem, zmiana przestrzeni, łapanie czasu. Ten, kto cofa się, zbierając zwiędłe kwiaty czasu przeszłego, nie jest w stanie ani uwierzyć w swoje przeznaczenie – wszystko jest jeszcze przed nim – ani przekroczyć granicy, przedzielającej sferę mitu (każda przeszłość ulega mityzacji) od tego, co rozpościera się przed nim jako błagające

wyzwanie. Czy nie lepiej trwać mocno na gruncie teraźniejszości i z niej czerpać żywotne soki? Wierzyć w jej nieznane, ciągle zaskakujące, nieprzewidywalne odpowiedzi? Tak, tak, zdawał się przekonywać Kacper, cierpiący na widoczną chorobę odkładania przeszłości do lamusa. Jeśli od czasu do czasu pojawiała się w umyśle, to nie na zasadzie przymuszonego wyboru, lecz w trakcie takiej czy innej dyskusji, wymagającej od niego czy to porównywania obecnego stanu z minionym okresem, czy też interpretacji określonych wydarzeń.

Powoli schodził w stronę stacji w Smrokowie. Między ścieżką na niewielkim wzniesieniu a torami kolejowymi rozpościł się, zarośnięty krzewami, płaski teren. Przy domu dróżnika przeczytał rozkład jazdy, z którego wynikało, że najbliższy pociąg do Krakowa odjeżdża dopiero za cztery godziny.

– Nie ma innego pociągu do Krakowa? – zapytał kobiety-zawiadowcy, która z ciekawością wyszła na peron.

– Zaraz, co dzisiaj jest? Niedziela. Nie, tylko ten.

– A którędy do Słomnik? Tą szosą?

– Tak, tam w lewo i prosto.

Kacper ruszył przed siebie, nieco już ospały i zmęczony, ale zadowolony z tego, że nie był jeszcze w tych okolicach. Mijał niewielkie domy, z daleka dostrzegł boczną drogę, prowadzącą do lasu, ale nie poszedł tam, zmierzając ku głównej szosie do Słomnik i Krakowa. Znalazł się dość szybko w Ojrzanowie, wsi położonej na wzniesieniu, skąd było widać słomnickie lasy, po drugiej stronie torów. Czekał na autobus prawie godzinę, w tym czasie rozmyślając o swojej powieści, a właściwie układając dalszy ciąg sceny w domu Huberta.

Julian Kornhauser



Fot. Danuta Węgiel

Marek Skwarnicki

Genezaret

1.

Dziękuję Ci Panie,
że mogłem chociaż raz w życiu ujrzeć Jezioro Genezaret.

Patrzyłem na nie z Góry Błogosławieństw
w ciężkich chwilach.

Dziś marzę o wybrzeżach Jeziora Genezaret
galilejskiej łagodności ukoronowanej wzgórzami Golan
złanych krwią bratobójczych bitew
ludów Bliskiego Wschodu.

Byłem po tamtej stronie granicy z Syrią
z bratem Markiem
takim samym skrybą jak ja

Poeci przeciw tyranom

Tam Jan Paweł II
głosił pokój

a pod nogami woda, po której stąpałeś Ty Panie
i ratowałeś wątpiącego w Twoją moc Piotra.

I ja nieraz w życiu tonąłem
dlatego dzisiaj dziękuję Ci,
że chociaż raz w życiu mogłem ujrzeć skrawek nieba na ziemi
Jezioro Genezaret.

2.

Jezioro łez tęsknoty i smutku istnienia
Jezioro łez cierpienia i żalu za grzechy
Jezioro łez szczęścia
Bliskości Boga
Radości
Jezioro ciszy sumienia
Jezioro spełnienia marzeń
Jezioro poławiaczy pereł w załamkach fal
Jezioro perłowe jak korona Królowej
Jezioro szmaragdami przetkane
jak Jej suknia
Jezioro niby suknia
Królowej
A słońce jak Jej berło

Jezioro, po którym idzie ku nam Bóg

Jeruzalem

Księdzu Mirosławowi Wróblowi

1.

Tęsknię za tobą Jerozolimo
Tęsknię jak za miastem rodzinnym
Bo w tobie ukryta jest moja wiara
I ty jesteś moją tajemnicą
W tobie Pan ukrył skarb Mądrości
A drogi do ciebie prowadzą do nieba.

Czymże więc jesteś Jeruzalem?
Mitem, metaforą czy prawdą?

2.

Nie jesteś mitem
Bo mury twoje są prawdziwe
A sława twoja trwa tysiące lat
Przed i po narodzinach Pana.
Ku tobie spływa zawsze stok oliwny
By zatrzymać się na brzegu Cedronu.
Tu wiekami słychać szept Chrystusa
W ogrodzie błagającego Ojca o pomoc.
Tu grzebią tysiące lat sługi Izraela
i tu nadal wybuchają walki o ciebie
o niepokonana w objawianiu zła i dobra
Jerozolimo.

3.

Nie jesteś też metaforą
Chociaż imię Twoje nieustannie brzmi w psalmach
Na całym globie ziemskim może i poza nim.
Bo ta poezja jest boska
Potężna jest harfa Dawida
Wtórzy jej bęben i cytra
I śpiew codzienny

Nieprzeliczonych języków ziemi
Miliardów żywych wyznawców
Jahwe i Jezusa Chrystusa.

Cóż to za przenośnia lub metafora
Która ocala ludzi i narody.
Nią żyje ksiądz na ubogiej parafii
I Biskup Rzymu w swym pałacu
Nią pokrzepiają się święci licznych wieków
I upadający na duchu grzesznicy.

Jakaż to metafora?
To jest śpiew samego Boga
przenikający serce.

4.

Oto świątynia
W miejscu gdzie Słowo stało się Ciałem.
W samym twoim sercu Jerozolimo
gdzie pusty grób Zmartwychwstania
wypełnia dym nieprzeliczonych świec
i kaganków, rój płomyczków i płomieni wiary
wśród kadzideł uwielbienia
i śpiewów gregoriańskich.
Bo nic głębiej nie dociera w głąb Ducha
niż chorał.
Ani delikatniej nie głosi jego dobroci
jak harfa i cytra.

One to razem z szeptem milionów
Docierają do murów Syjonu.

Ogrójec

Ogrójec gdy się go zwiedza
ten
być może
prawdziwy Ogrójec
robi wrażenie zaniedbanego sadu
w którym pozostawiono w całkowitej samotności
poskręcane ze starości oliwki.

Tu spali uczniowie w czasie modlitwy Jezusa
do Ojca, który też jest Bogiem.
A więc w tak zwykłych miejscach
mogą się wydarzyć najbardziej niezwykle rzeczy.

Bądźmy przeto uważni.

Nie prześpijmy cudzego cierpienia.

Ściana płaczu

Jak o skałę rozbijają się o ciebie
fale historii:
Lament narodu wybranego nie milknie
od zburzenia świątyni,
o którą jak czas okazał
roztrzaskało się Imperium.
Szeregi w czerń odzianych wyznawców Jahwe
kłaniają się przeszłości i wielbią Jedyne.
U twoich stóp ściana kamienna
(wzniesiona przez ludzi)
słysząc szloch i krzyki dobiegające tu
ze wszystkich zakątków świata
jęk pogromów
odbija się echem

aż na Pustyni Judzkiej
słupy ogniste Holocaustu
huczą po nocach
niewidoczne dla oczu
ale słuchane przez serca ocalone
od Zagłady.

Także i ja
wyznawca jednego Izraelity
który nadał sens cierpieniu
stoję przelęknięty
u twoich stóp z głazów
świątyni sprzed lat tysięcy
i wspominam zastrzelonych bliskich
w Powstaniu Warszawskim i Getcie
pełzających u nóg SS-owców w Mauthausen.

Historia Izraela jest historią
całej ludzkości
wszystkich jej testamentów.

Marek Skwarnicki



Fot. W. Sarnowski

Józef Kurylak

W dolinie koników polnych

Gdy człowiek się modli przychodzą do niego obce
(złe) myśli... przychodzą z tajemnicy rozpadu pranaczyń

Baal Szem Tow

1.

Dzieciństwa zielone zamyślane jabłko
wisi na szubienicy uschniętej gałęzi
w słońcu bez nadziei... tak nisko upadło

Już się pierwszej komunii nie otworzą bramy
daremnie o pomoc aniołów błagamy

źródła są Jasnością... rzeki ciemne płyną
ku lodowcom ku Sądom... a byłem bez winy

2.

Nasze ciemności nie dążą do światła
ciemności są zwłokami zmarłych

w ciemnościach katedry smutny ksiądz z latarnią
gdyż szum złotej chorągwi jesiennego drzewa
to wciąż za mało

Czym jest mój strach? Ucieczką ducha
Mój sens? Chcę mu stworzyć
nowe zielone doliny
wiem: pierwsza miłość jest iluminacją

Już płaczą śniegi na wzgórzach i w miastach
w zamieci idą bracia Karamazow
kompletnie pijani... lecz nie spadną z mostu
czarne im skrzydła na plecach wyrosły

3.

Duchy doliny wciąż zazdrosne o mnie
nie pozwalają mi stąd odejść
łańcuchem śmierci przykuć chcą mnie
do traw i powietrza motyli i wody

Polnych koników zielona dolino:
esencjo czasu... Mój sen już przeminął
nie upodobiłem się do tego świata
jednak olśniło mnie metafizyczne Fatum

Te wiersze wkrótce zmienią się w kamienie
Czym było moje złoto? Wolą i złudzeniem
Dwóch stanęło w dolinie – jeden został wzięty
jednemu śpiew aniołów – a drugi przeklęty

I w deszczu nocy zwierzam się kelnerce
z tego co mnie przeraża upokarza dręczy
słucha mnie jakbym był dzieckiem ulicy
potem śmieje się głośno: Ach to tylko nicość!

4.

Nie poradziłem sobie z tym diabelskim n i c z y m
Cóż ja? Więksi ode mnie sławni silni i bogaci

lub obdarzeni geniuszem kosmicznym
niejeden w błysku diabła Całość stracił

Oto skrzynia Tajemnic za czarną zasłoną
obok niej przechodziłem w noc Wielkiego Postu
przechodził cmentarz i dziecko i kościół

Słyszałeś mnie Boże
gdy się do Ciebie zwracałem w rozpacz
pamiętasz mnie znasz moje imię i nazwisko
każdą noc mego ducha i grób mój i przyszłość

5.

Na rynku mego miasta stoję niewidzialny
ludzie przeze mnie przechodzą jak ślepi
widzę ich dusze: obrazy kolorowe w złotych ramach

W nocy dziecko płacze – to płacze w nim zło
widzę jak wznosi wieże tego świata marność
zapada się... wspominam rusałkę złotowłosą
z którą kochałem się na brzegu Wiaru*

To tam dążyłem do magicznej formy
kiedy na motocyklach z ognia pędził sierpień
w głąb czarnych kręgów – wyły tajemne motory

Rozkołysały mnie w dolinie wielkie trawy
i wielkie zboża od słońca do słońca
i wielki księżyc który jest jasnowidzący
Dante porównał jego blask do gramatyki włoskiej

6.

W nocy słyszałem muzykę grobowców
radosną... i grobowce drżały w błyskach
i taka jasność zrobiła się wokół
że nawet nicość mogłem widzieć z bliska

*Wiar – mała rzeka mojej młodości.

I wówczas zmarłym zacząłem zazdrościć
bo może wstydliva nędza ich odoru
i deformacja – to tylko pozory
i czarodziejem jest ich czarny worek

Więc śnią mi się Persji łąk dawnych zapachy
tam w niebieskich pałacach koty grają w szachy
motyle żyją tam sobie a Muzom
a śmierć jest słodkim snem pod wieczną różą

7.

Czy to wschód słońca?
Nie – to obląkana Ofelia
w złotej koronie w złotej karecie na łące

8.

W porcie mrugnął do mnie doświadczony okręt
powiedział: znam cię jesteś marzycielem
lecz Principium słońca swojego i czasu
już nie odnajdziesz w barwnym tłumie masztów

Kraina szczęścia na tej ziemi znikła
każdy port był dawniej radosnym kościołem
dla zmęczonego bez nadziei podróżnika

Czym jest poezja? Jest przygotowaniem
do śmierci... wbrew buntom awangardowych form
i do Odpływu do Przyływu taka pozostanie

U kresu mieć tę pasję... zemstę w pasji
taką jak Georg Haym kiedy wydobył
i znieważył trumnę Stefana George
zmienioną w skrzydło diabła pod marmurem grobu

Józef Kurylak



Fot. Wacław Kapusto

Kazimierz Brakoniecki

Historie bliskoznaczne

Poeta przekłęty

Za czasów pierwszej „Solidarności” Jerzemu Kapuście pewien młodszy od niego poeta, ale odnoszący już sukcesy w Warszawie, ponieważ drukował i w „Twórczości”, i w „Miesięczniku Literackim”, podczas drobnej popijawy powiedział: – Ty, Kapusta nigdy nie zostaniesz poetą. No sam pomyśl, co ty masz za nazwisko: Kapusta, Sałata, Warzywniak, Burak, Snopek. Trzeba mieć prawdziwego pierdolca, żeby myśleć, że z takim nazwiskiem można pisać dobre wiersze. Przerzuć się na wiejską prozę, ale w pierw przeczytaj Oziminę Berenta albo przynajmniej Zorany ugór Szołochowa.

Krzysztof Wróblewski, bo tak nazywał się ów obiecujący poeta, który powrócił ze studiów do rodzinnego miasta, nie przypuszczał, że te słowa, wypowiedziane w chwili pijackiej szczerości literackiej, tak zapadną w pamięć starszego kolegi, który przecież był już autorem arkusza poetyckiego wydanego przez olsztyński Korespondencyjny Klub Młodzieży Piszącej, zatytułowanego Wierność skibom i oddanym informatorem pionu kulturalnego Służby Bezpieczeństwa. Kapusta w latach osiemdziesiątych dokonał wiele: ukończył, pracując w oświacie, studia

bibliotekarskie w wyższej szkole pedagogicznej, opublikował w odstępie trzech lat dwa tomiki wierszy w wydawnictwie „Warmia i Mazury”, został członkiem Związku Literatów Polskich, w którym byli wszyscy przyzwoici pisarze popierający ustrój socjalistyczny, otrzymał dwupokojowe mieszkanie w bloku na Nagórkach w Olsztynie, co umożliwiło mu wyjazd z Kętrzyna, rozwód, małżeństwo z córką prezesa związku historyków-patriotów „Rodło-Godło”, wyjazd studyjny do Gruzji, a w następnym roku do Mołdawii w grupie ogólnopolskich pisarzy, w tym cenionych poetów ze słynnej szkoły poetyckiej „Drzewa Polskie”, która specjalizowała się w miłosnej poezji lingwistycznej, okolicznościowo nie unikając trudnych tematów historycznych, jak piastowski rodowód Ziemi Zachodnich i Północnych.

W tym samym czasie Wróblewski wyrzucony został z pracy w wyższej szkole pedagogicznej za próbę zorganizowania strajku na uczelni w marcu 1982 roku, zginęła – przypadkowo przejechana przez milicyjny samochód na pasach w drodze do szkoły – jego żona, nauczycielka muzyki, pół roku spędził w szpitalu psychiatrycznym, dzięki czemu przeszedł na rentę, rozpił się, w końcu nie wydał ani jednego tomu wierszy, nie licząc wydanego w 1981 roku przez redakcję katolickiego pisma „Kultura Jutra” arkusza poetyckiego Rozmowa, oraz kilku lirycznych utworów opublikowanych w skromnej antologii duszpasterstwa środowisk twórczych, kiedy jeszcze brał udział w spotkaniach twórców-przeciwników reżimu. Przestał bywać, a raczej przestano go zapraszać, na tego typu wieczorki literacko-artystyczne, podczas których czytano patriotyczne utwory, przekazywano zakazaną bibułę, dary i zapomogi, plotkowano o wszystkim co żywe i umarłe, czerwone i czarne, kiedy stał się z kilkoma ważnymi i nawróconymi na wiarę swoich ojców posępnymi osobistościami, zarzucając im, że ich przemiana antykomunistyczna jest koniunktualna, nieszczerza, skoro nie chcą odpowiedzieć na podstawowe pytania: „Dlaczego wstąpili do PZPR, dlaczego koniecznie musieli w partii pełnić funkcje ideologiczne, a dyrektorskie w instytucjach kulturalnych i naukowych, co robili w 1968 i 1976 roku i czy znają na pamięć dekalog i listę grzechów głównych”.

W tych dla jednego szczęśliwych, a dla drugiego nieszczęśliwych latach ich drogi zaledwie raz się skrzyżowały. A stało się to na przecięciu ulic Dzierżyńskiego i Teromskiego. Nie było jak się ukryć, przejść na drugą stronę, skierować oczu w dół lub w górę. Kapusta jednak pierwszy śmiało zaryzykował kontakt: – Co ty żyjesz? Nie popełniłeś samobójstwa jeszcze? – I szybko, nie czekając na replikę, zanurzył się w odważne pokonywanie zwałów pośniegowego błota. To było jego pierwsze zwycięstwo.

Drugie odniósł dwa lata później. Kapusta nie wierzył własnym oczom jak do jego pokoju redakcyjnego, a od roku szefował redakcji poezji i prozy w wydawnictwie „Warmia i Mazury”; zapukał ogolony i ostrzyżony na języka, dziwnym trafem trzeźwy Wróblewski. Rozmowa im się nie kleiła, ale to Wróblewski był petentem. Chodziło o to, że Wróblewski chciał wydać tom wierszy, że zależy mu na regionalnym i normalnym wydawnictwie, że wiersze nie są polityczne, ale dotyczą jego osobistej tragedii, że musi je opublikować, ponieważ inaczej to sam wiesz, sam jesteś poetą, to mnie dobrze rozumiesz...

Kapustą miały sprzeczne uczucia. Kartkował maszynopis położony na biurku i już wiedział, że rzeczywiście są to prawdziwe wiersze zrodzone z bólu, wiersze osobiste i niezwykle emocjonalne, których nie można byłoby inaczej nazwać jak treny po utracie kochanej osoby. Poczul szpilę zazdrości, ale zaraz się pomiarkował i obrał oficjalny ton redaktorski: – Dobra, przyjrzymy się temu, damy znać w przepisowym terminie trzech miesięcy. Niczego nie obiecuję, ale postaramy się coś z tym zrobić.

Jeszcze długo po wyjściu Wróblewskiego Kapusta siedział za biurkiem, stukał ołówkiem w maszynopis, podchodził do okna, zaglądał do wierszy, wzburzony. Wydamy pod warunkiem, że wstąpi po publikacji wierszy do naszego ZLP, ale to niemożliwe, nie zgodzi się. Schować do szuflady i odesłać w przepisowym terminie? A co z recenzentami? Nikt nic nie wie i tyle. Po co recenzje? Jestem kierownikiem redakcji przecież. To ja o wszystkim tu decyduję. Szef dał mi wolną rękę. O dziwo Wróblewski zapytany w rozmowie telefonicznej nie miał nic przeciwko temu, żeby po wydaniu jego Trenów po Tobie wstąpić do „reżimowego ZLP”, bo teraz wiosną 1987 roku nie ma to żadnego już znaczenia, a jemu chodzi wyłącznie o poezję. Maszynopis Kapusta wziął do domu, ale odłożył na półkę regału, nie czytając. Zrobiła to następnego dnia jego żona, która przywitała go, wracającego z wydawnictwa, okrzykami zdziwienia, że nic jej nie mówił, że ukrył przed nią taką wspaniałą, chociaż przeraźliwie smutną poezję: „Kto to taki, powiedz mi, z naszego miasta, czy go nie znam?”. Mogła nie znać Wróblewskiego, ponieważ pracowała w urzędzie statystycznym, a o Wróblewskim od sześciu lat było generalnie cicho. Postanowiła, że wieczorem przeczytają wiersze głośno. Lektura na obojgu zrobiła wrażenie. Kapusta musiał to głośno żonie powiedzieć, chociaż miał i swoje „ale”. Za to „ale” nie zasłużył tej nocy na miłość, bo nie „rozumiał uczuć wyższych”.

Maszynopis wysłany został do najostrzejszego krytyka zaprzyjaźnionego z wydawnictwem i respektującego obowiązującą linię postępowania, myślenia, reagowania. Niestety recenzja była entuzjastyczna: „Wydajcie tego Wróblewskie-

go, bo i wiersze świetne, i jest okazja, aby wzmocnić dobrym poetą nasze szeregi literackie". Wiosną 1989 roku tomik ukazał się w zgrzebnej szacie w nakładzie 300 egzemplarzy. Natychmiast wzbudził zainteresowanie, pomimo rozwijających się burzliwie wydarzeń politycznych o skali historycznej. Redakcja „Literatury i Sztuki” przyznała mu nagrodę książki roku. Posypały się recenzje i omówienia. Niestety Wróblewski powiesił się w tydzień po otrzymaniu pierwszych autorskich egzemplarzy tomiku. Kapustę jako redaktora i przyjaciela zmarłego poety zaczęto zapraszać na liczne spotkania, wieczory autorskie, wspomnienia, co poprawiło jego budżet i renomę literacką. Opublikował znaleziony w sublokatorskim pokoju dziennik Wróblewskiego, który po pewnych retuszach stał się biografią tragicznego poety jego pióra. Dodatkowo dołączył listy „przeklętego poety”, które napisał w gorączce twórczej w ciągu zaledwie trzech dni. Kiedy państwowe wydawnictwo padło w dwa lata po ustanowieniu wolnego rynku, Kapusta założył własne, jednoosobowe „Północ”, które przez pięć lat nieźle prosperowało, wydając serię „Polskich Poetów Przeklętych”. W końcu wyjechał do Nowego Jorku, pracować przy rozbiórce domów, kiedy nadarzyła się okazja, gdy jeden z krewnych z Grajewa zwolnił mu w zgranej ekipie budowlanej miejsce.

Wyznanie

Gdybym tak musiał siebie określić jednym słowem, to bym powiedział: łajdak, zwyczajny łajdak. Zaskoczyłem cię? No tak, no nie. Wszystkiego ci nie opowiem, i tak opiszesz, jak będziesz chciał, ale uważaj na szczegóły. Detale są istotne, bo wielkie wydarzenia są jakieś takie masakrujące. Każdy jakoś tam przechodzi przez te wielkie wydarzenia podobnie, ale tak naprawdę w pamięci i świadomości zostają małe doznania, które cię wyróżniają i zapamiętujesz coś doniosłego właśnie z powodu drobiazgu, który buduje cały nastrój zdarzenia, losu, przypadku. Na przykład: dostajesz w nos, a zapamiętujesz zapach błota, w które się walisz. Nie pamiętasz twarzy żadnej z zaliczanych setkami dziewczyn, a trapi cię spojrzenie jednej, którą minąłeś bez słowa na ulicy w obcym mieście. W ogóle za dużo tłumaczy się takie a nie inne działanie ludzi obiektywnymi procesami historycznymi i społecznymi, kiedy tak naprawdę o postawie jednostki decyduje chwila, jakiś szczegół, emocje, zwłaszcza emocje, często przypadkowe wręcz zachowania. Ja zachowywałem się chaotycznie, impulsywnie, a postronni obserwatorzy myśleli że prowadzę jakąś zmyślną grę. A może to była i chaotyczna gra, która stała się losem? Początki miałem trudne, cholernie trudne. Zważywszy epokę.

Moja gra albo inaczej – moje cwaniactwo wytłumaczenie znajduje w wielkiej historii, a jednak teraz pod koniec życia, kiedy mam to wszystko w dupie, wolę mówić o grze bez żadnych zahamowań o przetrwanie. Przechytrzyć wszystkich, oto być lub nie być! I chwycić to życie zębami i nie puścić! Durniom, wierzącym, przestraszonym sypać karmę pochlebstw, pogardy; innym zaś daninę politycznej poprawności – i cieszyć się całymi zmysłami. Trzeba się spieszyć, to tylko dla robaka w grobie jest wszystko jedno czy żre ascetycznego fanatyka, czy rozumnego cynika, tęgiego opoja czy jebakę, wykształconego głupca czy sentymentalnego samobójcę.

Ja też miałem te swoje magdaleny Prousta. Różnorodne. O wiele bardziej dramatyczne niż jego magdalena. Na mnie możesz uczyć się historii tego miasta. Urodziłem się jesienią w 1945, kiedy rodzice tu się osiedlili po zdobyciu Allensteinu przez Armię Czerwoną. Chyba jestem pierwszym urodzonym olsztynianinem. O zobacz, jakie mam sznyty na przedramieniu, a tu na opuszkach palców widzisz jakie znaki? Oto moje magdaleny. Kiedy za karę w domu dziecka, tu na Nowowiejskiego, wsadzano mnie do piwnicy, żeby zwrócić na siebie i uwagę i wyjść, ciąłem te palce i zanurzałem w wodzie, bo tam łyna zalewała podziemia blisko stojących budynków. Nie ma teraz tam tych domów. Patrzę sobie na te sznyty i już tam wracam.

Mój dziadek walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, ojciec bronił granicy wschodniej we wrześniu 1939 w Korpusie Ochrony Pogranicza. Rodzice mieszkali wówczas w Baranowiczach. Odbyla się tylko jedna większa bitwa, po niej ojciec uciekł do lasu, resztę żywych żołnierzy i oficerów wzięli do niewoli Rosjanie i słuch po nich zaginął. Oczywiście szarża znalazła się w mogiłach Katynia. Ojciec wołał iść na zachód dostać się do niewoli niemieckiej, co uratowało mu życie. Prawie zaraz po wojnie sądzono go, dostał karę śmierci. Udowodniono, że kiedy wkraczali Rosjanie do miasta w 1939 roku, to kazał otworzyć ogień do Żydów i Białorusinów, którzy rozpoczęli antypolską rebelię. Do samego Bieruta z matką pojechaliśmy o ułaskawienie. Posiedział kilka lat do odwilży październikowej w 1956, ale i tak szybko zmarł. Ja dostałem się do domu dziecka, matka wyszła ponownie za mąż, a ona nie miała już polskiego obywatelstwa, bo zrzekła się go w czasie wojny, kiedy władze radzieckie taką akcją siłą przeprowadzały na ludności polskiej, która mieszkała na terenach dawnego państwa polskiego, od końca 1939 włączonych do ZSRR. Co? Twoja matka i babka nie zrzekły się i trafiły na wiele tygodni do więzienia? Moja się zrzekła i ten mały detal miał swoją wagę w moim życiu.

Wiem, że mnie sporo ludzi nie lubi. Nie muszą. Długo miałem taki młodzieńczy wygląd, buziaczek w okularkach. Ale lubiłem się bić, byłem ostry. Aż do krwi. Chodziłem do jedynki na Mickiewicza. Jak teraz jadę samochodem po województwie i mijam te wszystkie miejscowości, stary, to myślę sobie, że w każdej z nich rypałem jakąś fajną dziewczynę. Czasami trzy razy dziennie i prawie za każdym razem inną. Miałem taką odzywkę, jak ktoś dziwił się, że nie interesuje mnie poziom intelektualny dziewczyn: „Stary, przecież nie będę jej pierdolił w mózg!”. Co za cudowne czasy tamte lata 60. i 70.! Pracowałem prawie wszędzie, do partii wstąpiłem w odpowiednim momencie, ale nigdy nie byłem nawet sekretarzem POP. Lubiłem funkcje, zawsze jakimś tam małym dyrektorem mnie mianowali, ale wpierw zostałem pierwszym hippisem w Olsztynie. Pierwszy chodziłem boso po mieście. A włosy miałem do ramion. Pierwszy założyłem dyskotekę, klub filmowy. A przecież jak Stalin umarł, to szedłem w pochodzie – jako dzieciak zupełnie wraz z dużo ode mnie starszymi ZMP-owcami, którzy ubrali mnie w białą koszulę i czarne spodnie – płacząc rzewnymi łzami. No więc chlałem jak parowóz, a towarzystwo nasze, najlepsze wtedy w mieście, było przednie. Od maja do września rządaliśmy na plaży miejskiej, gdzie na boczkach obracaliśmy falami dziewczyny. Mieliśmy też swoją stanicę na mazurskich jeziorach, żaglówki, całe dnie i noce balangi, i to przez całe lata. Źyć nie umierać! Trzeba umieć wykorzystać swój czas! Socjalizm PRL-u to moja młodość i tyle! Jakie fajne i chętne były wówczas kobietki, jakie klimaty do nieustającej zabawy! A poza tym była wielka literatura i sztuka. No patrz, wymienię jak leci: Hasior, Andrzejewski, Wajda, Hass, Konwicki, Herbert, Grochowiak, Przyboś, Penderecki, Lem, Kawalerowicz, Różewicz. Wystarczy? A ile przekładów – od literatury francuskiej poczynawszy na hiszpańskiej skończywszy! A Rolling Stones, a Beatelsi, a Joplin? Płyty sprowadzało się, byliśmy na bieżąco. Ci oczywiście, co chcieli i umieli się koło tego zakręcić. Piłem w Warszawie z Iredyńskim i Głowackim. Sam pisałem trochę, dwa razy nawet we „Współczesności” drukowałem opowiadanka. Jak by nie człowieku!

Jak pracowałem w Pax-ie, to ten dzisiejszy wówczas młodzieńki Dorn w Warszawie kawę mi podawał. Zauważ dobrze! Mojego ojca karali komunistyczni Źydzi w ubecji po wojnie za to, że był prawdziwym Polakiem, a teraz Dorn, z komunistycznej, żydowskiej rodziny, teraz będzie mi kazał, jak ja mam żyć narodowo i kościelnie. Takie rodziny, jak Borowscy, Kwaśniewscy, czy Michniki, to też żydowskie rodziny komunistyczne, ale oni przynajmniej zwekslowali do socjaldemokracji. Nic przeciwko Źydom nie mam, ale powolutku przechrzty wpro-

wadząc do Polski faszyzm. Co? Pokręcone to co mówię? Powolutku, powolutku. Sam doświadczysz na własnej skórze!

Teraz, kiedy w mieście byłem wszystkim – poza prezydentem – to wiesz co, chciałbym zostać męczennikiem. W Londynie zmywałem naczynia w Instytucie Polskim, w Paryżu siadywałem w kawiarniach Flore i Deux-Magots, tam gdzie Camus i Sartre siadywali, w Kaliningradzie pijany na umór śpiewałem z Rosjanami wojenne szlagiery. Moje ulubione buty kowbojskie kupiłem w Teksasie. Chodziłbym całe życie wyłącznie w dżinsach. Kultura francuska jest mi najbliższa, chociaż za nimi tak w ogóle osobiście nie przepadam. Ale Pascal, Montaigne i Wolter! Geniusze! No i słuchaj dalej. Modlę się o to, aby bracia Kaczyńscy zbudowali nową Berezę Kartuską. Chciałbym się w niej znaleźć. To byłoby zwieńczenie mego wariackiego życia. Grzegorz Przemyk nie był męczennikiem, był za młody, popychały go młodzieńcze emocje i sama historia leciutko go połknęła. Ksiądz Popiełuszko też w zasadzie nie był męczennikiem, chociaż oczywiście go zamęczono. Nie zdążył dojrzeć. Jeżeli faszyzacja kraju będzie kontynuowana, a raczej tak będzie, bo naród siedzi cicho przestraszony, to pod koniec życia zostanę świadomym męczennikiem w nowo powstałej Berezie Kartuskiej. Za co? A chociażby za to, że byłem zwyczajnym łajdakiem i nie opuszczało mnie dobre samopoczucie. Ja wszystko robiłem, żeby zostać łajdakiem i nim zostałem. Jasne, nikogo nie zabiłem, ale co ludzkie to nic nie jest mi obce. Można mi wiele zarzucić, ale dobre samopoczucie i tak mnie nie opuści, bo robiłem to, co chciałem. Powiodło mi się, a ludzi to denerwowało. Wiem, że mówili o mnie, że jestem jak gówno, co to na wierzch zawsze wypłynie, ale ja po prostu miałem dobrze rozbudowany instynkt samozachowawczy, trzymałem się władzy, lubiłem towarzystwo i balangi, kochałem się w wysokiej kulturze i sztuce, oddawałem to, co cesarskie cesarzowi, a to co boskie, Bogu. Bo wiesz, ja jestem socjaldemokratą wierzącym w Boga. Jak ja w Boga wierzę, kurwa nie uwierzysz! Jak Pascal w tym swoim zakładzie. Lepiej wierzyć niż nie wierzyć, bo jak umrzesz, a Boga nie będzie, to nic się nie stanie, a jak by był, to coś cudownego i zbawczego! A ja śmierci zupełnie się nie boję. Uwierz mi. Poczęty w III Rzeszy z rodziców polskich niewolników, a urodzony w niemieckim Allensteinie, zdobyty – czy jak mówiono do niedawna wyzwolony – przez Armię Czerwoną, do której nieco wcześniej w obronie Polski strzelał mój stary, wrzucony do domu dziecka, gdzie walczyłem o przeżycie, sporo nie rozumiejąc o co w tym życiu chodzi, postanowiłem wziąć to życie za twarz! Zostałem komunistą polskiej kultury pop! Całe życie w tym samym mieście – od młodzieńczego neurastenika w okularkach przez hulakę, bawidamka, przekornego hipisa po rozrywkowego

dyrektora i szanownego, partyjnego notabla miejskiego, i co, teraz katolickonarodowy Dorn przyjedzie po mnie i wrzuci mnie do Berezy za to, że nigdy nie byłem fanatykiem, że brałem życie jak leci, że aby wyrwać się z gówna musiałem to gówno w diament przerobić, że głośno słuchałem muzyki, rznąłem panienki pchające się drzwiami i oknami, że traktowałem wszystkich i wszystko zgodnie z tym, jak na to zasługiwali, stosownie do tego, co sam od nich chciałem uzyskać? Tak, chcę na emeryturze zostać pierwszym świadomym męczennikiem narodowokatolickiej IV Rzeczypospolitej! Ale jaja! Co nie, co tak?

Z dziennika Michała Braclawskiego

Wiosna 1984

Cieplutko wreszcie, słonecznie, idziemy z żoną na spacer nad jezioro. Po powrocie przepisuję sobie Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 6 stycznia 1984 roku w sprawie warunków użycia środków przymusu bezpośredniego przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej:

Paragraf 2. Środkami przymusu bezpośredniego są:

1) fizyczne i techniczne środki służące do obezwładniania lub konwojowania osób oraz zatrzymywania pojazdów:

- a) siła fizyczna,
- b) kajdanki,
- c) prowadnice,
- d) kaftany bezpieczeństwa,
- e) pasy i siatki obezwładniające,
- f) kolczatki drogowe;

2) milicyjne pałki gumowe,

3) chemiczne i wodne środki obezwładniające:

- a) aerozole,
- b) miotane (odpalane lub rozlewane);
- 4) psy służbowe,
- 5) pociski miotane.

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 6 stycznia 1984 roku w sprawie warunków użycia broni palnej przez funkcjonariuszy SB i MO:

Paragraf 4. W razie wykonywania czynności służbowych przez dwóch lub więcej funkcjonariuszy, decyzję o użyciu broni palnej podejmuje funkcjonariusz, któremu zlecono dowodzenie lub kierowanie daną czynnością. Jeżeli nie ma on możliwości

wydania rozkazu, decyzję o użyciu broni palnej podejmuje funkcjonariusz wykonujący czynność.

Paragraf 5. Użycie broni palnej przez oddziały i pododdziały zwarte Milicji Obywatelskiej następuje na rozkaz dowódcy...

Właściwie ruch protestu społecznego i narodowego (lato 1980 i rok 1981) rozpatrywać można jako apogeum narodowego chrześcijańskiego ruchu socjalistycznego, którym wyraziła się ogromna chęć powrotu do własnej narodowej tradycji, do źródeł tożsamości narodowej i religijnej oraz jednocześnie do źródeł nieskażonego złem władzy socjalizmu socjalnego. Czyli wołanie o godność człowieka jako osoby. Po zniszczeniu utopijnej ewangeliczno-socjalistycznej „Solidarności” przez wojujący i starzejący się komunizm państwowy nie ma żadnych ideałów, dla których warto byłoby żyć, a tym bardziej umierać w tym smutnym kraju.

W gazetach, które przeglądam w czytelni biblioteki wojewódzkiej, propaganda – zalew „czynów partyjnych, spotkań, dialogów, nawoływań i rezolucji”, które swoją żarliwą martwością próbują ożywić drewniany język, a tym świat, komunistycznej ideologii. Prasę czyta się ze zgrozą, jak coś martwego, nierealnego, co konając, rzuca się w tę czy tamtą stronę życia, rozdając ośleple i oszalałe uderzenia.

Od tylu lat mówi się w związku z upadkiem humanistycznych wartości, z totalizmem wynikłym z ubóstwienia człowieka i jego świeckiej historii, którą symbolizuje państwo, a wreszcie partia – państwo, że jedynym warunkiem odrodzenia jest lub w najbliższych latach będzie wiara, religia, że jedynie przywrócenie Boga stanie się szansą na uniknięcie zła i zagłady człowieka jako gatunku (np. w wojnie atomowej). W ten sposób mówiąc „Bóg” (autorytet transcendentny) zakłada się automatycznie, że za religią w Boga nie stanie Kościół i jego kapłańscy urzędnicy, którzy domagać się będą przekształcenia państwa w państwo religijne, ale jakieś nieskonkretyzowane bliżej uczucia „dobra, wspólnoty, miłości, prawdy”. W Europie nie ma żadnego Boga polityczno-etycznego ale Bóg historyczno-prywatny. Już nigdy w Europie nie będzie rewolucji religijnej, za dużo krwi polało się w imię religii w Europie, abyśmy teraz – przeciwstawiając się totalizmowi komunistyczno-sowieckiemu – masami ruszyli do walki o prawdziwego Boga. Nawet to marne życie w PRL, to przecież życie, a nikt mnie nie zapewni, że po śmierci nie będzie kościelnego PRL-u! Ja mam dosyć i tego i tamtego świata! Genialny Orwell przeczuł rok 1984, ale nie wiedział, że to dzięki zdradzie Anglii, Francji, Ameryki, to

właśnie my, narody Europy Środkowej, cierpieć musimy od dziesięcioleci w imię „lepszego jutra”, które jest paskudnym dzisiaj.

To automatyczne utożsamianie „Boga” (co to, kto to w ogóle jest? nikt przecież poza schizoidalnymi prorokami albo oszołomionymi szamanami go „nie widział”) z jedynym Autorytetem Wartości musi doprowadzić do rzeczy strasznych: nie dość że kościelno-państwowi funkcjonariusze w sutannach utrudniać będą życie codzienne (jak podobnie jest w agonalnej epoce komunistycznej), to jeszcze będą straszyć wizją piekła, mąk pośmiertnych, co już teraz skłania mnie do myśli o wyjeździe na Nową Zelandię.

Idolatrie religijne i partyjne – wynik tej samej ludzkiej potrzeby szczęścia, bezpieczeństwa, nieśmiertelności.

Poszedłem dzisiaj na spotkanie Duszpasterstwa Środowisk Twórczych przy kościele Serca Jezusowego, gdzie produkowali się nasi lokalni literaci. Sporo było inteligencji. Czytanie wierszy skończyło się awanturą, w której zarzucano sobie nawzajem publikowanie w prasie literackiej i w państwowych wydawnictwach. Szczególnie gromko wypowiadał się pewien nawrócony na wiarę ojców krytyk literacki, który całe lata pracował dla komitetu wojewódzkiego partii. Smutne wrażenie chaosu. A wiersze nudne. Albo cikliwie katolicko-narodowe albo rozpaczliwie posępne. Nie przyjdę tu już więcej.

Ksiądz C. Pozo SJ, autor artykułu Wieczne dziewictwo Maryi: „Sądzimy, że realna różnica między dziewictwem przed porodem a dziewictwem w czasie porodu ma charakter dogmatyczny i dlatego nie można dopuszczać takich interpretacji (że Maria Boska rodziła jak normalna kobieta, a jedynie poczęła w sposób dziewiczy)”.

Gershom Scholem: „Żydzi mieli zawsze fatalną skłonność do mesjanizmu. Zangażowanie Żydów w komunizm, na przykład, jest konsekwencją żydowskiego mesjanizmu. Syjonizm nie jest wyjątkiem”.

W przeddzień Święta Pracy przechodziłem, ciepłym, mokrym popołudniem przez plac koło Domu Partii. Z rozwieszonych już głośników na cały regulator pouczano mieszkańców, co to jest osobowość. Lektor powoływał się na książki zachodnioeuropejskich autorów; dowodził, że osobowość jest wytworem konkretnych bodźców

społecznych i historycznych, że to nie jest abstrakcja. Wreszcie zakończył: „Tak więc wygląda kolejna teza Marksa o Feuerbachu”. Prawie puste, przystrojone flagami ulice oczekujące jutrzejszego pochodu rozentuzjasmowanego tłumu. Na pobliskim budynku slogan: „Przez patriotyzm rozumiemy czyny”. Zaraz też rozszalała się wichura. Zaczął walić ukosem gęsty deszcz. Schroniłem się pod dachem Hali Widowiskowo-Sportowej. Przybiegli zmoczeni milicjanci. Kto ich dojrzał, to próbował znaleźć sobie inne miejsce, które by go uchroniło przed ulewą. Z daleka widać było drgającą na silnym wietrze trybunę. Do jej środka prowadziły drewniane schody. Mała i jałowa, jak ludzie, którzy jutro ją wypełnią, aby pozdrawiać przechodzące masy. W zaciekłym deszczu świeciła upiornie białoczerwonymi pasami, stojąc przy czarnej jezdni.

Jest po siódmej wieczorem. Wykąpałem córeczkę, uśpiłem w wózku, teraz będę czytał. Jest jeszcze jasno na dworze. Zieleni cudownie świeża. W publikatorach podniecenie – będziemy wybierać odpowiednich ludzi do rad narodowych. Mnie to nie dotyczy. Pracuję w bibliotece, siedzę za regałami, zarabiam na wegetację naszej trzyosobowej rodziny bez przyszłości. Brak jakichkolwiek perspektyw i ta samowiedza, że żyjesz w cudzym gównie, bez żadnego wpływu na cokolwiek.

Orwell: „Jednak nawet najlepszą ścianę na świecie powinno się zburzyć, jeżeli otacza obóz koncentracyjny”.

Gide: „Jest taki sposób adorowania Boga, który sprawia na mnie wrażenie bluźnierstwa. Jest taki sposób negowania Boga, który łączy się z adoracją”.

Wiosna 1994

W telewizji sceny okrucieństwa, spektakle nienawiści – w Izraelu, RPA, Gruzji, Bośni, Niemczech (podpalenie synagogi w Lubecie), Włoszech, Rosji, Anglii, Polsce (bomby podkładane przez mafię). Korupcja i degradacja etyczna elit władzy, polityków bez względu na kraj i zasady. Czasy przejściowe wywołane epokowymi zmianami systemowymi (upadek komunizmu) czy wstępny etap przed światową rewolucją? W imię czego? Dostępu do konsumpcji? Co ja mam z tym wspólnego, skoro jako inteligent i w tym kapitalistycznym systemie nie mogę odnaleźć swojego miejsca? Dlatego nadal pracuję w bibliotece. Ale, ale... awansowałeś przecież na kierownika działu zbiorów specjalnych.

Tak więc żyjemy w okresie przełomowym i światowym. Ponownie zostanę świadkiem spektaklu, ale tym razem o wymiarze uniwersalnym. Jako obserwator czuję się lepiej niż za komuny. Ale nie spodziewałem się, że bardziej – i to po odzyskaniu wolności i niepodległości przez Polskę – jestem skołowany myślowo. Człowiek jako gatunek dotarł do pewnego kresu pojemności emocjonalnej, psychoegzystencjalnej, moralnej – znów pojawiła się jako realna pokusa barbarzyństwa. Czy i tym razem – pomimo wielkich ofiar albo dzięki tym niewinnym ofiarom – człowiek cośkolwiek zrozumie, pokona swoje ograniczenia, zwierzęce pochodzenie i nadzwierzęcą agresywność? Wszystko tu na ziemi trwa do czasu, jest ograniczone prawami znanymi i nieznanymi, ale najgorsza jest niepewność co do istoty samego Człowieka działającego w historii. Należę do pokolenia, dla którego II wojna światowa była ważnym i żywym odniesieniem. Nie spodziewałem się, że powróci ona jako odniesienie dla nowych ruchów i wydarzeń, kiedy wydawałoby się że jej niszczącego rozwiała w końcu Jesień Ludów 1989 roku.

Wszystko zawiodło i wszystko może powrócić skarykaturowane.

Łatwo napisać: uratuje nas miłość.

Ale jaka, do czego, z kim i po co? Tak jak jest dobra i zła pamięć, wrażliwość, świadomość, wiara, tak jest zła i dobra miłość.

Wielki Piątek – jak nigdy żadnych z tego powodu emocji religijnych i antyreligijnych. Jednak przykro widzieć koło sklepu z piwem (słynne teraz EB), koło kościoła, kilka gromadek podchmielonych mężczyzn. Wśród jednej z nich zniszczona kobieta w stroju dzinsowym. Stoi przechylona przez druciane ogrodzenie i rozmawia z poobijanymi i rozrośniętymi facetami. Krzepki starzec o twarzy koloru betonowego kręgu gładzi ją po dzinsowym brzuchu przez dziurę w siatce i wychwala jego kształt.

Stale myślę o wydarzeniach toczących się na świecie. Zmiany na europejskim Wschodzie dowiodły, jak bardzo europejski Zachód był związany (politycznie, gospodarczo, ideologicznie, kulturalnie) z krajami socjalistycznymi. Destrukcja stabilności, wolność uzyskana przez zniewolone państwa – to dla Zachodu upadek ich własnych autorytetów (politycznych i intelektualnych z kręgu szeroko pojętej lewicy), wzrost bezrobocia (wyprowadzka fabryk w poszukiwaniu tańszej siły roboczej), lęk przed jednoczącą się Europą, wzrost szowinizmu i partykularyzmu. Wschód, garnący się do NATO i Unii – postrzegany jest jako niestabilny, a sama Europa ujawniła swoją niemoc wobec wojny na Bałkanach. Zjednoczona Europa jest więc

Mitem. Można ponownie napaść na obcy kraj, zrobić szwindel swojemu narodowi, pleść nikczemne głupstwa antysemickie i pozostawać cenionym politykiem.

Papież grozi Apokalipsą, głód dziesiątkuje społeczeństwa i narody, wybuchają lokalne wojny – cały scenariusz katastroficzny, o którym jeszcze kilka lat temu bym nie pomyślał. O co w tym wszystkim chodzi? Rozpad drugiego, po faszyzmie-hitleryzmie, totalitaryzmu dwudziestowiecznego miałby być taki kosztowny?

Wiosna 2004

Dwoje ludzińków wyszło sprzed sądu rejonowego: „Gdzie idziesz, tu nasz czerwoniak staje!”

Jaki „czerwoniak” (autobus)? Może z obrazu Czerwony autobus Linkego, w którego wnętrzu – wraz ze Stalinem – jechała cała stara i nowa, powojenna, udręczona Polska. Z kierowcą robotem, widmem, śmiercią.

Kończę 50 lat. Jeden dzień taki długi, a życie takie krótkie. Rodzice nie żyją. Przyływy optymizmu i pesymizmu.

Życie jest paradoksalne. I to mnie trzyma przy życiu. Jak ta wiosna, która wreszcie przyszła. Jak co roku zresztą. Ile takich wiosen jeszcze? Pięć, dziesięć, dwadzieścia?

Kiedy idę na spacer, to wraz ze mną idą: matka, ojciec, babki, dziadkowie. Moi umarli. Ale chyba najbardziej matka.

Jeszcze będę lekki. Łżejszy niż ta wielokrotna śmierć. Depresja minie, wzmocnię się, mam przecież kochającą żonę i córkę.

Choroba serca, która uniemożliwia mi normalne życie. Przechodzę na rentę.

Dowlokłem się do pobliskiego zakładu fryzjerskiego. Dwie dziewczyny, raczej ładne. A przede wszystkim młode. I właścicielka niestara, nawet przyjemna. Trochę rozmawiamy. Odwieczny rytuał. Ręce i głowa obcego. Rytuał ścinania włosów, głowy, marzeń. Masaż, odprężenie. Bez erotyki? A jednak trochę. Na szczupłej ręce strzygącej mnie brunetki widzę moje, właśnie ścinane włosy. Podnieciło mnie to. Moje włosy na młodej, nieznanej mi ręce młodej kobiety, która mogłaby być moją córką. Nie zrzuciła ich do

końca strzyżenia – świadomie? Czułe misterium? Ty głupi, chorowity pięćdziesięciolatek! A jednak miło tak pomyśleć. Wychodząc, dałem dziewczynie większy napiwek.

Ludzie stają się ludźmi we wspólnocie. Są komunikacyjni z natury. Inaczej nie byłoby człowieczeństwa, mowy, społeczeństwa.

De Mello: „Pozostaw ból swemu własnemu losowi”.

Polska w Unii Europejskiej. Kiedy Polska weszła do NATO okazało się, że pakt ten jest nierychliwy i osłabiony; kiedy weszła do zjednoczonej Europy – ta weszła w poważny kryzys polityczny.

Fatum?

Ani Ateny, ani Jerozolima, ani Rzym. Więc co pozostaje? Bagdad, Teheran, Delhi, Pekin, Lhasa?

Gdybym szukał Boga na miarę XX wieku, stulecia ludobójstwa, to jedynie Jezus, jako Bóg-Człowiek Cierpiący Niewinnie, byłby wiarygodny moralnie, egzystencjalnie, religijnie. Jako Bóg, który cierpiał naprawdę i naprawdę zginął (umarł), poznał zło i zszedł do piekła samotnego bólu odrzucenia. Takim Jezusem, Synem wzgardziły niepoczytalny Jahwe, surowy Bóg Ojciec, despotyczny Allah, wyluzowany Brahman itd. Jedynie pohańbiony okrucieństwem ludzi Jezus może być wiarygodnym bogiem etyki najwyższej w wieku Gułagu, Auschwitz, Hiroszimy. Adorno twierdził, że po Auschwitz nie może być poezji. Nie, po Auschwitz nie może być żadnego wiarygodnego Boga, nawet jeżeli założymy (ja tak nie zakładam), że bogów i religie nie stwarzają ludzie (co za przesąd!) jedynie... co? Nie może być nie tylko Boga, ale przede wszystkim żadnego Kościoła (judeochrześcijańskiego), ponieważ żaden Kościół w Europie (a nauka Chrystusa to miłość do Boga i bliźniego!) nie sprostął nauce ewangelicznej. Co tu dużo mówić – ziemski Kościół jako instytucja (rzymskokatolicka, protestancka, prawosławna) zdradził Chrystusa, aby przetrwać (jako Rzym lub Moskwa!). Zapał się Jezusa po raz kolejny jak Piotr, a teraz głosi, że Bóg jest Miłosierdziem! Wiadomo dlaczego. W Kościele nie ma Chrystusa już od wielu wieków, może od zawsze (pomijam jednostki, dusze gorące, ewangeliczne, które i tak najczęściej palono, tępiono, wyganiano z Kościoła triumfującego na Ziemi). Gdybym szukał teologii dwudziestowiecznej, to jedynie w etyce Bonhoeffera widziałbym wiarygodne i autentyczne przesłanie ewangeliczne, po-

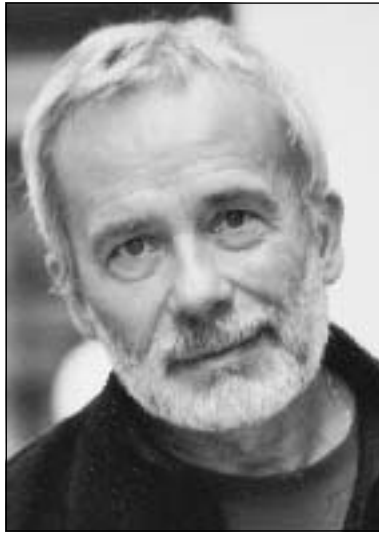
nieważ w tej myśli etycznej objawiło się w pełni przekonanie, że to drugi człowiek jest Bogiem, że bliźni jest jedyną dostępną i sprawdzalną transcendencją etyczną (etyka w praktyce społecznej niemożliwa do zrealizowania, ponieważ człowiek jest ułomny, grzeszny i egoistyczny; pozostaje więc głos sumienia indywidualnego). Religia to przede wszystkim etyka życia, a nie dowody (a wszystkie wątpliwe) na istnienie Boga jako maszynierii (robota) logiczno-metafizycznej. Muzułmanie nie stracili swojego Boga na Krzyżu, nie stracili swojego Allacha w Auschwitz i w Gułagu, dlatego praktykują religię plemienną, autorytarną, dosłowną, wykluczającą, z której chcą uczynić globalne wyznanie archaiczne i militarne. A powrotu do „źródeł” nie ma! Chyba że przez groby niewinnych, skrzywdzonych, oszukanych. W naszych czasach każda religia jest polityczna, każda ideologia jest religijna. Koniec jest podobny – żąda władzy nad ludźmi i światem (ziemskim). Religia to nie opium dla ludu, religia to cała władza w ręce oszustów.

Prawie ewangeliczny Kuroń zmarł. Nad jego trumną zgromadzili się w pierwszym szeregu jego prześladowcy. Znow bogaci, usprawiedliwieni, poprawnie myślący.

Girard: „Autentyczne przesłanie chrześcijaństwa polegało na zniesieniu jakiegokolwiek hierarchii”. Gdyby o tym jeszcze Kościół wiedział i zechciał się dostosować do Ewangelii. Kult przyjemności, spektaklu, wirtualnej rzeczywistości, kłamstwa, towaru itd. Ćadnych pokus, żeby zmieniać świat, Polskę itp. Wizja globalna kloaczna: ludobójstwo, czystki etniczne, pedofilia, klęski żywiołowe i wszystko na pokaz w telewizorze. Co nie przejdzie przez telewizję, to nie istnieje.

Sen nad ranem i to świadomy: Lecę, unosząc się w kosmicznej (czarnej, przetykanej gwiazdami) przestrzeni. Z „materią” połączony jestem długą „taśmą”, która utrzymuje mnie w lekko zagiętym szeregu bliskich mi dusz--osób-istot. Unosimy się, przekazując sobie bez słów dobro, dobry nastrój, szczęście. Mamy ludzką tożsamość, ale nie jesteśmy ludźmi. To nie monady, lecz wspólnota najbliższych sobie „dusz-emanacji”. Jestem wewnątrz i na zewnątrz. Obserwuję i uczestniczę. Ulga. Pełnia. Błogostan. Wreszcie nicłość.

Kazimierz Brakoniecki



Fot. Janusz Stankiewicz

Bogusław Kierc

Według świętego Jana

Na co Ci moje gadanie, wzdychanie,
łypanie okiem, łapanie zachwytem,
co przyzwoite, co nieprzyzwoite –
rozpatrywanie: przyjaźń czy kochanie,

kiedy sam jesteś gadaniem, wzdychaniem,
łypaniem, okiem, łapaniem, zachwytem
i jakieś moje – z Ciebie wydobyte –
j a nie chce uznać za swoje mieszkanie

m n i e, który i tak w Tobie się pokłada,
o płeć nie dbając ani o starości
należną godność, gniecie świeżą pościel
w łóżku Twojego snu, może się nada

na uwiecznienie, bo wierzy, że wieczny
sen unieważni dwuznaczność pragnienia,

które Cię w widmo słoneczne przemienia,
gdy sam pragnący czuje się słonecznym

widmem w przejrzystej osmozie tych światel,
którymi siebie wzajemnie wabimy,
niedostatecznie wiedząc o tym, czy my
jesteśmy jeszcze na tym świecie, za te
widma się mając, czy tylko sprawdzamy,
który którego zwodzi i do skraju
nieba przy ziemi przywodzi, by zajął
miejsce najbliższej jaspisowej bramy.

J 21, 15-17

Skoro kto inny zapisał te Tobie
nie powiedziane słowa (choć też
mam pewność, że Twój anioł stróż już dobiegł
do nich, nim chciałem powiedzieć: Ty wiesz,

że...) już nie muszę głupio patrzeć w oczy
aż w głąb Twych źrenic, żebyś z samych mgieł
moich tęczówek domyślił się, o czym
wiesz, albo – co wiesz, kiedy widzisz mnie

tak patrzącego na Ciebie, bo zaraz
palcem na szybie napiszę te trzy
liczby przytknięte do joty; Ty staraj
się odcyfrować, jak to idzie – i

wtedy, jeżeli za chwilę zamkniemy
oczy – zrobimy to jedynie, by
uwierzyć, że deszcz między nami przemył
ciszę i słychać tykot tętna: Ty...

Jakby z ciała wyleciała

Danusi

To już tak było: wyłazę ze skóry
jakiegoś tryka zarżniętego na
futro i mięso (nie jem baraniny);

siedemdziesiąty – nie pamiętam, który
rok, wigilijne popołudnie na
plaży; więc wbiegam, niewinny i siny,

nago, w osłonie śnieżycy, do morza
lodowatego, ale lodu w nim
nie czuję, czuję tylko przemienienie

ciała, na którym sam się gasi pożar
gwiazd śnieżnych, chociaż mnie w nim nie ma, ni
nigdzie; ktoś (?) zdążył moją duszę przenieść

na wzgórze obok wiejskiego cmentarza,
gdzie mnie krzyżują i też sypie śnieg
na ciało, które, by ciałem Chrystusa

być mogło w Pasji, chętnie się naraża
na nieestosowność, bo przecież nie mnie
tu widać: jam się w Drodze umorusał

po trzech upadkach na rozmięklej ziemi,
żeby pamiętać, żem się z tego wziął
i że w to samo znów się stąd zabiorę.

Ale na razie jest tak, że gołymi
ciałami się dotykamy, choć zdjął
je tamten pożar z nas. Całkiem nie w porę.

Wielki Czwartek

Już się skończyło. Teraz obnażają
ołtarz; ściągnęli obrus byle jak
(nie są świadomi tego, że to znak
innego zdarcia szat i nie zwyczaj

ledwo pamiątką jest). Obok ołtarza
chłopcy zdejmują komeżki; w czerwonych
niby sutannach są, przed Obnażonym,
kardynałami o dziecięcych twarzach

albo ptaszkami, które w Jego ranach
zatopią dziobki jutro, gdy całować
przyjdą krucyfiks. Lecz teraz rozmowa
przy rozbieraniu jest nieokiełznana

(wędzidłem? taktem? czego chcę?); szczebiocą
śmiało, bo nie ma Go w tabernakulum.
No i co z tego? Nic. To, że do bólu
czystego stoi wśród nich ogołocon.

Bogusław Kierc



Fot. Jerzy Lewczyński

Kazimierz Nowosielski

Kartki

Idę podnosząc kartki
wyrwane z księgi losów:
strzęp gazety kamyk ślad chmury
na kępie przydrożnej trawy –
W oknie mijanego domu
światło odbite Głosy
dochodzące zza ściany „Wracaj
Zdążysz się jeszcze napłakać”
Podnoszę je i układam
wedle ciszy rzeczom nieznaney
słów – ich muzyki
niosącej pamięć losów niespełnionych
a już oddawanych
kartkom i chmurze
kępom szarej trawy

Podróże

Pora kiedy najdalsze podróże
same przychodzą do mnie: dom
stara śliwa za oknem
z resztką białych kwiatów
pióro na stole i szklanka z herbatą
intensywny o zmierzchu zapach macierzanki
kiedy drzwi otwarte – owe rzeczy
najdalsze – na wyciągnięcie ręki;
ich wysokie w słowach
niezdobyte światło

Przy studni

Chłopiec
wrzuca kamyki
do studni
– słucha
poruszonych ciemności

Ledwo wyszedł z domu
(W oczach ma żar jeszcze
gdyż odłożył książkę)

Chciałby choć sercem
swój pocieszyć rozum
gdyż wie wciąż
tak mało

Ale to co słyszy
– echem słów zaledwie
jakby z innej ciszy
przychodzącym

z innej ziemi

Znowu

I znów odwracasz kartki
nasycone ciężarem
ziemskich barw
kurzem przebytej drogi
rozbłyskami pamięci

Tam dom wśród akacji
Wiatr – maruder pieśń kleci
ze strąconych liści

Migocze płomień lampy
Drży w szybkach kredensu
na okładce książki

Za oknem księżyc
plącze się w gałęzi
Pije z dłoni umarłych

A ty – czuwasz –
I jakbyś
za czymś tęsknił – –

Na ścianie obraz Pańskiej Męki
Na kuchennej kozetce
pochrapuje ojciec

I słyszysz głos matki:
Zaśnij!

Czyżbyś nie miał
już większych zmartwień?

Kazimierz Nowosielski

Teresa Friedelówna

Samuel Bogumił Linde –
„Osoba szwedzko-niemiecko-polska”

Bieżący rok ogłoszono w naszym regionie „Rokiem Samuela Bogumiła Lindego”, pochodzącego z Torunia uczonego, którego najbardziej trwałym dokonaniem był i jest sześciotomowy Słownik języka polskiego. Przed dwustu laty, w 1807 roku, drukiem ukazał się pierwszy tom tego najstarszego narodowego dykcjonarza.

Linde – w jednej osobie leksykograf, bibliotekarz, bibliograf i pedagog – jest na kilka sposobów wpisany w toruński pejzaż. Jednak nie dla wszystkich mieszkańców miasta pozostaje on postacią wyrazistą. Przyczyn takiego stanu rzeczy może być kilka. Jedną z nich jest wyspecjalizowana, daleka od pragmatyzmu dnia codziennego dziedzina jego naukowej działalności. Inną zaś jest fakt, że swoją wieloraką aktywność rozwijał Linde poza granicami regionu, także – biorąc pod uwagę ówczesną polityczną sytuację Polski – za kordonem, w zaborze austriackim i rosyjskim; kilka lat spędził też za granicą, w Lipsku i w Wiedniu.

„Rok Samuela Bogumiła Lindego” to doskonały moment, by przypomnieć uczonego, wybitnego bez wątpienia, który łączył walory intelektu ze śmiałością naukowych zamierzeń i z tytaniczną wręcz pracowitością.

S.B. Linde urodził się w Toruniu 24 kwietnia 1771 roku jako najmłodszy z ośmiorga rodzeństwa, z którego oprócz niego żył tylko najstarszy brat Jan Wilhelm. Ich ojciec Jan Jacobsen Lindt – tak pierwotnie brzmiało rodzinne nazwisko – był Szwedem, który osiadł w Toruniu w 1749 roku i tu uzyskał zawodową stabilizację jako mistrz ślusarski. Matka Barbara Anna z domu Langenhan była córką mistrza kamieniarskiego, przybyłego do Torunia w 1730 roku z Cobourga. Oboje rodzice byli więc imigrantami dość świeżej daty, reprezentującymi dwie, może nie aż tak odległe, ale bądź co bądź różne nacje. W jakiś sposób kształtowało to klimat rodzinnego domu, skoro po latach dorosły Linde określił siebie żartobliwie jako „osobę szwedzko-niemiecko-polską”.

Owa domowa atmosfera musiała być doprawdy szczególna, skoro obaj synowie mimo nie najlepszej kondycji materialnej nie podtrzymali rzemieślniczej tradycji rodzinnej, lecz zostali uczniami toruńskiego gimnazjum akademickiego i to uczniami wyróżniającymi się. S.B. Lindego, po jego wstępnej nauce w Szkole Nowomiejskiej wpisano do wykazu uczniów gimnazjum z datą 14 czerwca 1783 roku, przyjmując go od razu do klasy trzeciej, czyli do „Tertii”. Pozostawał w gimnazjum do 1789 roku.

Świetność toruńskiego gimnazjum była już w tych latach nieco przyćmiona, ale ciągle była to szkoła bardzo dobra. Kontynuowała dawne tradycje historyczne i filologiczne, a jednocześnie odznaczała się otwartą postawą wobec nowych prądów naukowych epoki Oświecenia. Ciągle też obecne i z całą pewnością żywe były w niej zainteresowania językiem polskim.

W 1789 roku S.B. Linde, podobnie jak wcześniej jego brat, udał się na studia do Lipska (wpisany do książki studentów 7 maja 1789). I podobnie jak on korzystał ze stypendium Haltenhofa (ufundowanego w 1505 roku dla toruńskiej młodzieży, studiującej w Lipsku). Korzystał więc z wielowiekowych powiązań szkoły toruńskiej z lipskim uniwersytetem. Otrzymał również pomoc w postaci stypendium Marquarta.

W Lipsku uczęszczał Linde na wykłady z egzegezy biblijnej, ale także interesowały go języki klasyczne, filologia słowiańska i języki orientalne. Już bardzo wcześnie, bo zaledwie w rok po rozpoczęciu studiów, wszczął starania o stanowisko lektora języka polskiego, opuszczone właśnie przez zmarłego Stanisława Nałęcz-Modrzewskiego. Motywując swoją prośbę tym, że język polski jest jego językiem ojczystym (znanym z domu i ze szkoły) oraz przy poparciu toruńskich profesorów, rzeczywiście stanowisko to otrzymał. Jednakże zajęcia podjął dopiero w 1792 roku po obronie pracy *De solatiis adversus mortis horrores in Platone et Novo Testamento obviis* (O zawartych w pismach Platona i w Nowym Testa-

mencie pocieszeniach wobec trwóg śmiertelnych). Rozprawa była wypadkową jego egzegetycznych i filologicznych umiejętności. Profesorowie lipscy proponowali Lindemu, by specjalizował się dalej bądź w problematyce slawistycznej, bądź orientalnej. Jednak polityczne wydarzenia w Polsce plany te przekreśliły. Przerwały także zapoczątkowane prace nad słownikiem języka polskiego, a mianowicie studiowanie znajdujących się w Lipsku leksykograficznych materiałów M.A. Trotza, autora słownika francusko-niemiecko-polskiego oraz konsultacje u J.Ch. Adelunga, autora narodowego słownika języka niemieckiego.

Po przegranej wojnie w obronie Konstytucji 3 Maja i po zapadłej decyzji o drugim rozbiórze Rzeczypospolitej znaleźli się w Saksonii liczni polscy emigranci, a w ich gronie ważni przywódcy polityczni – Tadeusz Kościuszko, Julian Ursyn Niemcewicz, Ignacy Potocki, Hugo Kołłątaj. Linde przyłączył się do nich, początkowo jako tłumacz – autor niemieckich przekładów m.in. tekstu Konstytucji 3 Maja, zbiorowego dzieła O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 Maja, politycznej komedii Niemcewicza Powrót posła. Niepostrzeżenie od spokojnych studiów akademickich przeszedł w gorącą atmosferę prac konspiracyjnych. Na fali politycznych uniesień Linde porzucił Lipsk, udał się do Warszawy, by wziąć tam czynny udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. Były to pod względem politycznego zaangażowania najaktywniejsze bodaj lata w życiu Lindego i nacechowane w dodatku ostrym radykalizmem. W przyszłości zdarzyć się miało jeszcze niejednokrotnie, że obdarzano go stanowiskami, które politycznie nie były obojętne, a na których nie zawsze zachowywał polityczną neutralność, skłaniając się ku konserwatywnym i ugodowym rozwiązaniom.

Mimo że sympatie ideowe Lindego około 1794–95 roku bliskie były insurekcyjnej lewicy, nie zrywał on kontaktów z przedstawicielami społecznej i umysłowej elity, do których zbliżył się w Saksonii. Z ich strony mógł oczekiwać pomocy i mecenasowskich gestów, tak potrzebnych niezamożnemu inteligentowi, który wysferzył się ze środowiska rzemieślniczego. I pomoc taka w istocie nadeszła. Dzięki protekcji Ignacego Potockiego zatrudnił Lindego jako swojego prywatnego bibliotekarza przebywający w Wiedniu Józef Maksymilian Ossoliński. Tak rozpoczął się wiedeński okres w życiu uczonego, który trwał po rok 1803. Obowiązki bibliotekarza polegały na gromadzeniu i opracowywaniu księgozbioru. Gromadzenie wymagało częstych podróży po polskich ziemiach, wówczas objętych przez zabór austriacki. Celem były zakupy książek na aukcjach, wypożyczanie ich z bibliotek klasztornych i dworskich na rewersy, które zresztą nigdy nie miały być zrealizowane, wreszcie było to po prostu – tak nazwane przez Lindego – „smykanie” książek. Wszystko to sprawiło, że Linde stał się z czasem doskonałym znawcą polskiego piśmiennictwa XVI–XVIII

wieku. Znajomość autorów, utworów, wydań uczyniły z niego wytrawnego bibliotekarza. Wykorzystując zbiory tej najznakomitszej w XIX wieku polskiej biblioteki, przygotował 22-tomową bibliografię polonistów XV–XIX wieku, której rękopis dotąd przechowywany jest w Ossolineum.

Mimo tak czasochłonných zajęć Linde nie zaniechał prac nad słownikiem, pilnie gromadząc materiały z książek znajdujących się w stale powiększanym, bogatym księgozbiore Ossolińskiego. Kontakty między magnatem i jego bibliotekarzem nie były wolne od konfliktów i obustronnych pretensji. Jednak w 1803 roku rozstali się w zgodzie, a Ossoliński wykazywał w następnych latach żywe zainteresowanie słownikiem i gotów był tę inicjatywę wspierać finansowo.

Zaczął się więc warszawski etap w życiu Lindego, w znacznej mierze poświęcony pracy pedagogicznej. Został powołany na stanowisko rektora założonego w Warszawie przez władze pruskie gimnazjum. Była to wówczas jedna z najlepszych szkół, w której Linde usiłował połączyć najnowsze oświatowe trendy niemieckie z wypróbowanymi doświadczeniami Komisji Edukacji Narodowej.

Będąc od 1800 roku członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dążył też Linde do ściślejszej z nim współpracy teraz, kiedy zamieszkał w Warszawie. Miał nadzieję, że Towarzystwo wesprze jego prace nad słownikiem. Jednak niektórzy członkowie (Stanisław Staszic, Tadeusz Czacki) dostrzegali pilniejszą potrzebę przygotowania słownika normatywnego, poprawnościowego, nie doceniając znaczenia historycznego słownika narodowego. Linde nie odstąpił jednak od swojej koncepcji, wytrwale pracując nad słownikiem i mając poparcie ze strony Ossolińskiego i innych liczących się osób.

Wciąż zmieniająca się sytuacja polityczna nie sprzyjała pracy naukowej, niepokoiła niepewna perspektywa wydania całości słownika i koniecznych na ten cel subwencji. Dodajmy jeszcze i to, że Linde założył rodzinę, żeniąc się w 1804 roku z Ludwiką Bürger (po jej śmierci zawarł drugi związek małżeński z Luizą Nusbaum). Tak więc i ten aspekt jego życia domagał się finansowej stabilizacji.

Zwracano się do niego, proponując różne funkcje i różne stanowiska. Oto niektóre z nich: udział we władzach oświatowych Księstwa Warszawskiego, założenie i kierowanie Biblioteką Publiczną w Warszawie, prezesura Warszawskiego Kolegium Ewangelicko-Augsburskiego, członkostwo w Radzie Ogólnej Szkoły Głównej w Warszawie i inne. Z każdym tym, niewątpliwie zaszczytnym urzędem, wiązały się obowiązki, które Lindemu – mimo jego niezwyklej pracowitości – trudno było pokonywać. W dodatku atmosfera wokół jego osoby stawała się mniej przychylna, z jednej strony nie miał on bowiem łatwego usposobienia, z drugiej dostrzegano

u niego zbyt daleko posuniętą lojalność wobec przedstawicieli władz zaborczych – najpierw pruskich, potem rosyjskich. Trudno postawić te z dzisiejszej perspektywy weryfikować. Patriotyzm i lojalny stosunek do oficjalnej władzy ewoluowały w początkach XIX wieku i kształtowały się inaczej niż obecnie. Poza tym osoby wysoko postawione w hierarchii społecznej i niezależne majątkowo reprezentowały inną mentalność niż pozostający w sieci różnych zobowiązań niezamożny Linde.

W 1807 roku wyszedł spod prasy drukarskiej I tom Słownika języka polskiego, pierwszego leksykonu, w którym wyrazy hasłowe i ich znaczenia podane zostały po polsku i zilustrowane przykładami z polskich tekstów. Sukcesywnie, choć nie bez trudności, ukazywały się następne tomy słownika – aż do ostatniego (VI) w 1814 roku. Już wydanie I tomu było wydarzeniem naukowym na skalę europejską. Stwierdzano, że należało ono „do najważniejszych zjawisk nowo rozpoczętego wieku”. Na Lindego – mimo że krajowe i zagraniczne recenzje zawierały również pewne krytyczne uwagi – spadł deszcz zaszczytów: honorowe członkostwo Uniwersytetu Wileńskiego (1809) i Uniwersytetu Krakowskiego (1815), członkostwo Królewskiego Towarzystwa Naukowego w Pradze (1808), Królewskiego Towarzystwa Naukowego w Getyndze (1809), Instytutu Francuskiego (1812), Cesarskiej Rosyjskiej Akademii (1818) i inne. Od namiestnika Zajączka otrzymał Linde w 1817 roku medal „Od Rodaków”. W 1826 roku został nobilitowany.

O tym, jak olbrzymią pracę wykonał Linde w dobie, gdy nie tylko nie było dzisiejszych technicznych urządzeń, ale nawet maszyny do pisania, kalki i powielacza, mówi kilka liczb: w sumie tekst słownika zajmuje 4 600 stron, na których mieści się około 60 000 haseł, zilustrowanych około 200 000 cytatów. Materiał zaczerpnął Linde z blisko 800 tekstów, które wyszły spod pióra około 40 autorów. Najstarszym wykorzystanym tekstem był dykjonarz J. Murmeliusa z 1528 roku, najmłodszym – czasopismo „Pamiętnik Warszawski” z lat 1809–1810. Autor słownika dążył też do kontaktów z ludźmi znającymi język „pojedynczych kunsztów i rzemiosł”, do swobodnych rozmów, dzięki którym znalazł wiele „słów potocznych, powszednich, rubasznych, swawolnych”. Nie zainteresował się natomiast średniowiecznymi rękopisami ani innymi bogatymi zbiorami manuskryptów, pochodzącymi z czasów, kiedy wynalazek druku już funkcjonował.

Słownik języka polskiego jest dziełem o niepowtarzalnej wartości naukowej. Do dziś służy polskiej i słowiańskiej nauce – badaczom nie tylko języka, ale również literatury, kultury, polskiej nauki, historii Polski. Jako pierwsza, tak obszerna praca leksykograficzna nie może być wolna od błędów. Ich źródłem niekoniecznie mu-

siały być niedostatki intelektualne autora, lecz po prostu ówczesna, XIX-wieczna niedoskonałość leksykograficznego warsztatu. Dzisiaj budzi zastrzeżenia kanon wykorzystanych źródeł; przy jego ustalaniu Linde nie przestrzegał zasady, by sięgać do pierwszych wydań albo tych, które ukazały się za życia autora. Po pierwsze nie był może w pełni świadomy dowolności, z jaką traktowali teksty dawni wydawcy i zatrudniani przez nich korektorzy; po drugie – podstawę badań stanowił dla niego głównie księgozbiór Ossolińskiego, w którym zgromadzono różne edycje tekstów.

Ze znaczną swobodą traktował Linde cytaty, które ilustrowały hasła wyrazowe. Ponieważ zasadniczo służyły mu one jako objaśnienia znaczeń, a nie jako świadectwo funkcjonowania wyrazu w określonym czasie i utworze określonego autora – nie wahał się w nie ingerować, to coś do nich dodając, to przeciwnie – ujmując i zmieniając formy fleksyjne. Np. cytat z utworu *Daphnis...* Samuela ze Skrzypny Twardowskiego brzmi: „Zgrzytał zęboma i straszliwie kszykał”, Linde zaś ilustrując nim hasło KSZYKAĆ podał go w następującej postaci: „Smok zgrzytał zębami, i straszliwie kszykał”. Jest to zresztą jedna z łagodniej przeprowadzonych zmian.

Zamieścił też Linde w swoim słowniku sporo wyrazów przez siebie utworzonych, które co prawda lojalnie oznaczał poprzedzając je gwiazdką. Wzory czerpał z obcych języków – z greki, z łaciny, z języka cerkiewno-słowiańskiego jak to się stało np. w wypadku wyrazów towarzyszących hasłu BÓG, które rozwinęły się w długą serię: BOGOODSTĘPCA, BOGODOBNY, BOGOPOJĘTNY, BOGOPOŚŁANY, BOGOPOŚŁUSZNY, BOGOPRZECIWNY, BOGOPRZEPOWIEDNIK, BOGOPRZYJMICIEL, BOGORÓWNY, BOGOS¥DNY. Wolno się dziś zastanowić nad przydatnością tych neologizmów nawet dla użytkowników polszczyzny w początkach XIX wieku.

Korzystanie ze Słownika języka polskiego nie jest czynnością łatwą. Powodem tego jest w znacznej mierze układ słownika – w zasadzie alfabetyczny, ale jednocześnie gniazdowy, a więc zbierający pod jednym naczelnym hasłem całą rodzinę bliskich sobie etymologicznie wyrazów. W zawiły sposób zredagowane są niektóre hasła czasownikowe (np. BRACĆ, CHODZIĆ), w których dokonaność i niedokonaność czynności, ich krotność, niuanse znaczeniowe, związki frazeologiczne stanowiły przeszkody – przy ówczesnym stanie wiedzy o języku – niemożliwe do pokonania.

A jednak warto od czasu do czasu sięgnąć po gruby tom „starego Lindego”, odszukać w nim hasła znane, których objaśnienia nieco nawet wzruszają swoją staroświe-

kością. ~e np. LIST to „pismo od każdego przysłane albo od kogo posłane”, a ŁKAĆ to „głośno szlochać płacz niby połykając”. Inne natomiast hasła mogą zaskoczyć swoim niegdysiejszym znaczeniem, np. ATLAS to „góra w Afryce” i mitologiczny „Olbrzym barczysty podpierający świat”, a dzisiejszy „zbiór map wydanych w formie książki lub albumu” nie był jeszcze znany; KOSTUR, który obecnie rozumiany jest przede wszystkim jako „kij, laska do podpierania się przy chodzeniu”, w słowniku Lindego ma znaczenie realne bardzo bliskie etymologicznemu „kościć, kościana laska”, a więc wyraz semantycznie jest związany z prasłowiańskim rdzeniem kost-. Znajduje się też u Lindego wiele wyrazów archaicznych, nieznanych i zupełnie zapomnianych.

Popularność Lindego przygasać zaczęła jeszcze za jego życia – w 1822 roku nazywany „najuczeńszym członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk”, w kilka lat później czyimś zdaniem zasługiwał już tylko na epitet „zawiedłego literata”. W 1835 roku opuścił stanowisko rektora gimnazjum i przeszedł na emeryturę. Zmarł 8 sierpnia 1847 roku w Warszawie, gdzie pochowany został na cmentarzu ewangelicko-augsburskim.

Różne dziedziny i formy działalności S.B. Lindego straciły aktualność. Jeśli o nich mowa, to już tylko w aspekcie historycznym. Jego wybory ideowe i polityczne również odsunęły się na daleki plan. Osiągnięciem, które stale się liczy pozostaje sześć wielkich tomów Słownika języka polskiego, dwukrotnie wydanych w XIX wieku, wznowionych w XX i u progu XXI stulecia. Doprawdy, słowa listu Juliana Ursyna Niemcewicza, przesyłającego 12 dukatów na prenumeratę słownika, że „...imię Lindego przeżyje wszystkich starostów i wszystkie orderzy” okazały się prorocze.

Teresa Friedelówna

Aleksandra Kremer

* * *

ze zgodnym uśmiechem odbijać się od ludzi
grzecznie przytakiwać żegnać się z niechęcią
szybko odpisywać na nieliczne maile
chodzić przygarbionym nosić bure rzeczy
siadać w tylnych rzędach i zawsze na skraju
żeby tylko nie szkodzić żeby nie przeszkadzać
światu kiedy żyje obcym tobie życiem

być ciągle w nie tym miejscu i nie wtedy kiedy
robić dobrą minę do dobrych znajomych
płakać tylko czasem i tylko w zaułkach
słabo oświetlonych o wieczornej porze

Aleksandra Kremer, ur. 1986 w Krakowie, studentka MISH na Uniwersytecie Warszawskim; jako autorka wierszy debiutowała w „Kwartalniku Artystycznym” 2005 nr 3 (47). Mieszka w Warszawie.

przeczuwając pustkę mocno chwycić kubek
ręce wyciągnięte z rzadka w twoją stronę
ważyć w dłoni jabłka puszczać zimną wodę
próbując ocalić przed potopem próżni
i nerwy i ścięgna i dotyk i słuch

i pomimo starań tracić dno i tonąć
chwiać się na krawędzi jezdni i chodnika
chować twarz w poduszkę by uciec od pustki
by wyrzucić myśli
wolno filtrowane przez spisany krzyk

* * *

nieraz powtarzała że nie ma powietrza
– dni przecież drążą swoje miejsca w pustce
w próżni bezdennej topią się oddechy
gardła łykają opróżnione chwile
niemo słuchając głośnego milczenia
i w bólu rodząc wytłumiony wrzask

powietrza nie ma – powtarzała cicho –
czasami tylko pustkę kryje beton
dzień rośnie w górę na mocnej konstrukcji
spokojnych oczu i stabilnej ręki
za którą pewność że żebra sklepienia
że jasna wiara i że ciepła dłoń

powietrza nie ma zaś zwłaszcza gdy krzyki
gdy struny chrypną i gdy zimny dreszcz
dzień wtedy z hukiem rozbity jak szyba
kruszy się w palcach i kurczy pod kocem
szukając miejsca wśród okruchów pustki
upadłej z krtani startej w drobny mak

i ognia nie ma gdy nie ma powietrza
i nic tylko próżnia beton albo żwir

* * *

miała wtedy czerwoną bluzkę
i uśmiechała się dorosłymi oczami
pewnie spoglądając w sam środek obiektywu

stali tak koło siebie jak turyści
uwieczniani przy nowym zabytku

miejsce to znali jednak aż nazbyt dobrze

ciekawe zatem
czy dotknąwszy jego pleców dla potrzeb kompozycji
pamiętała o czasach kiedy taki dotyk
był marzeniem krążącym za nią ulicami

i czy chociaż przez chwilę chciała cofnąć dłoń

* * *

czy można się schować w szumie ekspresu do kawy
w zapachu ciastek cynamonowych
albo w grubym szkłe szybek dzwonnicy i szklanek do latte

a jeśli nie można czy da się wyjść poza siebie
i stać się świeczką na stole cukierniczką na parapecie
serwetką lub dzbankiem na półce

uciec od spojrzeń i pytań ukryć czerwone oczy
na własnym krześle znaleźć wolne miejsce
przy pustej filiżance
i zaparowanym oknie na świat

Aleksandra Kremer

Agata Ludwikowska

Z rozważań nad naturą prawdy

puszczam w ruch
błędne koło
niedomówień

nolens volens
modus tollendo ponens
modus ponendo tollens

nie wzniosę pomników
kwantyfikatorom
bo to co dla wszystkich
jednak nie dla każdego

z definicji z ulgą

wyprowadzam
bezużyteczną prawdę

układ scalony
trwalszy nad krzem

Kiedy zachwiane są prawa logiki

kiedy zachwiane są
prawa logiki
świat nieoczekiwanie
przestaje rozpadać się
na fakty

z podziałów
nie wynikają
kolejne podziały

choć formalnie
nic się nie zmienia
język naturalnie
nie odpowiada myśleniu

jeżeli nie ma ciebie
nie ma też mnie

i oto jakimś cudem
z prawdy wynika
fałsz

Modlitwa do św. Sebastiana

Dlatego, że patrzysz
miękkim wzrokiem w górę
niebo powinno cię opuścić

ja – żyję z przecuciem porażki
bo wolno mi tylko
sobie wyobrażać

pod aureolą – twarde, młode ciało
kilkanaście nieznanych mi strzał
wbitych w szczupłą pierś

moje ręce nigdy nie zejdu zbyt nisko
a głowa nie opadnie miętko
na twoje ramię

święty nie ma uczuć
poza tym dla Boga – mężczyzny
pozostanie marmurowym chłopcem
z włoskim krajobrazem w tle

kiedy mówią o nim
muszę się bezkarnie czerwienić
nie wolno mi mówić sobie cicho
że go kocham – boję się,

że mogę uwierzyć.

Agata Ludwikowska

Olga Mason

Wyrazy

On wie najlepiej, co go spotkało,
albo nie spotkało.

Dni były długie i wietrzne;
nawet szerokie, nawet nie całkiem bez światła.
Można było spokojnie czytać,
albo wybierać się na długie przechadzki, aż na przedmieścia.
Przyjaciół też przewinęło się sporo
przez to jedno życie, a także kilka kobiet.
Latem zawsze wyjeżdżał,
ale na krótko i nigdy daleko.

A jeśli teraz siada
i myśli o śmierci,
i daje temu wyraz, bardzo pięknie –

Olga Mason, ur. 1978 w Olkuszu, wiersze publikowała w „Odrze”, „Toposie” i „Studium”. Mieszka w Krakowie.

Jasne

Rozpadło się w kręgach blachy
i ten, który ciągnie wózek ma je na rękach,
we włosach, na ubraniu.

Niechby się wstawił za nami,
święty wszystkiego, co z demobilu.
Na złomowiskach światła nas nie zostawiał.

Podgórzem

Ponieważ nie potrafię powiedzieć: Przyjdź,
weź światło i przyjdź, i połóż je na taczkach
pełnych gruzu, węgla, złomu, przyjdź i dotknij
rozsypanych się kamienic, spraw,
żeby na drzewach widniały znaki,
nawet, jeśli kora odpada wielkimi płatami,
podnieś cały pył w mieście –
niech wszystkie tramwaje ruszają gwałtownie i pod światło, przyjdź,
roznieć ogień w rogu głębokiego podwórza,
gdzie słońce topi się w blaszanych kontenerach na śmieci,
gdzie dzieci bawią się w wojnę,
gdzie echo jest małą, zbitą kulą, przyjdź,
ponieważ nie potrafię tego powiedzieć.

Olga Mason



Marek Wendorff

Kontakt '07

Na inaugurację tegorocznej edycji Kontaktu – Faust reżysera ze studia teatralnego Meno Fortas z Wilna Eimuntas Nekrošiusa na kanwie arcydzieła Johanna Wolfganga Goethego. Rozczarowanie. Raz jeszcze nauczka, że jak coś jest w gazetach nachalnie reklamowane, to trzeba to brać w nawias albo w cudzysłów (na przykład: Nekrošius – „geniusz teatru”, bo przy Goethem Nekrošius to zaledwie żuczek). I ta maniera i głupota pisania: „Faust Nekrošiusa”! Jedno, co zrobił Nekrošius w sprawie Fausta, to go rozbił, spłycił, zamącił i zniżył. Całe to fiasko trwa ponad cztery godziny! Po co? Co zostanie z tego spektaklu w pamięci prócz wspomnienia nudy i poczucia straconego czasu? Spocona czaszka aktora Vladasa Bagdonasa, który gra tytułowego bohatera oraz owinięte bandażami kolana aktorki grającej rolę Małgorzaty, a może różne fragmenty scenografii, jakieś rekwizyty jak na przykład: wielka kość (z cukru?), wielki supeł zawiązany na grubej linie, blaszane pudła z otworami, pogniecione książki, kołowrotki albo wisząca do góry nogami wanna. Ruch sceniczny odtwarza chaos: aktorzy miotają się po scenie, męczą się, krzyczą, strzelają i doprawdy niewiele z tego zamieszania wynika. Jakie jest

przesłanie tego długiego spektaklu, jakie stawia pytania i, ewentualnie, jakie daje odpowiedzi? Nie wiadomo. Co ma ten czerstwy piernik do podniebnego wiatraka, jakim jest Faust? Po co komu taki spektakl, skoro nie służy on ani arcydziełu Goethego, ani aktorom (role w proszku), ani tym bardziej publiczności? Jest tu kilka plastycznych obrazków, które Nekrošius w swoim postmodernistycznym myśleniu mógłby wprowadzić do jakiegokolwiek innego spektaklu. Po co mieszać do tego Fausta? Jedyne wyświetla swoje płycizny i niemożności – „Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy”, mówi Shakespeare w *Hamlecie* (akt V, scena II). I taki jest los przeciętnych, egocentrycznych, ekscentrycznych, wpychających się na pierwszy plan reżyserów, którzy mierzą się z arcydziełami bez pokory i respektu. Miała być metafizyka, widowiskowe starcie sił dobra i zła, pokazanie tego skomplikowanego mechanizmu i dylematu, a była pirotechnika i plastyczno-teatralne dziwactwa. To brak szacunku dla publiczności, którą mami się szyldem – „FAUST”, a daje się jakiś kalejdoskop, obrazki i migawki, które nijak w nic nie układają się. Reżyser sam siebie stawia w centrum tego chaotycznego i nudnego świata (chaos jest nudny) i tyle ma z tego, że jemu podobni napiszą o nim w gazecie: „geniusz teatru”.

A Faust – wielki dramat i poemat teologiczno-filozoficzny o dobru i złu, o losie człowieka i świata jest gdzie indziej, na pewno nie w tych scenkach i fantasmagoriach Nekrošiusa. Prolog w niebie, na którym oparty jest rdzeń tego dzieła, tu jest jakimś karykaturalnym skeczem, z którego z trudem odgadujemy, o co chodzi. Sztuczni i nieprawdziwi są Faust i Mefistofeles, którzy u Goethego są jakby dwoma stronami tej samej natury człowieka, tak sprzecznie i celowo ukształtowanej (tu: walka tych sił w człowieku, w jego głowie, w sumieniu, w świadomości, w sercu i w duszy). Pasja poznawcza Fausta, szyderstwo i cierpka ironia Mefistofelesa w „wizji” Nekrošiusa prawie w ogóle nie istnieją. A sprawa Małgorzaty? – tak przecież węzłowa dla wymowy dramatu! Znowu tylko strzępy i skrawki. I wreszcie – jasność drugiej części Fausta, o której wiele mówi Goethe w *Rozmowach z Eckermannem* – tu nawet jej się nie domyślamy, bo z jakich przesłanek i w jakim kontekście? Do spotkania z arcydziełem konieczne są: wysiłek intelektualny i artystyczny, praca interpretacyjna i trud poznawczy, duchowe natchnienie i przygotowanie, bo jak inaczej pojąć, choćby w najprostszy sposób, jego naturę, formę i wymowę, jego patos, komizm

i ironię, jak zbliżyć się do jego podwójnego ducha. W tym spektaklu nie widzi się tej pracy i tych dążeń. Mamy zestaw uproszczeń, puste fajerwerki i jazdę po powierzchni. Niech zapadnie kurtyna nad takim „Faustem”.

Na małej scenie Plaża duńskiego dramaturga Petera Asmussena w reżyserii Iwony Kempy z Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu. Lekki kaliber, chociaż oczywiście można było to przedstawić inaczej, zagęścić i udratyczyć. „Filmowy” montaż osłabia mocne napięcia tej w gruncie rzeczy mrocznej sztuki o nieszczęśliwym życiu dwóch par małżeńskich: Sanne i Jana oraz Benedikte i Venera, które raz do roku spotykają się na wakacjach nad morzem i właśnie w tych „kulminacyjnych” scenach, następujących przez pięć lat pod rząd, ich oglądamy. Aktorzy wchodzi i wychodzą przez jedno, drugie, trzecie i czwarte drzwi, przechadzają się tam i z powrotem, leżą, siedzą, kładą się, wstają, fotografują (niektóre z fotografii wyświetlane są na dużym ekranie): odgrywają etiudy, jakby na kanwie rzeczywistych ról i interakcji z partnerami i nie wiadomo, czy to jest udawane, czy się to po prostu tak ułożyło w czasie prób, czy jest to teatr w teatrze, a może w dalszym ciągu próby, improwizacje i usiłowania mające pokazać coś rzeczywistego. Dziwna mieszanina luzu i powagi. Brak temu spektaklowi ducha całości, brak formy; jest zbudowany z kawałków, a jaka jest podstawa konstrukcji, nie wiadomo. Nie jest do końca ani wyreżyserowany, ani zagrany, a jedynie naszkicowany – slajdy ze słabymi pomysłami na całość i na poszczególne role, które istnieją tu w zarodku. Teatr plażowy z aspiracjami do czegoś poważniejszego. Po spektaklu nie jest ani smutno, ani wesoło, ani nawet refleksyjnie: wiadomo, że rozegrał się dramat, ale trudno się nim przejąć.

Wydarzenie! I dopiero tu zaczyna się dla mnie tegoroczny Kontakt z teatrem. W sali Olimpijczyka Śmierć komiwojażera – głośny dramat Arthura Millera w reżyserii Belga Luka Percevala z Schaübhne am Lehniner Platz z Berlina. Od początku czuję, że będzie to coś ważnego i nie rozczaruję się. Świetną sztukę znanego amerykańskiego dramaturga reżyser traktuje jak partyturę, a nie jak kanwę do swojej radosnej twórczości (vide Nekrošius). Znakomita reżyseria, wspaniała gra aktorów, gra światła, wyrazista scenografia – przedstawienie zwarte i spójne. Pełen profesjonalizm, a do tego rzecz nasycona głębokim humanizmem, prawdą życia. Jest to też sztuka bardzo niemiecka, współczesna, chociaż przy niewielkich zmianach w re-



Śmierć komiwojażera, reż. Luk Perceval.

zyserii i w grze aktorskiej znakomicie mogłaby oddać współczesne realia polskie.

Scenografia autorstwa Katrin Brack ogranicza się do kanapy, fotela i telewizora: na kanapie siedzi ponury Willy Loman – świetna rola Thomasa Thieme – z pilotem do telewizora w ręce, a w fotelu jego żona Linda – Carola Regnier (tak wyobrażam sobie idealną niemiecką żonę). Willy jest niespokojny, spięty, zmęczony i jakby już bardzo znecierpliwiony swoją sytuacją; Linda drzemie, ma zamknięte oczy, ale widać, że jest czujna, skoncentrowana na Willym. Za nimi nie ma ściany, okien i drzwi, a jest gęsty zagajnik z kilkudziesięciu bujnych krzewów w donicach. Z góry i z obu stron, po bokach, rażą światła. Gdy wchodzimy do sali, Willy i Linda już tam siedzą: czekają, aż się zacznie, chociaż właściwie to już się zaczęło, a właściwie kończy się, bo to już tak kończy się ich świat – za chwilę będziemy świadkami wielkiej końcówki, wielkiej gry końcowej Willy’ego Lomana. To wszystko rozegra się w następujących po sobie przemienne fazach, które tworzą rytm spektaklu: chwile ożywienia, buntu, próby walki i agresji, szału i szaleństwa (?) i chwile jakby stuporu, apatii, bezwładu i bezyty, rezygnacji. Oczywiście wszystko ogniskuje się wokół Willy’ego, on jest na pierwszym planie, znajduje się w centrum całego dramatu, jest

jego przyczyną i główną osią, ale nie znaczy to, że inne postacie są tylko do niego dodane, czy doczeplone. Siła tego spektaklu i tej reżyserii polega na tym, że każdy na scenie jest ważny, tak jak ważny jest w wykonaniu symfonii każdy muzyk w orkiestrze – jeden fałsz rozbija misternie skomponowaną całość. To jest gra zespołowa i aż przyjemnie patrzeć, jak dzieje się między nimi i rozgrywa – coś w słowach i w milczeniu – gry spojrzeń, min i gestów; jedni poruszają drugich, nakręcają ich i rozkręcają, a wszystko dzieje się wokół Willy'ego, który jest dla nich jak skała, a właściwie był jak skała, teraz już nie jest, chociaż oni się do tego dawnego Willy'ego przyzwyczaili, całe swoje życie zbudowali na nim. Była praca, pieniądze, a teraz nie ma ani pracy, ani pieniędzy, nie ma sił i nie ma ochoty na nic poza erotycznymi rojeniami – ostatnimi podrygami wyobraźni. Czy nie tak, przedstawione w wyostrozony, sceniczny sposób, wygląda życie większości tych, którzy żyją, pozornie jak Pan Bóg przykazał, ale w istocie żyją bez Boga, a więc bez prawie żadnej siły ducha, bo przecież jaką rzeczywistą moc mają kariera, seks i pieniądze?

Willy jest gruby, wydawałoby się, że silny i mocny, ale w rzeczywistości jest słaby: tak fizycznie jak i psychicznie. Jego życie wewnętrzne wypełniają właśnie te erotyczne rojenia i jakieś resentymenty rodzinne. Trzydzieści sześć lat harował na rodzinę, a teraz jest wypruty z sił i niepotrzebny i nikt mu już nie może pomóc. Jest olbrzymią kukłą, z której zaraz ujdzie życie; potrzebuje miłości i czułości, a czuje na sobie wzrok i ciągłą uwagę zmęczonej, zimnej żony, na którą już prawie nie zwraca uwagi, chociaż ona zawsze jest „po jego stronie”. Dwóch nieudanych, bęcwałowatych i nieszczęsnych synów dopełnia jego rodzinną tragedię. W rzeczywistości kochają swojego starego, ale są ograniczeni umysłowo i naprawdę mają niewielkie możliwości – tu: znakomite role Bruno Cathomasa jako Biffa i André Szymańskiego jako Happy; to naprawdę sztuka, żeby z ról, które tkwią tak bardzo w orbicie głównej roli, uczynić autonomiczne, głęboko ludzkie i artystyczne kreacje. To samo dotyczy pozostałych aktorów, bez których nie byłoby tego tak precyzyjnie skonstruowanego i tak realnie ożywionego na scenie dramatu Arthura Millera. Z zielonego gąszczu za plecami Willy'ego wychodzą upiory, a tymi upiorami są realni, najbliżsi mu ludzie (żona i synowie), jego dawni przyjaciele i znajomi, jego bezwzględny, pusty i głupi szef, jego rzeczywista czy wymaginowana kochanka i ten „anielski” w czarnym stroju chłopiec, który zjawia się, uważnie patrzy

i słucha, znika i znowu się zjawia, czeka i nie mówi nic. I cały czas ten tak precyzyjnie stworzony i tak niewydarzony świat rażą ostre światła z góry i z boku, z jednej i z drugiej strony do chwili, aż Willy Loman umrze i cała scena pogrąży się w mroku i zatopi się w ciemności.

Zmysłowy, przejrzysty, bardzo zajmujący spektakl – współczesny moralitet, w którym splatają się komedia i tragedia, żywiołowość i zastój, poezja i dydaktyzm, realizm i naturalizm, sentymentalizm i autentyzm. Wybornie zrobiony i zagrany teatr współczesny.

Pokazany wieczorem w Od Nowie Syn wujka Stefka Jánosa Háya w reżyserii László Bérczesa przez działający na Ukrainie węgierski Teatr Narodowy im. Illyésa Gyuli to kolejny festiwalowy niewypał, jakaś prawie amatorska sztuczka, nudy rozpisane na kilka głosów: nie ma tu nic ciekawego, nic, co byłoby do zapamiętania, a zostaje jedynie nauczka, jak nie powinno się robić teatru i to prawie pod każdym względem – tekst, forma, reżyseria, gra aktorska, scenografia: nie ma o czym pisać. Żałosna historyjka człowieka z awansu społecznego, który przeżywa kryzys i nie ma żadnego pomysłu ani ochoty na odmianę sytuacji. Co najwyżej może to być jedynie przestroga dla „syna wujka Stefka” i jego kolegów, żeby nie postępowali w ten sposób i nie marnowali swojego życia i życia swoich bliskich. Wszystko to bezbarwne, szare, jałowe, nijakie.

W środę w Bajcu Pomorskim trudny do wytrzymania Teremin – „czeski film” na scenie, eksperyment teatralny, jakaś ironiczna bądź nie ironiczna dekonstrukcja, heca Petra Zelenki w reżyserii tegoż i w wykonaniu aktorów Dejvické Divadlo. „Świat jest pogrążony w szaleństwie”, mówi w wywiadzie Zelenka i szczęść mu Boże. Nie widzi sensu, więc jaki jest sens oglądać produkcje takiego artysty? Nieudany, nudny spektakl i jedyny plus z tego, że Zelenka sam to napisał i zatonął bohatersko z własną sztuką, nie podszuwając się pod Goethego, Dantego lub Shakespeare’a i nie daj Boże starając się wykazywać, że i u nich nie ma żadnego sensu. W Tereminie mamy szpiega Lwa Siergiejewicza Teremina – fizyka i wynalazcę bezdotykowego instrumentu muzycznego o nazwie tereminvoks (może na nim grać każdy), którym interesowali się Lenin i Stalin; mamy strzępy amerykańskich losów Teremina z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, historię fiaszka z jakimś podobno nie czarno-białym przesłaniem. Wszystko to dzieje

się w isticie filmowych przeskokach i cięciach, ale i dłużyznach. Główna rola (nie mówiąc o innych) jest jak ciasny gorset i nawet dobry aktor (Ivan Trojan) niczego tu nie mógł dokonać. Po co robi się takie spektakle? – wiadomo, że z braku laku, ale po co sprowadza się na poważny i ambitny festiwal? – nie wiadomo.

Wieczorem na dużej scenie Teatru Wilama Horzycy – Śmierć Dantona Georga Büchnera w reżyserii Gézy Bodolaya z Teatru Józsefa Katony z Kecskemét z Węgier. I to znowu jest teatr, nie porywający, ale który ogląda się i słucha uważnie, bo jest dobrze, powiedzmy, profesjonalnie zrobiony, do tego niesie współczesne przesłanie, a jeżeli nie przesłanie to ciekawe aluzje i wskazówki do naszej współczesności. Géza Bodolay nie zmarnował ładunków tkwiących w znanej sztuce Georga Büchnera, stworzył spektakl dynamiczny i współczesny i w jakiś sposób ascetyczny, z ciekawą scenografią (czarne ruchome ramy zmieniają miejsce akcji). Ideologia jako pułapka: Danton – w tej roli ciekawy Ákos Köszegi, Robespierre i Saint-Just i ostry konflikt między nimi; demagogiczne przemówienia, polityczne strategie i rozgrywki, które doprowadzą Dantona i jego kompanów na szafot. Rewolucja? Tak, ale: jaka rewolucja? W imię jakich wartości? I jakie są skutki jej nieuniknionych zwyrodnień? Poprzez trzy główne kreacje widzimy, jak łatwo można manipulować nastrojami tłumu, ile znaczą emocje i retoryka w grze politycznej, której stawką mogą być tak najwyższe jak i najniższe wartości, ileż razy wykręcane na opak, podszyte cynizmem, hipokryzją, manipulacją, kłamstwem, złem.

Na małej scenie – Opowieści łotewskie w reżyserii Alvisa Hermanisa z łotewskiego Jaunais Rīgas Teātris. To sześć z trzydziestu, a właściwie dwudziestu dziewięciu stanowiących cykl skeczów, przedstawionych w dwóch częściach w ciągu dwóch dni – zwykłe pogaduszki czy pogwarki, na pół amatorskie, bez żadnych pomysłów, bez artystycznego polotu prezentowane pod szyldem „teatru dokumentalnego”. Wychodzą na scenę i mówią o sobie i o swoim życiu: rybak, sieroty z domu dziecka, striptizerka, kobieta taksówkarz, przedszkolanka i żołnierz, który szykuje się do wyjazdu do Iraku. I to wszystko dzieje się w jakiejś okropnej scenografii, co pewnie znaczy, że oni tam tak żyją. Autentyzm? Po co taki autentyzm w teatrze w czasach, kiedy są świetnie zrobione reportaże czy filmy dokumentalne? „Historia życia każdego człowieka jest dramatem o dużo większej mocy niż

wszystkie sztuki Szekspira razem wzięte”, mówi dzielny reżyser łotewski, „wschodząca gwiazda europejskiej reżyserii”. Ciekawe, że nikt poważny jakoś na to przed nim nie wpadł; reżyseria jest tu, jeśli jest, śladowa, a dramaturgii, co kot napłakał. To na poważnym festiwalu teatralnym mogłaby być, co najwyżej, impreza towarzysząca, coś w rodzaju kłownady pomiędzy spektaklami konkursowymi.

Wieczorem w sali Olimpijczyka – Baal. Siedem aspektów baalicznego odczucia świata według Bertolta Brechta, jego debiutancki dramat z 1918 roku, w reżyserii Marka Fiedora z Teatru im. Jana Kochanowskiego z Opola. Mamy tu natchnione Brechtem mixty i mikstury Fiedora i jest to bardzo widowiskowe i ekspresyjne przedstawienie. To Brecht współczesny, bo właśnie to, co u Brechta jest skrzyżowaniem naturalizmu i metafizyki, z tego teatru się zachowało. Na pierwszym planie mamy odrażające, baaliczne profanum – agresywne, brutalne, wrzaskliwe, okropne i ohydne, ale w tle, w błyskach obecne jest sacrum, jego jasne, cierpliwe i spokojne pulsacje, istniejące między ludźmi dobro. To rodzaj współczesnego moralitetu: obok antywartości jest tu, choćby tylko w zarysach czy w powijakach ukazana skala wartości, bez których nie może być ani tragedii, ani komedii – nie może być nic.

Utwór Brechta Fiedor rozbił na siedem części, które zatytułował w znaczący sposób, według kolejności: Człowiek robi wiersz, Wywabić zwierzę!, Miłość między niebem a ziemią, Panopticum zwyrodniałych form, Msza w tonacji es-moll, Więcej niż bliskość kobiety i Szczur zdycha. Baala gra sześciu aktorów, ale żaden z nich nie wyróżnia się i wszyscy lepią z tych kreacji jedną postać i jedną historię. W ogóle jest to wyrównany zespół aktorski, na równym dobrym poziomie. Reżyser od początku nakręca ostre tempo i właściwie nie ma niodynamicznych scen w tym spektaklu; dominuje ostrość wyrazu, ale nie ma przerysowania, przesady, a jeżeli są, to po to, żeby dopełnić całość obrazu, wzmocnić i ujednolicić całe przesłanie.

Kim jest Baal? To poeta-rewolucjonista: głosiciel łatwej prawdy, krzykacz, skandalista i egoista, cynik i nihilista, sługa diabła, kłamca i manipulator. Nie istnieją dla niego żadne wartości, nie istnieje miłość i przyjaźń: liczy się tylko użycie, zaspokojenie prymitywnych potrzeb, istnienie w centrum uwagi. Nie potrafi być choćby tylko ironiczny wobec własnego świata, jakoś do niego zdystansowany: jest wtopiony w ten swój czarny wir, a wła-

ściwie to jest w nim zatopiony, na amen. I koniec jego jest marny, bardzo marny, żałosny.

Niszczy siebie samego, bo stawia się w centrum swojego złego świata, żyje w kręgu, w którym dominuje zło. Nie ma w nim nawet instynktu samozachowawczego: w bachicznym, demonicznym szale idzie na całkowite zatracenie, wypycha się w niebyt i w nicość. Nie chce sobie pomóc, a potem już nie może, bo wpada w sidła, z których nie ma wyjścia.

Fiedor kondensuje główne napięcia świata Baala, pokazuje, co jest ich odwrotną stroną, jakąś alternatywą, jaka jest, jeżeli w ogóle jest jeszcze jakaś droga wyjścia z tego śmiertelnego, baalicznego niebezpieczeństwa. Poezja jako szatański bunt, miłość jako erotyka i prymitywny seks, używanie i użycie za wszelką cenę i bez żadnych hamulców, alkohol i narkotyki, bełkot kiedyś jasnych i czystych słów, parodia i paranoja. Ileż zła wyrządza Baal i jakimi to roznosi się kręgami. Widzimy, jak aktywne jest zło.

Kościelne śpiewy, inkantacje i biblijne wersety brzmią tu jak z otchłani, chociaż jednak dochodzą, dają się słyszeć i widzieć, przeszywają ten ciemny świat ostrymi promieniami (Msza w tonacji es-moll). Baal ich nie widzi i nie słyszy. Patrzymy na niego ze współczuciem i z litością, gdy umiera i z wielkim smutkiem, że taki może być koniec życia człowieka. Umierającego Baala gra aktor, który w części piątej parodiował księdza i wyśmiewał mszalne śpiewy. Fiedor niczego nie wyjaśnia, nie akcentuje, nie wskazuje: jego mixty i mikstury są ekspresyjne i liryczne, prześwieczone szarym światłem, które pulsuje, zanika i zamiera, zostawiając w mroku sceny, w jej ciemnych kątach i zakamarkach tęsknotę za czymś pięknym, jasnym i czystym.

Przejście to spektakl, którego w ogóle nie ma, a który za wszelką cenę chce być i w końcu jakoś pokracznie materializuje się na scenie. Władimira Pankowa w reżyserii Władimira Pankowa z Centrum Dramaturgii i Reżyserii w Moskwie rzecz z gatunku sound drama, musical czy coś, co od biedy musical przypomina, coś na festiwal offowy – kolejny niewydarzony teatralny twór na Kontakcie. Moskwa w czasach przejściowych (jak przejście, to przejście), monologi i taneczne podrygi aktorów, z których nikt nijak się nie wyróżnia. Gra orkiestra „Pan-kwartetu”, a między jej muzycznymi kawałkami słuchamy historii przechodniów z moskiewskiego przejścia

podziemnego – „męczenników sumienia i niewolników zaistniałych okoliczności”. Kogo tam nie ma? Jest diler narkotyków – telewizyjny prezenter, prostytutka-społeczniczki, weseli emeryci i rapujący bezdomni, oligarcha-marzyciel i generał, który nie wie, czy jest generałem starym czy nowym. Mieszkanka teatralnych efektów, sceniczny misz masz, z którego jedynym ratunkiem jest wyjście.

I znowu Alvis Hermanis i Teatr Nowy z Rygi, tym razem prezentowany w Od Nowie, i, jak było do przewidzenia, kolejne teatralne fiasko: Sonia według powieści Tatiany Tołstajej. Znowu nuda w teatrze. Ni to groteska, ni sen, ni jawa, jakiś melodramat, klownada, przebieranki, cyrkowe sztuczki, błaznowanie, może podszyte powagą, może nie (na przykład twarz klowna przemienia się w Matkę Boską z ikony). Historia czy historyjka o romantycznej miłości starej panny opowiedziana przez dwóch złodziei (jeden jest narratorem, a drugi wciela się w rolę nieszczęsnej kobiety). Grzęźniemy w stereotypach: stara panna jest głupia, brzydka i nieszczęśliwa, budzi litość i współczucie, marzy o miłości, etc. – śmieszno-smutna kreacja Jasnowłosego Gundarsa Ābolinša. Trochę śmiechu, trochę wzruszeń, akurat coś dla niewymagających widzów.

Ja się nie dziwię, że powstają takie i im podobne spektakle: ja się jeszcze ciągle dziwię, że są one prezentowane (upychane) na różnych festiwalach; podobnie jest zresztą z nominacjami w różnego rodzaju konkursach i nagrodach literackich, czy filmowych. Oczywiście nie muszą tego wszystkiego oglądać, ani czytać: „Ja tego nie jadam”, jak mówi zniecierpliwiony, zaczepiany przez żebraka Hamm w Końcówce. I to nie jest tak, że się na próżno traci czas, bo to nie jest tylko stracony czas, ale artystycznie zły teatr, zły film czy zła literatura naprawdę szkodzą, zagrażają rozumowi i duszy, tak jak zdrowiu i ciału zagraża jakaś zła, skażona żywność. Jak to potem odkręcić, jak się odtruć? Pół biedy z ludźmi takimi jak ja: dojrzałymi i ukształtowanymi. Ale ile szkód i strat powodują te artystyczne blamaże i niewypały opatrzone gazetowymi dyrdymałami tudzież festiwalowymi nagrodami u ludzi młodych, którzy dopiero kształtują swój światopogląd, gust i smak. Kto się tym przejmuje? Żywność jest dokładnie badana w specjalistycznych instytucjach i zła, zagrażająca zdrowiu człowieka, zostaje szybko wyeliminowana, a tu wiadomo, że gazetowi i telewizyjni recenzenci w większości podchwycą to, co najgorsze (wręcz

kiczowate) lub w najlepszym razie złe. I dalej będą ludziom wciskać ten bezwartościowy i trucicielski kit.

Podróż do Bydgoszczy, żeby w Operze Nowa obejrzeć *vsprs* w reżyserii i choreografii Alaina Platelaz Les Ballets C. de la B. z Gandawy (Belgia). Tytułowy *vsprs* to skrót z *Vesprae della Beata Vergine Claudia Monteverdiego*. Choreografia została zainspirowana krótkimi, czarno-białymi filmami doktora van Gehuchtena z początku XX wieku, przedstawiającymi chorych na nerwicę histeryczną. Platel połączył maryjne nieszpory Monteverdiego z jazzem i muzyką cygańską, rozbijając tę mistrzowską kompozycję. Trudno. Krytycy piszą, że *vsprs* to utwór religijny, który nie opowiada żadnej historii. Przez prawie sto minut słuchamy gry zespołu muzycznego i śpiewu towarzyszącej im śpiewaczki operowej, a na scenie i na widowni obserwujemy podrygi i podrygiwania, konwulsyjne skręty, drgawki, bezcelowe gesty i ruchy, biegi, skoki i szamotanina w wykonaniu dziewięciu aktorów performerów pochodzących z różnych krajów i kontynentów (są wśród nich i artyści cyrkowi). Performerzy symulują obłąd, wcielają się w chorych ludzi i rzeczywiście robi to wrażenie (trudno, żeby nie robiło!). Są idealnie osobni, samotni, zatrzaśnięci w swoich ciałach i w swojej chorej psychice, cierpią, przed czymś (kimś) uciekają, coś (kogoś) gonią – każdy gra swoje, nie wiadomo dla kogo i przed kim. Nie wiadomo, czy to jest ich wyzwolenie, chwile wolności i radości, czy zniewolenie. Opętani przez złego ducha, siłą intuicji czy instynktu dążą do sacrum, dążą wzwyż, ciągle wspinają się na górę, wchodzą, wbiegają między ludzi na widowni, siedzą i stoją obok nich, obok nas, jakby oczekując współczucia czy pomocy. A cały czas brzmi piękna kościelna, maryjna muzyka Monteverdiego – jak memento w tym roztrząsanym i porozdzieranym na strzępy świecie.

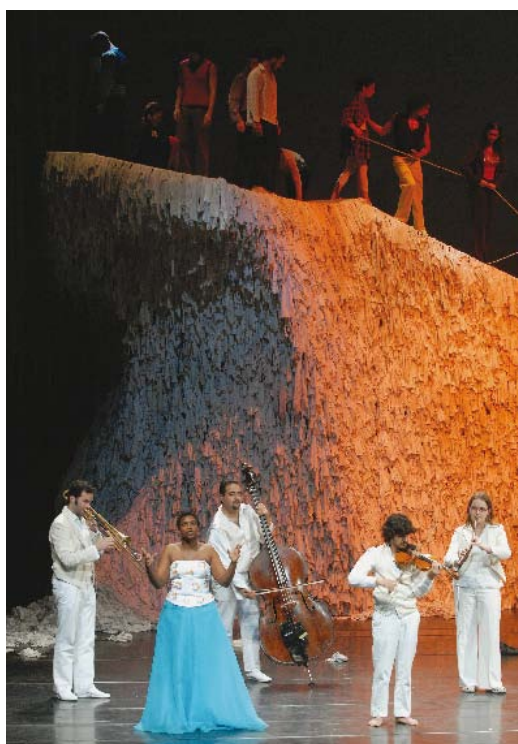
Może to jest sesja terapeutyczna (reżyser jest mimem i tancerzem, ale także psychologiem i pedagogiem), chociaż nie wiadomo, czy jest to sesja dla występujących performerów, dla widzów, czy dla jednych i drugich. Ruch i dźwięk zazębiają się o siebie, ale także istnieją autonomicznie, a nawet jakby w sprzeczności, w zwariu. W każdym razie jest to bardzo intensywne i męczące, fragmentami nużące przedstawienie, które niechętnie obejrzałbym raz jeszcze.

Wracamy do Torunia i na małej scenie Teatru Horzycy oglądamy Shakespeare'a *Miarkę za miarkę* w reżyserii Anny Augustynowicz i w wykonaniu



vspr, rež. Alain Platel.

Fot. Wojtek Szabelski/freepress.pl



vspr, rež. Alain Platel.

Fot. Wojtek Szabelski/freepress.pl

aktorów Teatru Powszechnego z Warszawy. Nie ma tu prawie żadnej scenografii, aktorzy we współczesnych ubraniach siedzą wśród widzów, raz po raz wchodzą na kwadrat sceny otoczony krzesłami, wychodzą i znowu wchodzą, cały czas są na widoku i sami wszystko widzą i słyszą, co dzieje się na scenie. Zniwelowana scenografia i pomysł reżyserski koncentrują nas na dramacie Shakespeare'a i jest to główna zasługa reżysera plus bardzo trafna obsada głównych ról. Znakomici są: Dominika Ostalowska w roli Isabelli, zaciętej mniszki, nowicjuszki zakonu klarysek oraz Mariusz Benoit jako księżę Vincentio; ciekawe role kreują: Krzysztof Stroiński jako Angelo, namiestnik księżęcy i Rafał Królikowski jako młody szlachcic Claudio, brat Isabelli.

Właściwie wszystko wiadomo od początku: wiadomo, że cała ta historia zakończy się happy endem, jak to w komedii, chociaż problem jest poważny i wyostrzony, najwyższej moralnej miary. Czy istnieje coś takiego jak mniejsze zło i jak ocenić, co w danym wypadku jest mniejszym, a co większym złem? Są to dylematy bardzo współczesne i w różnych wariantach ciągle aktualne. Czy, a jeżeli tak, to do jakiego stopnia można relatywizować dobro i zło i pojmować je w zależności od własnych korzyści? Czy, przeciwnie, dobro i zło to kategorie podlegające absolutyzacji i nasze z nimi sztuczki i wykręty nijak się do nich mają w ich ostatecznym wymiarze i rozrachunku? Czy dziewicza czystość jest ważniejsza od życia brata? Jak niszczycielski może być grzech? Kto jest bardziej winny: faryzeusz czy cudzołożnica? Jakie są w tej kwestii wskazania Ewangelii? Czy Angelo, trafiając na Isabellę, trafił jak kosa na kamień, czy po prostu trafił swój na swego (zadziwiającą wiele łączy i zadziwiającą wiele dzieli te dwie postaci). Jaka jest granica między wiarą a fanatyzmem i sekciarstwem i jak się ma do wzajemnych ich powiązań miłosierdzie? Czy dobry cel uświęca złe środki? Te i inne obecne w tej sztuce problemy moralne nakręca erotyka i seks (tu połączone z zagadnieniami władzy i nadużywania władzy). Rzeczywiście od początku prawie wszystko ustawione jest na krawdzi i zmierza w kierunku tragedii, ale od pierwszej sceny aktu trzeciego przeradza się, jak mówi Jan Kott, poprzez system transakcji, w komedię, ale i tak ta dwoistość jest przez cały czas wyraźna i dla konstrukcji sztuki dosyć niebezpieczna. To tak, jakby Shakespeare'a ogarniały podwójne natchnienia, jakby pisząc *Miarkę*, już ku czemuś innemu zmierzał. To ciekawe, że zaraz po tej mrocznej komedii przekształcającej się w efekcie w farsę czy w satyrę, następują w twórczości Shakespeare'a trzy wielkie tragedie: *Otello*, *Król Lear* i *Makbet*.



Fot. Wojtek Szabelski/freepress.pl

Miarka za miarkę, reż. Anna Augustynowicz.

Ładunek jest tu ogromny i z wielką przyjemnością słucha się i ogląda ten spektakl jakby o nas samych opowiadający i o naszym poplątanym świecie. I nie tyle chodzi o rozstrzygnięcia, co o wyostrenie świadomości na realnie istniejące w życiu każdego człowieka dylematy na dobro i zło,

które pomiędzy swoimi biegunami uskrzydla nas lub usidla. Konstrukcja, wyraziste postaci, akcja i psychologia dobrze służą odbiorowi tego przedstawienia.

W ostatnim dniu festiwalu w Od Nowie Skrzywienie kręgosłupa niemieckiej dramatopisarki Ingrid Lausund w reżyserii Dalii Jokubauskaite z Drukarni Sztuk z Wilna. I znowu spektakl bez echa. Pięcioro pracowników rozmawia ze sobą, czekając na wezwanie do gabinetu szefa. Każdy przedstawia siebie, co oczywiste, z jak najlepszej strony, uważa, że jego sprawy i problemy są najważniejsze etc. Starając się za wszelką cenę przystosować do sytuacji i do oczekiwań innych, zmienia się w marionetkę, jest nie podmiotem swoich działań, ale przedmiotem poddanym działaniom innych (stąd tytułowe „skrzywienie kręgosłupa”). I tyle.

Na zakończenie – Blackbird Davida Harrowera w reżyserii Grażyny Kani, spektakl Teatru Dramatycznego z Warszawy. Jest to sztuka o pedofilu i jego ofierze: spotykają się po około dwudziestu latach (ona ma 28 lat, on 56) i jesteśmy świadkami psychodramy, która się między nimi rozgrywa. Dobre aktorstwo: Adam Ferency jako zimny, psychopatyczny Ray oraz młoda i ładna Julia Kijowska jako przegrana, ale walcząca o swoje nieszczęsne szczęście Una. On twierdzi, że badania w więzieniu, w którym spędził cztery lata, wykazały, że nie był pedofilem (więc kim był, współżyjąc z dwunastoletnią dziewczynką?), zmienił się, ułożył swoje życie, chociaż przeszłość tkwi w nim jak bolesny cierni. Ona jest psychicznym wrakiem, zapłaciła cenę większą od niego, nie potrafi odnaleźć się w życiu, dojść do ładu ze sobą. Czy jakaś wspólna historia wynika z tych dwóch wersji, które słyszymy? Czy coś ich jeszcze łączy lub czy coś może ich jeszcze połączyć? Ona kieruje się emocjami, może nawet go jeszcze kocha, ale jest to, jeśli jest, jakaś miłość desperacka. On dobrze nie wie, w jakim znajduje się miejscu swojego życia, kim jest, kim nie jest i kim jeszcze chciałby być. Ona szuka siebie i jakiegoś dla siebie oparcia. Fatalna historia, fatalny los, z którego nie ma wyjścia. Nie ma tu nawet próby wypowiedzenia choćby najbardziej ogólnych ocen moralnych tak ze strony autorki, reżyserki jak i aktorów. Pokazują w realistyczno-naturalistyczny sposób, jak może wyglądać uwikłanie w zło, a to jest jednak za mało, bo przecież jest jeszcze druga strona tego medalu; jej błyski znajdują się w kreacji Julii Kijowskiej.



Fot. Wojtek Szabelski/freepress.pl

Blackbird, reż. Grażyna Kania.

I to już koniec Kontaktu '07. Moje typy: I nagroda – Śmierć komiwojażera, II nagroda – Baal i Miarka za miarkę, III nagroda – vsprs; najlepszy reżyser – Luk Perceval; najlepszy scenograf – Katrin Brack; najlepszy aktor – Thomas Thieme; najlepsza aktorka – Dominika Ostalowska. Werdykt Jury: I nagroda – vsprs, II nagroda – Śmierć komiwojażera, III nagroda – Sonia; najlepszy reżyser – Alvis Hermanis; najlepszy scenograf – Katrin Brack; najlepszy aktor – Gundars Ābolinš; najlepsza aktorka – Dominika Ostalowska.

Marek Wendorff

V A R I A

Michał Głowiński

Wołanie kamieni

Kiedy na zaproszenie wydawnictwa Universitas i Andrzeja Nowakowskiego pisałem krótki wstęp do tego niezwykłego albumu, nie znałem całego dzieła. Chodziło o ogólne refleksje, a takie nasuwają się nawet po obejrzeniu wybranych fragmentów tego dzieła, nie – o szczegółową prezentację. Refleksje owe nazwałem Elegią żydowskich cmentarzy w nawiązaniu do znanego wiersza Antoniego Słonimskiego. Przy tej elegijnej tonacji pozostanę, narzuca się ona z dużą mocą, wydaje się też najbardziej odpowiednia. Na ogół wszelkiego rodzaju cmentarze skłaniają do elegijności i refleksji, zwłaszcza zaś takie, które stały się zabytkami, stanowią pozostałości po nie istniejącym świecie, są jego wiele znaczącymi resztkami. Kamienie wołać będą – powiada się w jednym z kanonicznych tekstów europejskiej kultury. I wołają – tak w swej realnej, materialnej egzystencji, jak i na zdjęciach, które im poświęcono, pokazując od różnych stron i z rozmaitej perspektywy. Tak w ich bezwzględnej szarości i nagości, jak wkomponowane w przyrodnicze otoczenie, niby bujne i w zasadzie nie poddane na większą skalę ludzkim zabiegom, ale też porażone cmentarną atmosferą.

Kamienie wołać będą – i zapewne wołają, choć głos ich nie zawsze jest słyszalny, nie zawsze dochodzi do ludzkich uszu i do ludzkiej świadomości. Niekiedy wołanie to przejawia się w milczeniu i z nim się zrównuje. Myślę, że tak właśnie było, gdy chodzi o żydowskie cmentarze długi czas po zakończeniu wojny. Gdy patrzy się na Zagładę z pewnej perspektywy, powiedzieć można, iż utożsamia się ona z umieraniem, któremu oszczędzono ceremonii pogrzebowych, które pozbawiono cmentarzy. Gdy wielomilionowej społeczności zgotowano taki los, gdy jej przeważająca część uszła z dymem ulatującym z krematoriów, trudno wsłuchiwać się w wołanie kamieni. Może się wydawać, że jedną wielką nekropolią stało się powietrze, w którym unoszą się – być może – resztki tych, których życia pozbawiono w ten nieznany czasom dawniejszym sposób. „Chmura z ludzi nad krajem szła” – jak napisała wielka poetka. Skoro już odwołałem się do poezji Słonimskiego, uczynię to raz jeszcze. W jednym z przedwojennych wierszy o śmierci, tej zwykłej naturalnej śmierci, użył formuły, która utkwiała mi w pamięci: „związki chemiczne z własnym grobem”. Ofiary Zagłady na takie związki nie były narażone, dużo ważniejszy był

związek z trującymi gazami, jakimi je traktowano. A wówczas wołanie kamieni uwagi nie przyciąga.

Sięgnę po prywatne wspomnienia. W moim rodzinnym podwarszawskim miasteczku, w którym mieszkałem przez pierwszych dwadzieścia powojennych lat, zachował się fragmentarycznie żydowski cmentarz, wtedy już nieczynny. W czasie tym nikt nim się nie interesował, także w mojej rodzinie. Po prostu o nim nie myślano, może dlatego, że był częstką zaginionego, doszczętnie zniszczonego świata, do którego powroty przynajmniej w konkretnym wymiarze materialnym wydawały się pozbawione sensu. Sądzę jednak, że przyczyn takiego stanu rzeczy szukać należy w czym innym. Ci, którzy z Zagłady uszli z życiem, byli nią porażeni. Nic się nie mogło z nią równać, багаż ludzkich strat i багаż cierpienia sprawiał, że kirkut, będący wspomnieniem po nie istniejącym, w miarę normalnym świecie stał się przestrzenią w jakiejś mierze bagatelną w porównaniu z tym wielkim cmentarzem milionów ludzi, który w sensie dosłownym nie istnieje i istnieć nie będzie. Nie czas troszczyć się o groby indywidualne, gdy zginęła cała społeczność. Znaczenie owego kirkutu w moim skromnym niewielkim miasteczku dostrzeżono wiele lat później, wtedy, gdy ze społeczności żydowskiej chyba nikogo już wśród jego mieszkańców nie było. Pojawili się ludzie dobrej woli, ci, którzy nigdy na tym cmentarzu z oczywistych powodów swoich przodków nie chowali. To oni właśnie usłyszeli wołanie kamieni.

Usłyszał je także Andrzej Nowakowski, gdy podejmował decyzję sporządzenia cyklu fotografii przedstawiających ów nowy krakowski cmentarz, a także autorzy świetnych tekstów historycznych, które cykl uzupełniają i komentują: Eugeniusz Duda i Anna Jodłowiec-Dziedzic oraz Leszek Hońdo. Usłyszał – i przełożył na mowę obrazów. Ów z nazwy nowy cmentarz wcale nie jest nowy, stanowi zabytek, część dawnego świata. I w jaki sposób owego przekładu dokonuje? Na to odpowiedzieć i łatwo, i trudno. Łatwo, bo można rzecz załatwić prostym stwierdzeniem: w taki sposób, jaki ma do dyspozycji artysta-fotografik. Od razu jednak wypada stwierdzić, że taką odpowiedzią nie można się zadowolić, jeśli nie chce się pozostać w sferze ogólników. Spróbujmy stwierdzić zatem, jak to się stało. Przede wszystkim należy orzec, że album jako całość jest dziełem sztuki, sztuki, która nie ogranicza wartości dokumentarnych, ale – przeciwnie – zdecydowanie je podkreśla. Mowa obrazów została zharmonizowana z fragmentami poetyckimi. Ich autorami są przede wszystkim trzej wielcy poeci: Leśmian, Miłosz i Eliot. Pojawiają się jednak także przytoczenia z utworów Słowackiego, Tuwima i zmarłego na przełomie roku 1941 i 1942 (dokładna data jest nieznana) w warszawskim getcie Mieczysława Brauna, który choć mniej sławny, był interesującym poetą. Owe wyimki z wybitnych utwo-

rów nie tylko podkreślają czy potęgują nastrój obrazów, stanowią także do nich uogólniający komentarz. Nadają im sens uniwersalny.

Wszelka sztuka zwłaszcza gdy mówi o tym, co pogrążone w nieładzie, co trudno określić jako przejaw porządku świata, tak w sensie materialnym, jak moralnym, czy metafizycznym, zwykle czuje się zobligowana do narzucania pewnego ładu, swojego, wynikającego z jej własnych praw i zobowiązań, takiego jednak, który nie kwestionuje tego, co jest rozgardiaszem świata, o jakim mówi. Cmentarz na tych zdjęciach, tak wyraźnie i konsekwentnie podporządkowanych ogólnemu porządkującemu zamysłowi, nie jest oczywiście ogrodem w stylu francuskim. Pokazują go one jako przestrzeń skłębioną, pełną nawarstwiających się składników, groźną. Momentami wyłania się z nich swojego rodzaju krajobraz księżycowy, jakby wyzbyty ludzkich akcentów, osaczający. Jego kolory są szare czy czarno-szare. Nawet zieleń nie jest tu oznaką życia i nie niesie optymistycznego przesłania, to zarośla wyzbyte przejrzystych kształtów, to zawsze – świetnie rzecz tę oddaje jedna z cytowanych formuł Eliota – „kształty bez formy, cienie bez koloru”. I rzeczywiście jest to zieleń przytłumiona, niejako dostosowująca się do szarości kamieni, które po długich dniach i jeszcze dłuższych nocach zostały wreszcie usłyszane. Może nie będzie przesady, gdy się powie, że nawet ta zieleń ma w sobie coś księżycowego, nie dającego się ogarnąć i skomentować. Choć realna, prezentuje się tak, jakby wyłoniła się ze złowrogiego snu. Nawet kora rozrosłych drzew, niezależnie od tego, czy pokazywana latem czy zimą, ma w sobie coś groźnego, a niekiedy nawet – agresywnego. Nie są to owe wysokie drzewa, których piękno opiewał poeta, nawet gdy realnie są wysokie. Także kolor opadłych jesiennych liści nie równa się tu barwnej plamie – i on podszyty został szarością. Na tle tych splełanych i splełanych zarośli, tych drzew, które straszą, na tle tej zmatowiałej zieleni, zharmonizowanej z kamieniami, pojawiają się w tych zdjęciach szczegóły, które nie zmieniają wymowy całości, nie wnoszą odprężenia, nie służą symbolicznie pocieszenia, choć może zapewniają pewien oddech. Myślę o trzech niezwykle zdjęciach, które w dialektyce całości tego fotograficznego dzieła mają znaczenie doniosłe. Myślę najpierw o niezwykle wyraźnie pokazanej, gęsto tkanej pajęczynie, wyróżniającej się na tle splekanej kory i wystających macew, w której ciężko pracujący pająk jest ledwo widoczny. Myślę – następnie – o siedzącym na kamieniu ptaku, ujętym w zimowym krajobrazie. Jest on czarny tą czernią, jaka jest charakterystyczna dla krukowatych, czernią nasyconą i intensywną. Ale dziób jego – i to jest główny element przyciągający uwagę w tym zdjęciu – kolorowy, jasny, żółto-pomarańczowy (czyżby był to kos?). I tu ujawnia się ta tyle znacząca w fotografiach zebranych w tym albumie gra kolorów. I – wreszcie – zdjęcie trzecie, to, w którym symboliczne przesłanie jest najbardziej jednoznaczne i najłatwiejsze do odczytania, także dlatego, że umieszczone na końcu na czarnej niemal pustej stronie.

Towarzyszy mu podpis, złożony z jednego tylko słowa: jarzębinka (jest to bodaj jedyne miejsce w tym dziele, gdzie pojawia się deminutyw). Rzeczywiście, niewielka roślina wyrasta w szczelinie między nagrobnymi kamieniami. Kamienie bowiem nie tylko wołają i – przynajmniej niekiedy – bywają słyszane, one także mogą stać się ośrodkiem życia. Czy takie jest przesłanie albumu Andrzeja Nowakowskiego? Nie wiem, być może. Tego jednak jestem pewien: trud dokumentacji, utrwalający pamiątki po tych, których nie ma, łączy z kunsztem artysty. I to jest tutaj najważniejsze.

Michał Głowiński

Julia Hartwig

Własna droga – o tomie Jarosława Mikołajewskiego *Któraś rano*

Mniej więcej trzy lata temu ogłosiłam w „Tygodniku Powszechnym” mały esej o poprzedniej książce Jarosława Mikołajewskiego zatytułowanej *Ci, którzy mnie mają*. Napisałam go mając w pamięci wcześniejszą jego książkę *Nie dochodząc do Pięknej*. Znalazły się w tamtym szkicu uwagi dotyczące moich przemyśleń na temat poezji tego autora.

Tom *Któraś rano* jest niewątpliwie kontynuacją dotychczasowego kierunku poczynąń poety, choć uwalniają się w tym tomie nowe potencjalne siły i ogólny ton odczuwany w lekturze jest nieco odmienny. To, co było w *Tych, którzy mnie mają* oczekiwaniem, tu doczekać się miało spełnienia, a spełnienie to nie ma bynajmniej charakteru triumfalnego, jest gorzkim owocem dojrzewania i mniej polega na zadawaniu pytań, co na próbach odpowiedzi, czasem wręcz desperackich, jak w *Śmiertelnym zmęczeniu*, które jest jednym z najbardziej zatrważających wierszy w tym zbiorze. Nawet żart, jeśli się pojawia, jest tu jakby zarażony smutkiem, nawet przekomarzanie się z językiem własnych dzieci. Tom ten ma w sobie coś dramatycznego, wyrasta z kondycji ludzkiej, z kondycji człowieka, który ofiarowuje niejako życiu siebie: „Tym, którzy go mają” i tym, o których myśli budząc się o którejś rano. Jest w tym tomie zarazem zmęczenie i pełna akceptacja dla takiego właśnie życia, które bez tego zmęczenia byłoby niepełne. Zmęczenie to mówi o śmiertelności życia, jest jakby stopniem do śmierci.

Poeta, jak sam mówi, za każdym razem pisze swój jakby pierwszy wiersz w życiu; nie siada do stołu z gotowym pomysłem, impulsem jest pierwsze zdanie, a wynik

ma być taki, by żadna z użytych form się nie powtarzała, aby żaden wiersz nie był podobny do innego. Istotnie, różnorodność utworów, również w ostatnim zbiorze, zastanawia. Próbuje dogonić autora czytając jego wiersze, ale zawsze, jak w zabawie w „kucanego berka”, on przykuca pierwszy i jest nie do złapania.

W wywiadzie udzielonym przed kilku laty deklaruje się jako poeta osobny. Rozumiem to, choć w jakiś sposób nie chce lub nie czuje się w swojej twórczości osobny, ale jego osobność polega na tym, że odżegnuje się od tendencji programowych, jakie się w jego pokoleniu pojawiają. Charakteryzując poetów współczesnych Piotr Śliwiński pisze, że pragną oni być czytani i analizowani na sposób formalny, „techniczny”, z pominięciem kwestii sensu, kontekstu i odniesienia do tradycji. Poezja Jarosława Mikołajewskiego i cała jego postawa poetycka jaskrawo odbiegają od podobnej tendencji. Zresztą – tu już uwaga moja – wydaje się, że sens zaczyna ostatnio coraz bardziej odzyskiwać swoje prawa.

Tajemnicą Jarosława Mikołajewskiego jest jego umiejętność połączenia spontaniczności z pisarską rozważą i z dyscypliną poetycką, a to jest niełatwe. Przeczytajmy Trumnę z papieru.

Jeśli młode, czy może raczej średnie pokolenie wstępujące uważa się za awangardę, to nikt przecież, jak myślę, nie będzie upierał się przy pomyśle, że awangarda i sens to dwie rzeczy sprzeczne. Choć tak się również zdarzało. Jarosław Mikołajewski jest również krytykiem i znawcą literatury, znane mu są więc wszystkie podchody, jakimi rozporządza literatura stosowana, i potrafiłby z nich korzystać. Rzadko to jednak robi.

Obok zapisów ukazujących kunszt poetycki, spotykamy w tomie *Któraś rano* wiersze zbudowane z niebywałą prostotą. Wiersze takie stanowią zazwyczaj u tego poety wykładnię intymnych uczuć i ich prostota to sztuka mówienia o tym, co zazwyczaj chowane jest pod korzec. Kiedy powiem, że wiersze w tomie Mikołajewskiego są nierówne, chcę tylko powiedzieć tyle, że znalazło się w tym tomie kilka wierszy tak przejmujących i do głębi własnych, a zarazem tak uderzających swoją dramatycznością, jak *Pomiędzy niebem i ziemią*, *Śmiertelne zmęczenie*, *Trumna z papieru* czy *Wyznanie miłosne dla żony, która wybiera się z dziećmi w podróż samolotem*. Są one dla mnie w sensie i poetyckim i ludzkim najważniejsze w tym zbiorze i nadają się do wysłania wprost do antologii poezji polskiej. W naszej poezji nie lubi się na ogół mówić o żonie i dzieciach, matki mają więcej szczęścia.

Kiedy Mikołajewski mówi, że uważa się za poetę awangardowego, to wie, co mówi. Zna wagę eksperymentu, ale zna także wagę tradycji. Bawi go jednak czasem zabawa słowami, co pokazał w poprzednim tomie, myślę o wierszach *Area aerea*

czy Strefa wolnościowa. (Jest tu zresztą wyraźny związek między językiem rodzimym i włoskim, Mikołajewski znany jest bowiem jako tłumacz poezji włoskiej, Petrarki, Dantego, Pavese, Buzattiego.) W Któraś rano tej zabawy słownej jest już mniej niż w poprzednim tomie i mniej jakby ciepła i łagodnego żartu, tak ujmującego, swoistego i świeżego jak w wierszu o córeczkach – Łąka.

Zadanie, jakie stawia sobie Mikołajewski, to „przechować w swoich wierszach tych, którzy w nim siedzą, użyć im głosu – cytuję – pogodzić ich sztychem słowa, który otwiera kanał między znaczeniami i odczuciami”.

Jarosław Mikołajewski bywa w swoich wierszach czuły i bywa okrutny. Ale ostrze tego okrucieństwa obraca zawsze przeciw sobie.

Julia Hartwig

Aleksander Jurewicz

Samotnia

Ktoś wczoraj niespodziewanie wywołał jej imię i od tamtej pory rozdygotanych myśli w miejscu utrzymać nie mogę. Przez tak długi, bardzo za długi czas, że prawomocne byłoby stracić nadzieję, nic o niej nie wiedziałem i już nie wierzyłem, że jeszcze kiedyś o niej usłyszę. Mogłem tylko przysyłać w przestrzeń przechowywane w utajnieniu czułości, kiedy pociąg mijał przed Warszawą to historyczne, garnizonowe miasto, w którym ona prawdopodobnie zamieszkała i była to jedyna, niezmienna przez lata wiadomość; teraz wiem, że tam nie mieszka.

Dziesięć lat temu jechałem na zjazd absolwentów mojego liceum (w radiu akurat usłyszałem o Noblu dla Wisławy Szymborskiej) z tą jedną niecierpliwą myślą – pragnieniem: że ona też będzie, że ją zobaczę, że się nareszcie spotkamy. Ale nie doczekałem się wtedy na G. i od tamtej pory moja nadzieja zaczęła obumierać, już ledwo, ledwo tliła się, ale wystarczyło, że wczoraj ktoś o niej wspomniał prawie mimochodem i nastąpiła we mnie eksplozja odzyskanych wspomnień. Nie chciałem pojechać na tegoroczny zjazd, żeby, tak samo jak wtedy, nadaremnie na nią nie czekać.

Mój licealny kolega siedział w fotelu naprzeciwko, słuchałem dość obojętnie jego opowieści ze zjazdu naszej szkoły, ale kiedy, jakby przypadkiem, padło imię G. i jej dawne nazwisko poczułem, jak ogarnia mnie fala dziwnych dreszczy, a w środku

kielkuje coś, co przybiera postać wzruszenia, że ona jednak na świecie jest. I zaraz też poczułem klującą uczucie zazdrości, że on ją widział, tak niedawno temu.

– I ty ją naprawdę widziałeś? – wyrwało mi się rozpaczliwe, dodatkowe pytanie
– Mój Boże, to naprawdę była G.?

Trudno i długo przychodziło mi przyzwyczajenie się do wyroku, którego sentencję usłyszałem podczas jednego z wczesnych przebudzeń, kiedy pomiędzy sapaniem leżącego obok tapczanu psa usłyszałem (a może wyobraziłem sobie, że słyszę?) zwolnione stukanie wystudzonego serca i pomyślałem gorzko, że ono, to serce, będzie z każdym dniem biło coraz wolniej i będzie coraz bardziej chłodniejsze. I teraz raptem poczułem jak mocnymi, prawie zapomnianymi uderzeniami ono odzywa się na dźwięk imienia dziewczyny, która już się mogła zdawać jakimś młodzieńczym przywidzeniem, nieznaną tęsknotą wyczytaną w wierszach dawnych rosyjskich poetów, niewyraźnym zarysem dziewczęcej twarzy, zobaczonej na fragmencie oszronionego okna, w przypadłym na zawsze czasie przeszłym.

A ona, okazuje się, jest i jest teraz na pewno bardziej realnie i bliżej niż przed kilkoma minutami; a przecież wystarczyło, że nasza rozmowa mogła mieć inny przebieg, a dzisiaj nie miotałbym się jak sztubak dotknięty udręką pierwszego zakochania.

Siedzę na cmentarnej ławeczce i jakoś inaczej patrzę w pocieniowaną wzgórzami dal, niż patrzyłem dotąd. Wracam od ojca z cmentarza i czuję, jakbym odnalazł milczącą gwiazdę na niebie. I zaczynam pielęgnować w sobie tę czułą myśl, że ona przecież o niczym nie wie, że gdzieś dla kogoś po raz drugi przyszła na świat. Nawet nie przeczuwa, że banalnie jak zawsze zadzwoni telefon w jej mieszkaniu, podniesie słuchawkę, a dla mnie jej głos będzie jak przywrócona pamięć. A może nic szczególnego się nie zdarzy i ten przyszły dzień zapamięta tylko dlatego, że zgubiła rękawiczkę? Kiedy do niej zatelefonuję, linie papilarne jej pamięci mogą nie nałożyć się na moje i nie wiem, co wtedy mam zrobić. Przepraszając odłożyć słuchawkę telefonu? Tamta biografia może być przez nią zamknięta i może nie czuć potrzeby, by dodawać do niej coś jeszcze? – e zamiast lepszego zakończenia może być zamknięcie ostateczne, pogrzebanie na wieczne zawsze przeszłości w przestworzach telefonicznych połączeń i niech te puste lata, kiedy nic o sobie nie wiedzieliśmy, pozostaną wciąż puste. Więc niech ciągle schodzimy po schodach sali balowej w pierwszej parze, prowadząc poloneza na balu maturalnym, chociaż już muzyka dawno przestała grać i została głucha, bezdenna przestrzeń, w której los albo przeznaczenie nas porzucili. Bo czy po tym wszystkim możliwy jest ciąg

dalszy, którego i boję się, i jestem ciekawy? Chociaż nie wiem, doprawdy nie wiem, czy, gdy już będę znał numer jej telefonu, natychmiast zatelefonuję...

W tej jakby pozaziemskiej wieczornej ciszy mojej wiejskiej samotni wyobrażam ją sobie teraz, w tych właśnie wieczornych chwilach i widzę twarz tamtej licealistki, którą przez cztery lata widywałem na szkolnym korytarzu, bo nie chodziliśmy do jednej klasy. Natarczywe, przebarwione obrazy nie wychodzą sprzed oczu: w wiosennym słońcu leżymy na kolejowym nasypie za miastem, a obok nas otwarte na logarytmach podręczniki do matematyki albo tomik wierszy Baczyńskiego, a czas zatrzymuje się niczym biedronka na łądźce trawy, jakby chciała nas podglądać, a może przechować w swojej nietrwałej pamięci. Albo: idzie przez moją zatrutą pamięć z teczką w ręku, to znowu jej ostry profil widzę w szybie wagonu, kiwa dłonią, nie wiem, czy do mnie, tą dłonią, w której palcach dojrzałej dzisiaj kobiety dopala się w mojej wyobraźni cienki papieros, i którą – jeżeli się odważy – odbierze niecierpliwy telefon ode mnie. To wszystko było trzydzieści pięć lat temu!

Lecz czy nie było – jeżeli to jeszcze raz i na spokojnie przepatrzyć – znaków przeciwnych, że już na zawsze mieliśmy się rozminąć, że nie nam zapisane są ciągi dalsze czy wskreszenia zaprzeczonych młodzieńczych uniesień, dla których zabrakło w życiu czasu i miejsca, i żeby zostawić je jednej majowej nocy, by pozostały niedokończonym spełnieniem? Przecież tyle innych zagubień po drodze było, kiedy po kimś nie przechowało się nawet imię, spopielili się listy, ten ktoś nawet w najkrótszym śnie już się nie odezwał. I ona też chyba nigdy mi się nie przyśniła, i nie przyśni się też tej nocy, chociaż przez cały dzień obejmowałem ją czułymi myślami. Nie wymodłę i dzisiaj dla siebie takiego snu, nie zaklnę go ani swoim ani cudzym słowem („Już nie goń. Cicho, Jak miękko deszcz pada...”). Sny nam amputowano. Szczęśliwie coś nas ominęło. Zaoszczędziliśmy sobie tych wszystkich ran, które kobieta i mężczyzna czynią nawzajem w życiu, nawet jeszcze wtedy, gdy już od dawna nie są razem. A jednak czegoś żal, jakby otchłań czasu, w którą nas wrzucano albo pozwoliliśmy się zepchnąć sami, była ciężkim, nie do odpokutowania grzechem. Jak potępieniec czekam na numer jej telefonu, tylko nie wiem, czy się odważy. Może już jest za późno. Chyba już jest za bardzo późno. Trzydzieści pięć lat... Jak to wszystko możliwe?

* * *

„Ja był jebun!” – powiedział Lew Tołstoj do Iwana Turgieniewa. Jest to zdanie tak monstrualnie głębokie, że dziwię się, iż na jego motywach nie powstały uczone dysertacje, nie jest ono mottem albo głównym hasłem konferencji literackich, nawet na suwenirach z Jasnej Polany – tandetnych samowarkach – nie jest wygrawerowane. Ta krótka fraza nie ma wymiaru dalekosiężnej abstrakcji, chociaż została wypowiedziana tak dawno i dotyczy arcyważnych pisarzy nie tylko światowej, ale wszechświatowej klasy. Jeżeli literaturę na przykład porównać do pociągu, powiedzmy Orient Luks, to Lew Nikołajewicz i Iwan Siergiejewicz siedzą w ekskluzywnym salonce tuż za lokomotywą.

Kiedy to mogło być, bo lata ich życia trochę się rozeszły – Turgieniew zmarł w roku 1883 (w młodości, bo 65. roku życia), Tołstoj przeżył go o lat trzydzieści? Gdyby ich spotkanie odbyło się przed śmiercią Turgieniewa, to Tołstoj byłby raptem pięćdziesięciolatkiem i czas kategorięcznie przeszły – „ja był” – jest co najmniej dyskusyjny. A może powiedział to komuś innemu, a plotka wędrująca po stepowych meandrach zmieniała bohaterów. A może dużo, dużo później mógł tak powiedzieć do Antoniego Czechowa, którego autor Wojny i pokoju niesłychanie cenił i poważał, i którego odwiedził w szpitalu tuż przed jego przedwczesną śmiercią? Muszę się jednak trzymać tego, o czym sam przeczytałem wiele lat temu i uważam to zdanie za jedno z piękniejszych w dziejach myśli ludzkiej, chociaż piszę o tym z ostrożnością i pewnym zawstyżeniem, bo otwieranie cudzych, nie tylko pisarskich rozporków jest wielce naganne i nieestosowne. Ale tu jednak chodzi o historię światowej literatury, a nie o tabloidalną aferę. Trudno jednak w tym przypadku o powściągliwość, a nawet grzech zaniechania choćby z miłosierdzia, skoro to wyznanie Lwa Tołstoja przetrwało do dzisiaj, i niech pójdzie w następne pokolenia. Bo ciężko przychodzi oprzeć się ludzkiemu, po prostu ludzkiemu i litościwemu zadumaniu, że Lew Nikołajewicz tak wcześnie zakończył swoje bujne, legendarne życie erotyczne. A może był to – pohulać wyobraźnio! – bankiet wydany w Jasnej Polanie na okoliczność zakończenia życia erotycznego i oddania się już tylko ascetycznemu życiu duchowemu? Wyobraźmy sobie: wiosenny czereśniowy sad, kipiący samowar, bliny, konfitury, jesiotr, marynowane rydze, na pewno coś na zapomnienie – szampan?, tylko szampan?, zaryzykuję, że jeszcze jęczmienny samogon. Nieważne w końcu, co jeszcze było na bankietowym stole. Ważny jest przekaz, który powinien być przykładem, o czym powinni ze sobą rozmawiać pisarze.

I mogło zdarzyć się tak, że w pewnym momencie Tołstoj znacząco zachrząknął, zastukał widelczykiem w zmrożone szkło i spojrzawszy na Turgieniewa wypowiedział dobitnie:

– Ja był jebun!



Министр Александр III. в
51. Петербург.
Е. Репин

Graf L. N. Tolstoj.

Być może na te słowa „Francuzik”, jak mówiono po Moskwie i okolicach na Turgieniewa, opuścił oczy albo nerwowo sięgnął po kielicha. Mógł też spod monokla pytająco spojrzeć na arcytoksyyczną Zofię Tołstojową, która jednak z większych opresji wychodziła zwycięsko, i która chwytając za rękaw surduta Iwana powiedziała, zanosząc się toksycznym śmiechem, aż ze strachu ucichły pszczoły w sadzie:

– Ot, Lowka znowu żartuje. Wciąż w nim kołacze się niepoprawny szutnik! Zaręczam, Iwanie Siergiejewiczu, że niedługo, pewnie już tej nocy, zmieni swoje zamiary.

Lew spojrział z grymasem na śmiejącą się nieprzyjemnie żonę, chciał raptownie coś powiedzieć, ale powstrzymał się i tylko dla siebie zachował niewypowiedzianą tajemnicę:

– Ty się tu śmiejesz, śmiejesz się, ile dasz rady, a ja kiedyś i tak ci ucieknę z Jasnej Polany!

Zofia Andriejewna spostrzegła po twarzy męża, że chyba niepotrzebnie powiedziała dwa słowa za dużo, więc żeby jakoś wyprostować atmosferę zaszczebiotała:

– To ja pójde donieść ciepłych blinów.

Wielcy pisarze zostali sami. Siedzieli i co jakiś czas zakąszali. Dwa literackie kolosy, nie konkurenci, nie jazgotliwi biegacze po uludny promień sukcesu. Nie, zachowywali się po prostu, jak na pisarzy przystało, czyli po męsku.

– Nie za wczesna, panie kolego, ta rezygnacja z mało finezyjnych dla cudzego oka uciech cielesnych? Jeszcze jesteśmy dla tych spraw w słusznej sile wieku.

– A jak tam Iwanie Siergiejewiczu z tym u ciebie? – Lew nachylił się konfidencjonalnie nad stołem. – Jak tam Francuzki?

– Et – machnął ręką Turgieniew. – Już coraz mocniej dopadają korzonki, że odbierają chęć nie tylko na kobiety, ale i do życia.

– No co wy, co wy? – Tołstoj rozlał po stakanach. – Nie można poddawać się tak łatwo. Jak to się mówi: nie ma pisania bez... Wypijem!

I wypili, i ciężko odetchnęli odstawiając puste stakany, jak na prawdziwych pisarzy przystało.

– A wiecie, Lwie Nikołajewiczu, co taki Flaubert, kawał mężczyzny i tęgi pisarz, pisze mi w ostatnim liście? Zaraz, zaraz, mam go w którejś kieszeni...

Tołstoj znowu ponalewał im samogonu.

– O, jest ten list, więc posłuchajcie...

– Wypijmy, bo zwariujemy ze smutku.

Kiedy po raz kolejny spełnili rytualne czynności, towarzyszące wprowadzaniu w organizm życiodajnego trunku, Turgieniew poprawił monokl i zaczął, zacinając się, bo od razu przekładał z francuskiego, czytać:

– „Koledzy wytykają mi ustawicznie trzy grosze dochodu, które nie pozwalają mi zdechnąć z głodu. Łatwiej tak mówić niż mnie naśladować. Rozumiem przez to żyć jak ja: na wsi przez trzy czwarte roku; bez kobiety (punkcik dość drażliwy, lecz ważny), bez przyjaciela, bez konia, bez psa, słowem bez żadnego z atrybutów życia ludzkiego; a następnie uważam za nicość wszystko, co jest poza dziełem samym w sobie. Powodzenie, czas, pieniądze i drukowanie są usunięte w głąb mej myśli w widnokręgi bardzo mgliste i najzupełniej obojętne. Wszystko to wydaje mi się głupie jak stołowe nogi i niegodne (powtarzam słowo niegodne), byście tym zaprzęтали sobie głowę. Niecierpliwość, z jaką literaci chcą być drukowani, grani, znani, chwaleń, zadziwia mnie jako pewne szaleństwo. Wydaje mi się, że to ma tyleż wspólnego z ich pracą co z grą w domino lub z polityką. Tak...”.

Iwan Siergiejewicz spojrzał na Tolstoja, po którego twarzy ściekały łzy i perliły się na brodzie.

– Silny pisarz, bliacha mucha, szkoda, że nie ma go tutaj z nami – powiedział zalawionym głosem. – Jeszcze coś pisze w liście ten Flaubert?

– Posłuchajcie dalej: „Wszyscy mogą robić to co ja. Pracować równie powoli i lepiej. Trzeba tylko wyzbyć się pewnych upodobań i odmówić sobie pewnych przyjemności. Bynajmniej nie jestem cnotliwy tylko konsekwentny. I chociaż mam wielkie potrzeby, o których słowa nie pisnę, zostałbym raczej gospodarzem klasowym w szkole, niż miałbym napisać cztery wiersze dla pieniędzy. Mógłbym być bogaty, gwizdnąłem na wszystko i zostaję jak Beduin w mojej pustyni i w mej godnej postawie... Lepiej upijać się atramentem niż wódką. Muza, najbardziej nawet przykra, mniej sprawia zmartwień niż kobieta”.

Turgieniew skończył i sięgając po nalany stakan, przepił do Tolstoja. Potem zamyslili się i złączyli się w pięknym milczeniu, jak na prawdziwych pisarzy przystało.

– Muza mniej sprawia zmartwień niż kobieta – powtórzył cicho Lew Nikolajewicz. – Ale tę swoją Bovary nieźle naszpikował arsenikiem! – powiedział z tajemniczym rozmarzeniem, wpatrując się w nadchodzącą Zofię Tolstojową z dymiącym półmiskiem blinów.

Tak to kiedyś było, tak żyli, tak rozmawiali pisarze i los ich za to sowiec wynagrodził. Zostały po nich książki i będą one na półkach, kiedy nas już nie będzie, a następne pokolenia też będą po nie sięgały. Nie wiem czemu pisarze ze sobą nie rozmawiają tak jak dawniej. A jeżeli już się odezwą, to poprzez media, a kiedy

zacznie się czytać ich wynurzenia, to aż zęby cierpną i ostatnią rzeczą, na jaką ma się ochotę, jest przeczytanie ich książek. Jadę pociągiem i w podróжной nudzie zmuszony jestem czytać o takie na przykład coś:

„Zawsze mówię, że piszę książki dla dorosłych, to znaczy dla ludzi, których traktuję tak samo poważnie jak siebie samego, i uważam, że jeżeli będę się z nimi dzielił swoimi zmartwieniami, to będę postępował uczciwie. Może powinienem myśleć jak Mickiewicz (a także Miłosz): są prawdy, których się nie zdradza nikomu... Mam jednak poczucie, że moje książki nie trafiają pod polskie strzechy i że w ludziach, którzy je czytają, nie dokonują jakiegoś moralnego spustoszenia. One po prostu stawiają czytelników w trudnej sytuacji”. Co to jest, kto to mówi? Po co to mówi? Co ma do tego Mickiewicz, co ma Miłosz? A o czym stary poeta pisał obserwując na lotnisku młode kobiety? Po co budować sobie ambonę i cedząc słowa wzbijać się ponad tłum? Trzeba prosto jak Tolstoj, jak Turgieniew, jak Flaubert, jak Miłosz. O, takiemu koledze po piórze Lew Nikolajewicz nie należałoby ani kropli, w ogóle nie wpuściłby go za furtkę czereśniowego sadu. To już ciekawiej mówią krawcy, fryzjerzy czy sanitariusze z izb wytrzeźwień. Taka rozmowa jak Tolstoja z Turgieniewem jest dzisiaj nie do posłuchania i też nie do podrobienia.

Jakaś epidemia napuszonego gadulstwa dopadła dzisiejszych pisorzy i nawet na wsi nie można się przed nimi uchronić. Widzę w oknie idącego listonosza, który macha do mnie nieoczekiwaną kopertą, bo jakiś życzliwy znalazł mnie i chce podzielić się jakąś dobrą wiadomością. A z anonimowej przesyłki wypada gazetowy świstek, moje oczy spoczywają na wstrząsającym tytule, ale też zaraz opadają na zakreślony żółtym flamastrem fragment:

„Przez lata trzymano nas na smyczy ubóstwa, więc siedemnaście lat temu rzuciliśmy się do konsumpcji. Teraz należy zmienić postawę wobec życia. Dam szkolny przykład: jeżdżę małym samochodem. Koledzy pytają (rozumiem, że koledzy pisarze – A.J.): «Czemu zostałeś przy tym opelku dupelku?». Odpowiadam: «To mój postulat chrześcijański». Robią zdziwione miny, a ja, półżartem, tłumaczę: «Jezus jeździł na osiołku, a nie na rasowej kobyle za tysiące szekli»”.

W tym momencie poczułem nachodzącą na oczy mgłę, która jakimś magicznym wiejskim cudem zaczęła przemieniać się w gaz rozweselający. Tylko, że śmiech zaczynał być dławiącą krtań melancholią. Po stokroć czarną melancholią. Obejrzałem dokładnie złowieszczą kopertę, usiłując domyślić się nadawcy, który nawet nie poskąpił priorytetowego znaczka, ale stempel był zamazany, a adres mojej samotni, z której nie chcę się już nigdzie ruszać, był wydrukowaną komputerowo nalepką. Kilkadziesiąt lat temu w sąsiednim pokoju przepisywałem sumiennie

zielonym atramentem Alchemię słowa Jana Parandowskiego i tam dowiadywałem się pierwszego alfabetu: kto lub co to jest pisarz? Zapaliłem kolejnego papierosa i wędrowałem ścieżkami dawnego czasu, gdy książka Parandowskiego była dla mnie niczym nowy elementarz. Przypomniały mi się zdjęcia w niej pomieszczone. Przypomniął mi się pokój Spinozy, a potem zza węgła pamięci pojawiła się brodata, w długiej rubaszce przepasanej konopnym sznurem postać Lwa Tołstoja. Wpatrywałem się w pamięć trzymającą wciąż przede mną zdjęcie starca z Jasnej Polany i z innych przypomnień odzywały się słowa, jakby fotografia zaczęła mówić. Odetchnąłem z ulgą. Ależ tak:

– „Ja był jebun!” – powiedział Lew Tołstoj do Iwana Turgieniewa, czyli powiedział pisarz do pisarza i to trzeba pamiętać jak pacierz.

Aleksander Jurewicz

Julian Kornhauser

Z moich lektur poetyckich

Krzysztof Karasek, Gondwana i inne wiersze, Iskry, Warszawa 2006

Pierwszy wers otwierającego tomik wiersza nawiązuje do rozbitka, bohatera ostatnich zbiorów Karaska: Dziennika rozbitka (2000) i Dziennika rozbitka II (2004). W międzyczasie wydarzyły się jeszcze dwie książki poetyckie: Musi umrzeć co ma ożyć w pieśni. Poemat (2000) i Maski (2002). Ale to nawiązanie jest tylko powierzchowne, pozbawione autobiograficznego stempla (pozostała tylko konwencja dat pod każdym wierszem). Rozbitek-poeta odkrywa, odczarowuje krainę z baśni, snu, tajemnicy, nieistniejącego już ładu na półkuli południowej. To, co nieobecne, choć kiedyś istniejące, jest Natchnieniem, esencją życia w poezji. Karasek pisze w wierszu Ad libitum o szlochu istnienia, gdzieś indziej o skrzydłach pieśni. Tak, losem poety jest wsłuchiwanie się w „muzykę człowieczeństwa” bez zapominania o ciemności, śmierci, werblach nocy. Poeta według Karaska, a jego wiersze mówią nieustannie o powinnościach poety, wędruje ku gwiazdom, w inną przestrzeń, aby stamtąd móc lepiej widzieć ziemską realność. W jego sercu nie ma miecza, udział w świecie odbywa się w spokojnej radości, w locie. Jeśli gniew, to gniew, który nie ma mocy sprawczej (Drogulus). Dać się unieść niewidzialnemu i niesłyszalnemu jak w tańcu wyznawców sufizmu.

Dla Karaska nie ma rzeczy oczywistych, raz nazwanych. Poezja ma poszukiwać znaczeń słów od początku, aby towarzyszyć znikaniu, odchodzeniu, które jest nieuniknione, choć „umrzeć, to przecież tylko tyle/co przestać być widzialnym”. I żyć dalej (w pieśni), patrzeć innymi oczami (w ciemności). Ludzki czas już minął, pojawił się w jego miejsce czas cielesny, czas milczenia, które może wzniecić bunt. Przepaść, o której poeta stale myśli, tli się „w płomieniach zieleni”. Dla Karaska kres wiąże się z falowaniem w naturze (krajnie świerszczy i ptaków). Jest to przypomnienie dzieciństwa obwarowanego piosneczką o dzieciątku w żłobie, o świętym Piotrze wręczającym klucz. Nic też dziwnego, że poeta buntuje się przeciwko teraźniejszości jako jałowemu rozgardiaszowi. Jest tylko – dodaje – pamięć i oczekiwanie. Pamięć nadaje życiu sens, oczekiwanie przygotowuje do przyjęcia światła, które jest poezją.

Karasek chce być „pielgrzymem nowego początku”, choć nie wie (i jest dumny z tej niewiedzy), czego, nadziei na co, jest ten początek. Wydaje się, że prowadzi donikąd, a to znaczy: do republiki miraży, do wiosny, do ciemnej gwiazdy (refleksy świtu i zmierzchu). A to znaczy do niepojętej poezji, która wywołuje i podtrzymuje miłość. A w dodatku jest samym pięknem. Bo nie natura żywa daje wiedzę, mówi Karasek, ale natura morta, zatrzymana w czasie przez Cranacha czy innych starych mistrzów. W jej złotym blasku czas się nie starzeje. Sztuka dzięki wieloznacznemu językowi wywyższa język i nas samych.

Jacek Napiórkowski, Głupota krajobrazu, Biblioteka „Nowej Okolicy Poetów”, Rzeszów 2006

Krajobraz nie chce być pisany, odmawia współudziału, czeka. Poeta brata się z wierzbami, tęskniąc do środka nocy. Śpiąc widzi krzyże wyrastające z ust. Zamiast krajobrazu jawi się Ona, miłość, „która wraca często z pustymi rękami”. We wspomnieniu tli się wieś, jarzębina, rudzik. Płyną sekretne sny, pada stary, dawny deszcz. Ale gdy z miłości poeta wdziewa komunijne ubranko, by przypomnieć sobie dzieciństwo, pruje się tylko materiał, nie „przepustka do Ciebie”. W cieniach chałup zrodziło się prawo do rozpacy, ale daje o sobie znać, gdy zrodzi się ufność. U Napiórkowskiego jest ona często synonimem kreacji natury. Nie naturą samą, lecz jej sennym, wyobraźniowym przetworzeniem. Wisła jest Księżą Słowiańską, Noc Świętojańska tańcem szamana, ziemia gadającą paprocią, łuna wieczoru pogańskim zbożem. Wikliniarze z Rudnika stają się huzarami, poeta-dziecko w dumnych zaroślach czuje się królem wiatru. To jest jak wieczne trwanie: senne, naiwne malarstwo.

W otwartej przestrzeni lata, którą Napiórkowski czyta z zapartym tchem, płoną chmury, wiruje nadmorski piasek, cietrzew uderza znienacka. Ale jakże blisko, tuż tuż, „na miękkich poduszkach/warkocze dziewczynek, sny chłopców”. I pilnujący lata przyjaciele poeci. W Wypisach z prapoezji niebieski chłopiec (prapoeta?) stoi i milczy, Celnik Rousseau (czyż to nie on jest patronem tej poezji?) błyska zębami w ciemnym lesie winorośli, język poezji jest zbudowany z „metafor niedosytu” i, co też oczywiste, z szyfrów, nieudomówień i kląsk Białoszewskiego. I czy przypadkiem nie z jego poduszczenia odzywają się również jerozolimskie głosy? Krzyki z Golgoty? Nawet w Egzorcyzmie nad czaszką Paula Celana słyhać plusk wody, gdy wpada do niej „ciemny skoczek”, który zobaczył „wszystkie oczy języka”.

Katastrofizm Napiórkowskiego, zrodzony z nastrojowości i bogatej zmysłowości, jest przede wszystkim, jak napisał Ryszard Kapuściński, pełen surrealistycznych obrazów, zdumiewających metafor i bogatego języka. Ale również wynika z poczucia zagubienia w zmęczonym świecie.

Jacek Gutorow, Linia życia, Znak, Kraków 2006

Chłopiec rysuje jesień. Rysuje, obserwuje, karmi się opisami. Topole, słoik miodu, promienie zachodzącego słońca. I kolory: ostry błękit (z Paula Klee), niedokończona zieleń, biel płótna. Setki szczegółów: huśtawka, rąbek sukienki, czerwona zakładka, wazon. I wspomnienie przeżytego lata na wsi ze strumieniami upału, wieczornymi kolacjami na ganku skonfrontowanego z zobaczonym latem w starym albumie (latem niemieckim). To nie tylko autobiografia powietrza, to także gest historii. Gutorow zatem rysuje i fotografuje: brzozy, lilie wodne, przedmioty „nasycone światłem”, sceny odarte z czasu, nieruchome, a jedyne w swoim rodzaju. Smugi światła, impresje, podcienia. W wierszach Linii życia przestrzeń wypełnia się barwami obrazów i kolorami przeżycia. Dystans, jaki odczuwamy w czasie lektury, nie jest wynikiem suchego przekazu, ale spokoju wydartego kontemplacji pejzażu. Gutorow jednocześnie „maluje” i chłonie krajobraz, jest Vermeerem i wielbicielem Vermeera. Szkice, rysunki, obrazy i zdjęcia są kopią natury, ale także „urzędową korespondencją słońca i księżyca”. Poeta pragnie zdefiniować świat pisząc list do natury, posługując się pędzlem i „szkarłatną smugą”. Nawet w opisie kamienia.

Letnie popołudnie, własny pokój, mahoniowe światło. Letnie popołudnie, wdzierające się przez kotary słońce, cienie drzew. Wiatr, zapach trawy, liście. Czas w świecie Gutorowa zatrzymał się w pół biegu. Spokój, unieruchomienie i chłodne równania. Tu nie ma miejsca na uczucia i rozmowy, za to jest miejsce na patrzenie i rejestrację. Ziarna faktury, geometria, architektura (skał i rozpadlin jak w Górach

Stołowych). Pion, poziom, perspektywa. „Słowa zamykają się na inne słowa” – czytamy w Apologii pro vita sua i to jest najkrótsze określenie metody Gutorowa, polegającej na „zatrzymywaniu wzroku na obrzeżach przedmiotów”. To fascynujące doświadczenie poetyckie: nie dotykać, ale tylko patrzeć, nie przeżywać, jedynie szkicować z daleka. Z tego powstaje dziwna muzyka „niebiańskiej dysharmonii”, mahoniowego światła, fałszywej perspektywy, która wchłania każdą kreskę, każdy punkt, ale pomija dramatyzm napięć między nimi. Tęsknota Gutorowa do geometrii i precyzyjnego rysunku to jednocześnie odrzucenie „geografii ciała”, a więc zbędnego cierpienia natury, istnienia o niejasnych kształtach. Smutek zawadza, śmierć jest zatrzaśnięta. Człowiek bez imienia daje znać o sobie dźwiękiem narzędzi w torbie, nie swoim życiem.

Autor Linii życia narysował linię, którą oddzielił życie od świata.

Józef Kurylak, Staw chorążego, Biblioteka „Nowej Okolicy Poetów”, Rzeszów 2006

Dwanaście poematów, wiele z nich z elementami prozy i autobiograficznymi podtekstami. Rodzinne strony, czas dzieciństwa, księga wieczności. Odwołania do romantyzmu niemieckiego, pokonywanie sprzeczności, dążenie do objawienia. W Świecy duch Goethego i rozprawa ze złem. Tajemnica zaświatów i rozmowa z Bogiem. W Balkonach obraz przeszłości, motyle dzieciństwa, przypomnienie Wiaru (ta rzeka jest bohaterką jednej z książek Kurylaka). W Ziemi uszkodzonej apel o pogardę dla chwili, „bicz Ducha na plecach”, ale jednocześnie i niespodziewanie (w jakimś impulsie natchnienia) obraz ulicy w Przemyśle (gruzy młodości). Infernalna atmosfera pożeniona z Dantem i Szekspirem. Przeszłość zamiatająca po sobie ślady. W Złotym sznurze dom rodziców wyzwała wspomnienie bezgranicznej łąki, a zmierzch i światło księżyca powiew nowego istnienia. W Widmach ożywa Przemyśl ze swoim rynkiem i cmentarzem, kościołem i szpitalami. Ożywają jednocześnie widma: nieżyjących przyjaciół, odrzuconych dziewcząt, skarbów cmentarnych, jesiennych nocy. To wszystko jest już krainą ciemności, z której wydobywa się metafizyczny lęk zapomnienia. W Płonącym mszale pojawia się niewidzialna rzeka obok Wiaru i Sanu, rzeka skargi i nieznanej głębin, „płynąca pod górę”. Rzeka dziecięcego snu o matce, drohobyczanice i marzeniu o byciu poetą („dla poezji porzuciłem dom rodziców”). Wspomnienie mistrza, Mieczysława Jastruna, przy jednoczesnym odrzuceniu „domowej biblioteki”, bo „ona nie przyjdzie na mój pogrzeb”. W Determinacji mowa jest o czasie, „który jest własnością Boga”. Ale właściwie o prawdzie, która istnieje poza „bramą grobu”. Poeta stara się wniknąć w strukturę czasu, wytrącając

siebie z wszelkiej logiczności (sam mówi o absurdzie, szaleństwie i hipnotycznych wizjach). W Wapnie pojawia się sylwetka ojca, szewca w „dziadowskim” domu repatriantów. Maszyna do szycia „Bruno Schulz”, kupiona w Drohobyczu staje się wyższą wartością niż „moje poematy”. Nie zrównoważy jej ani dobroć diabła z Doktora Faustusa, ani strach w oczach „współczesnej ładnej córki”. W Krzyżu i nihilizmie mającą duchy stron rodzinnych i sny mistyczne, „drzewo moich marzeń”. W nim poeta definiuje swoją poezję jako połączenie grobowca i motyla: grobowiec ściąga ją w dół, motyl porywa ku górze (wiersz wznieść się nie może...). Czy jest to trwanie wiary? Staw chorążego, tytułowy poemat o niedużym stawie pod Przemyślem („na jego brzegu często modliłem się w nocy”), jest granicą dzieciństwa, poza którą rodzi się ciemność i smutek. Ludzie z tamtej epoki pogubili się w świecie, łąki przeobraziły się w zjawy. W Płaczu wróbla tak określone zostało dzieciństwo: to wir ciemnej rzeki i czarna msza. Nic na ziemi nie jest nasze, czytamy, to znaczy czyje: Boga? Śmierci? Podsumowaniem tych ciemnych pytań jest Shakespeare. Przede wszystkim jednak to manifest poetycki. Józef Kurylak opowiada się za wierszem nie opartym na pomysle lecz wyzwoleniu ducha, po stronie Otella, którego „szaleństwo tworzy jedność z najwyższą kosmogoniczną poetyckością” (szaleństwo tłumaczone jako tchnienie nieskończoności). Po stronie poezji jako czystej muzyki i jasnowidzącego pesymizmu, którego źródłem jest rozpacz i samotność.

Jerzy Górzeński, *To drugie światło*, Oficyna 21, Warszawa 2006

Pierwszy cykl *Nastroje romantyczne*, przyzywając Słowackiego, otwiera puszkę Pandory. Temat został osnuty wokół stwierdzenia, że „Wcześniej zmarli/Nie tylko psują nam/Dobre samopoczucie./Czynią również/Nieporządek w wierszach”. Przypadki, utraty, narzekania. Miłość porzucona i miłość szczęśliwa. Cykl *Posyłam anioła przed tobą* (cytat z Księgi Wyjścia) zawiera wiersze o aniołach rzeczywistych i przeczuwanych na obrazach Cimabuego, Giotto i Gaddiego, ze wspomnieniem wiersza Herberta Raj teologów. Im więcej aniołów, mówi Górzeński z charakterystyczną dla siebie ironią, tym mniej diabłów. Ale jaka jest dokładna liczba aniołów? Jak się śnią anielskie zastępy? Na czym polega ich zwyczajność? Najważniejszy jest jednak Cherubin młodości, który wciąż buja w powietrzu. W cyklu *Prawa ręka* Petrarki bohaterem jest autor Sonetów do Laury, w którego grobowcu, po latach, odnaleziono żabę (Górzeński przypomina też epizod z 1630 roku, kiedy niejaki Martinelli ukradł z trumny prawą rękę poety). W tę pustą przestrzeń, dziurę po sonecie, wpisują się chciwi kontynuatorzy, odpadając po kolei w biegu po sławę. Cykl *Wypadłem ze strumienia czasu* zawiera wiersze poświęcone bądź zadedyko-

wane poetom: Hölderlinowi, Grochowiakowi, Kuśniewiczowi, Matywieckiemu, poecie z amerykańskiego filmu Godziny. W nich wszystkich Górzecki przedstawia poetyckie wędrówki po nieśmiertelność, ale zawsze, z boku, przebija się banał i zapomnienie. Dziwolęgi, niejako wstęp do ostatniego cyklu, to post-Białoszewski: dziwne dialogi nie wiadomo skąd (z bazaru), sytuacje nie wiadomo gdzie (w pokoju), postmoderna przedsiębiorczość. Składanki, rymy, potknięcia językowe – wszystko w żartobliwym nastroju („słoma wychodzi z adidasów”). A pod koniec tomiku: Lokomotywacja późnienia (futurodramy i mironodady), istna feeria słownych pretekstów zadedykowana Młodożeńcowi, Białoszewskiemu, Partumowi i Woźniakowi (Wojciechowi). W istocie są to pastisze (parodie) typowych wierszy wymienionych postaci, krótkie anegdotki, językowe znaleziska, żarciki peryferyjne.

Tylko w jakim celu? `eby trochę pożartować? Nie sądzę, raczej żeby całą książkę, zaczynając się nastrojami romantycznymi, wysadzić w powietrze, zanegować. Tak jakby Górzecki-ironista przestraszył się swojego neoklasycyzmu, swojego pocałunku z tradycją. I wyśmiał go w postmodernistyczny sposób. Bo wszystko jest pastiszem?

Józef Baran, *Taniec z Ziemią*, Zys i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2006

Podróż i pamiętnik. Najpierw Australia, brzeg Pacyfiku, „przestrzeń bez kresu” i poeta w poszukiwaniu „wczorajszego świata”. Z Gór Błękitnych do aborygeńskich duchów, aby odnaleźć wieczny czas. A potem Wiersze szpitalne z pierwszej połowy 2002 roku: również lot na drugą stronę kontynentu „na lądowisko życia”. Stół operacyjny, myśl o „nieistnieniu”, w czym pomaga, niespodziewanie, Białoszewski (przypomina się pierwsza rozmowa kapitalnego zbioru wywiadów, wspomnień i szkiców Barana pt. *Tragarze wyobraźni* też z 2006 roku!). Zaraz po operacji smak życia, obrazy Borzęcina, „fizjologia i biologia”. Podpatrywanie szpitalnej rzeczywistości i rzeczywistości za oknem oczami leśmianowskiego Znikomka, któremu nagle życie zmalowało. Oswoić szpital pomaga sąsiad z łóżka, pan Stanisław, z którego opowieści o chorobach „bije wola trwania” (ten wiersz ma tonację harasymowiczowską). I nagły sprzeciw wobec Nicości, i trwoga, by życie nie znikło! Zatem zawierzenie i ofiarowanie, pamięć o Niewidzialnym, który igra z nami („Niewidzialny staje się jedyną widzialną rzeczywistością” – w wierszu Linka, zadedykowanym Różewiczowi). Śmierć „topi się w miłości” i „srogość w śmiech obróciła” (Józef Baran niemal dosłownie cytuje księdza Twardowskiego, jednego ze swoich ulubionych poetów). Cykl ten kończy się wierszem napisanym w rodzinnym Borzęcinie, w czerwcu 2002

roku: wieś wyczarowuje po raz kolejny świat do życia („triumfuje życie/rozsiewając wszędzie życie”). Zły sen znika, ciemność opada.

A wody płyną i płyną to powrót do świata jasności, ale z refleksjami poszpitalnymi, eschatologicznymi, które wzmacnia listopadowa rozmowa z Kobietą chorą na raka (przejmująca opowieść o próbie wyrwania się ze szponów śmierci). Poeta mówi o swoim „okresie szpitalnym” jak o wyprawie, locie, ocaleniu, a Borzęcin, gdzie spora część tych wierszy powstała, staje się synonimem początku (powrót do kolebki). Siwy dym, niedzielny dom rodziców, wypastowane oficerki ojca, czarnawski las odwiedzany z własną córką, rodzinny cmentarz. A do tego warszawskie odwiedziny wnuczki (nieśmiertelne drzewo życia) i dzięki wnuczce pochwyty nadziei, umknienia śmierci, znak światła. W drugiej części tego cyklu skromne, przyciszone obrazki z życia (Kraków, Planty, ulica Kanonicza) z apetytem „na dalszy ciąg”, na pocieszenie i ciekawość, na schronienie i pożądanie, małe marzenia i obietnice, czyż to nie bajka o miłości?

W tytułowym cyklu poeta zdecydowanie opowiada się po stronie „zielonego drzewa życia”, a przeciwko „nieszczelnym ideom”. To my – dzieci Ziemi („ikra złożona przez Boga”) – podtrzymujemy ją przy trwaniu, wirujemy z nią niezgrabnie, ciesząc się z każdego darowanego dnia. W tym tańcu, wirowaniu zapominamy o śmierci i drugiej stronie czasu, dziergając osobną historię losu. Zachwycamy się baśniową wizją Tadeusza Makowskiego, niebem rozgwieżdżonym do nieprzytomności, dziewczyną z wiolonczelą na plecach, wiatrem w ogrodzie, wielką sceną lata. Podróże za granicę i do lasów dzieciństwa budzą myśli o przemijaniu, czasie i tęsknocie. Ta „leśna eschatologia” prowadzi dróżką do wiecznego życia, do „dalszego ciągu za najdalszym horyzontem”. Otwarty na wspomnienia, nasłuchujący głosów „z tamtego świata” poeta nieustannie pragnie łaski zachwyty nad życiem, dzięki któremu oswoi „ten kawałek Kosmosu”. Lęk przed Nieznanym jest najtrwalszym fundamentem religii, czytamy w Dowodzie tożsamości. To on utrzymuje nas w równowadze, daje poczucie ważności. Szwedzkie miasteczka, tunezyjskie wybrzeże, alpejskie wioski, cała ta kosmiczna symfonia różnorodności, jarmark kultur wyłania z siebie „wspólnotę obcego tłumu”. Cały gigantyczny świat jest jednak obrazem powtarzalności, procesją stałych motywów, oddechem i bezdechem. Z podróży „dokoła życia” wynieść można prawdę o stałym podtrzymywaniu życia nawet za cenę sprzeciwienia się naturze, nieważkości własnego istnienia, sile wyobraźni i imperatywie życia silniejszym od filozofii. Poezja zatem – to już konkluzja cyklu – powinna być czystą pieśnią o nadziei (Baran zwraca się ponownie do ks. Twardowskiego).

Zbiór kończy się Podróżą, cyklem trzydziestu wierszy „amerykańskich”. Jest to kolejny zapis podróży poety na nowy kontynent (takich notatników z podróży w ostatnich książkach Józefa Barana jest sporo). Samolot, wąż między wzgórzami, jazda samochodem „ku niebom”, pustynia Nevada, postój nad rzeką, piesek preriowy na tle Gór Skalistych, jezioro Niedźwiedzie, Grand Canyon Colorado – Wielka Księga Natury. A w niej przyjaciel Leszek, dzięki któremu poeta ogląda Stany i pomaga wznieść radość i trafić prosto w serce. Nagle „obce miasto/staje mi się/wzruszająco bliskie, bo deszcz pada wszędzie jednakowo, bo olśnienia są takie same, bo życie jest wielkie w każdej postaci. Hen w kanionach odzywa się dźwięk rżących krów jak w dzieciństwie, głosząc absolutną urodę świata. To jest lekcja pokory, konstrukcja czasu poza ciałem. Tęskniąc za przestrzeniami od zawsze, poeta urodził się do wolności w samym sobie. Kondensując czas, wraca po spirali do punktu wyjścia, „na ojcowe zastodole”. Przeżywając, przemijając „kołysze się” na „falach” szczęśliwych chwil i zachwyty.

Julian Kornhauser

Krzysztof Myszkowski

A d d e n d a (5)

W żagielkoi zapach drzewnej smoły i nasiąkniętych morzem żagli. Twarde, z mocnego dakronu płachty ciasno zwinięte w rulony i ułożone jedne na drugich obok siebie. Różnego rodzaju liny i szakle. To wszystko ma swoje miejsce i przeznaczenie u góry: na pokładzie i na masztach. Pierwszy od dziobu, za bukszprytem i kliwrami jest fokmaszt, potem czterdziestodwumetrowy grotmaszt, który obsługiwała moja wachta, a przed bezanem, na rufie – stermaszt. Po wantach wchodzi się na dolną i górną platformę, czyli na mars i saling, a z nich na bramreje (bramreje foka, grota i stermasztu). Każdego ranka na porannej zaprawie wspinaliśmy się po wantach na saling – moja wachta na saling grota.

Po wantach wchodziliśmy na mars i dalej wzdłuż stengi po stenwantach na saling, a stamtąd wzdłuż bramstengi po bramstenwantach i po drabince Jakuba na sam szczyt. W czasie zwijania lub luzowania żagli przesuwaliśmy się wzdłuż rej, na pertach, nawet w najgorszym sztormie bez pasów bezpieczeństwa, nie pamiętam czy w kapokach czy bez.

Szare iluminatory, metalowe szafki, haki na hamaki, zawieszzone na suficie stoły i ławy. Niskie i obszerne pomieszczenie dla pierwszej i dla drugiej wachty, czyli dla około stu marynarzy. Za przegrodami pomieszczenie dla trzeciej wachty.

Wirująca świetlista kula oświetlająca drugą wirującą świetlistą kulę, w różnych odmianach i fazach, w precyzyjnych obrotach, w ciągłym ruchu. I to działa jak mechanizm w szwajcarskim zegarku.

Księżyc świeci jak teatralny reflektor, który jest w wolnym, ale ciągłym ruchu.

Pokój na poddaszu z oknami z dwóch stron, z widokiem na Wisłę. Dochodzi się tu z Rynku Starego Miasta ulicą Celną (Strona Barssa).

W drodze do Tyńca „Norwidem” do Krakowa.

W czasie jazdy przypominam dania, które kiedyś szykowała Babcia: czernina, grochówka z kawałkiem gotowanego boczku i ziemniaki w mundurkach, krupnik z chlebem, rosół albo zupa pomidorowa z kluskami lub z łazankami, kartoflanka z cebulą i ze skwarkami, kołduny w rosole, chłodnik i osobno ziemniaki, różnego rodzaju drób i mięsa, których nie rozróżniałem, surówki i konfitury z wiśni i z gruszek, żurawiny i borówki, owinięte nitkami zrazy, gołąbki i kiszzone ogórki, pyzy ziemniaczane nadziewane mięsem lub grzybami, podawane ze skwarkami, pierogi i pierożki z mięsem, grzybami, czarnymi jagodami lub wiśniami, babka ziemniaczana ze skwarkami, placki ziemniaczane ze śmietaną i z cukrem, zupa nic z ubitym białkiem, omlety z cukrem pudrem, pieczone jabłka, kompoty, budynie z sokiem i kisiele z mlekiem, leguminy, drożdżowe ciasta i bułeczki, kwasek.

Theos, Logos, Spiritus – trzy najświętsze dla chrześcijanina słowa.

Tyniec. Cella nr 19. Na poddaszu. Przez okno widzę wąską strugę Wisły, skały i pola, z lewej strony wieże kościoła, z prawej – mur. Gdy siedzę przy stole, widzę tylko niebo i obłoki.

Wchodzę do góry po pięćdziesięciu stopniach. Razem ze mną gnieźdzą się tu pająki.

Końcówka Becketta. Coma. Rodzaj ziemskiego czyścica? Umarł we śnie i po kilku dniach było Boże Narodzenie. A urodził się w Wielki Piątek, trzynastego kwietnia.

Był protestantem (tu: Matka, jej miłość, wychowanie i presja). To jest jego tożsamość, jego istota. Bunt przeciw temu i miłość do tego (tak jak do Matki). To są jego dwie strony, dwie natury: ciemna i jasna.

W Czekając na Godota publika to bagno. Jakby chciał powiedzieć przez swoje postaci: tamci to dopiero są zakłamanymi w swojej wierze czy niewierze, a śmieją się z nas i pewnie mają nas za nic.

Coś w czymś: teatr w teatrze w Czekając na Godota lub w Końcówce albo proza w prozie jak na przykład w Malone umiera.

Pół na pół: to jest uczciwy procent. Dwóch łotrów i jeden zbawiony, a drugi potępiony. Jaki jest sens naszej wiary – wiemy; jaki jest sens niewiary – nie wiemy. I nie będziemy wiedzieć więcej.

Ostatnia na Benedyktynskiej po lewej stronie w drodze do opactwa – ulica Lutego Tura.

Jezus i Jego misja – to jest bardzo konkretna rzeczywistość.

Najpierw był ustny przekaz ewangeliczny, przepowiadanie, żywe słowo Jezusa – potem pismo, zapis w e d ł u g. Ewangelista był redaktorem materiału. Między trzema ewangeliami synoptycznymi zachodzą liczne zbieżności i podobieństwa, a także duże rozbieżności i różnice, chociaż treść ich jest prawie identyczna. Dwie trzecie to materiał, który znajduje się u Marka i Łukasza, a z tego około połowa wspólna jest dla nich trzech. U Marka tylko jedna dziesiąta wierszy stanowi jego własny materiał, a w Ewangelii według Łukasza – około połowa.

Szara ranna godzina. Słowa i gesty celebriansów. Milczenie. Słowa, milczenie i cisza.

Z Benedyktynskiej skręcam w Lutego Tura: droga jest kręta i stroma, a potem łukiem prowadzi w dół (pierwsza w lewo to Heligundy), w stronę opactwa i Wisły; na

rozstaju skręcam w Browarnianą, którą z powrotem dochodzę do Benedyktynskiej. Jednak Browarniana jest bliżej klasztoru niż Lutego Tura.

W narożniku ruin, na szczycie wieży – Mohl. Na tzw. wyspie Werder, pod wieżą katedry – Thorn. Po drugiej stronie rzeki, w powijakach – Roth.

Boga nie ma. Tak, ale to w martwych duszach nie ma Boga. Widzę, jak są uwięzieni, jakby byli zamknici w ciasnych urnach, raz po raz rażeni światłem i znowu zatopieni w ciemności. Zdani jak na pastwę losu, na ten błysk i na ten drugi wir, który zatapia. Tak w kółko. Słyszać jakieś słowa, wyznania, zawodzenia, krzyki i szepty, przez które prześwitują elementarne cząstki człowieczeństwa. Te cząstki istnieją w zarodku.

Residua – resztki, pozostałości, zaległości; to, co zostaje z większych fragmentów napisanych tekstów.

Permutacje i wariacje; te same frazy istniejące w różnych konstelacjach.

W Krakowie. Jasny i piękny dzień. Po raz pierwszy wszedłem do świętego Idziego, obok którego wcześniej przechodziłem dziesiątki razy. To dobre miejsce do modlitwy, dobre miejsce do rozmowy z Bogiem.

Narrator jest jak ewangelista: jest organizatorem, kompilatorem i „manipulatorem” materiału, działa jak „kamera” zewnętrzna i wewnętrzna ustawiona w odpowiednim miejscu i czasie. Prawie cały ładunek epicki i liryczny powinien w opowieści iść w postaci, w ich dialogi, monologi i monologi wewnętrzne. Narrator pełni tu rolę literackiego filtra: tworzy rygor, redukcje, repetycje; oczyszcza.

Na Skałce, w krypcie, w szarym i jasnym świetle przebijającym się przez kolorowy witraż.

Pierwszy po lewej stronie od wejścia i trzynasty w krypcie. Napis: „BENE QUIESCAS”. I czarny krzyż.

Wczoraj u Wisławy Szymborskiej: Gdybym mogła wybrać, z którym z pisarzy chcę się spotkać, to bardzo chciałabym się spotkać z Juliuszem Słowackim. Jaki

on był wspaniały w tych swoich krótkich, zwykłych, a tak niezwykłych wierszach, w których odrzucał cały ten kostium czy koturn wieszczca.

Powiedziała, że róże to są jej ulubione kwiaty i dodała, że róża to jest jedyny kwiat, który jak zwieńcznie i wyschnie, to wygląda pięknie.

W pustej synagodze Tempel. Sam w nawie głównej. We wnęce za szybą zwoje Tory (rodały). Aron ha-kodesz – święta arka. Wieżyczki z krenelażem. Kopuła pokryta łuską, zwieńczona koroną. U szczytu arkady dwa lwy podtrzymujące tablice Dekalogu. Sam naprzeciw zwojów. W ciszy.

Krążenie po ulicach i zaułkach. Na Brzozowej, na Miodowej, na Jakuba, na Warszauera, na Izaaka, na Estery, na Józefa, na Szerokiej. Odrapane rudery, place budów, enklawy blichtru i bogactwa. Rozbite płyty chodnika, odłupane tynki, czarne jamy dziur bez futryn, ram i szyb. Ulicą rabina Meisela wyszedłem na Augustiańską, prawie pod kościół świętej Katarzyny.

W Muzeum Narodowym na Panku. Wiele różnych prac: wiszą ciasno, w zagęszczeniu, ale także w dalekich i szerokich perspektywach. Jakby się było w głowie Panka. Realnie i nie-realnie i nadrealnie – w ważnym punkcie widzenia. Znaki, linie i zygzaki. Odpryski, linoryty, drzeworyty, akwaforty, pastele, olej, gwasz. Zapis Panka: „Sztuka to jest święta rzecz”. Skazany był na walkę. Święty Jerzy jest jak jego główny patron: włócznie, którą walczy, jest osią jego życia, jego główną ideą.

Serie autoportretów: między innymi Apostoł III z 1972 roku, wertykalny z 1996, słoneczny z 2000. Seria drzeworytów z Don Kichote. Panek to Sancho Pansa: na przykład na drzeworycie z 1940 roku na pierwszym planie jest on – Panek, Sancho Pansa. Drzeworyty z serii Dante. Boska Komedia: głowy, demony, sceny z Piekła (tu: surowa jak znak Brama do Piekła).

Pustka, białe, puste płaszczyzny i na nich kreski, linie, znaki. Oko Panka jest uważne, czujne, zmysłowe, naturalistyczne i nadrealistyczne. Drzeworyty: Choraągwie, Latawce. Bezlistne drzewa (1937) – ołówek – jakież w tym jest ruch, niepokój, a jednocześnie bezruch, zamarcie, przygwożdżenie. Piękna architektura i lapidaria: zamki, pejzaż nocny. Kobiety, ich akty kojarzą się z krowami i kozami, są jakby tą samą kreską rysowane, tymi samymi pociągnięciami. Dwie Staruszki z Han-Czau z 1956 roku (sławna podróż Panka do Chin); ta druga twarz to jakby jego maska pośmiertna. Świadek jak może współ-istnieć biel i czerń, jak może

się dopełniać i zazębiać (tu: ich proporcje, głębie, esse). W niezwyklej prostocie wyrazu, w lapidarności i w redukcji.

Przy wyjściu (i wejściu) na ekranie komputera przeglądam pliki kartek ze szkiców, rysunki ołówkiem i kredkami. Ile on tego nakreślił i namazał. Widać, jak błędził i jak szukał, jak dochodził do kolejnych efektów i jak w większości niedokończone zostawiał.

Chodziłem po Rynku i jadłem hiszpańskie figi, które kupiłem na Floriańskiej.

Adwent. Bóg w śmiertelnym potrzasku. Ale odwraca los i przychodzi na ratunek. Chce dotrzeć do każdego człowieka: w słowie, przez słowo i jako Słowo. To jest wielka tajemnica. Coś, co kiedyś było nie do pomyślenia! Słowo, które było u Boga, które jest Bogiem, staje się człowiekiem. Tak to wyjaśnia Orygenes w sławnym komentarzu do czwartej Ewangelii: „Rozum [logos], istniejący w każdej istocie rozumnej, jest tym wobec Słowa [Logos], które «na początku było u Boga i było Słowem – Bogiem», czym Bóg – Słowo jest wobec Boga. Czym bowiem Ojciec, będąc Bogiem samym w sobie [autotheos] i Bogiem prawdziwym, jest wobec swego obrazu oraz wobec odbicia tego obrazu (dlatego powiedziano, że ludzie są istotami stworzonymi «na obraz», a nie «obrazami»), tym samym Słowo [autologos] jest wobec rozumu [logos] istniejącego w każdym stworzeniu. Albowiem jeden i drugi spełnia rolę źródła: Ojciec jest źródłem boskości, Syn zaś źródłem rozumu”.

Oto siła i moc słowa: „Wstąpił we mnie duch i postawił mnie na nogi; potem słuchałem Tego, który do mnie mówił” (Ez 2,2).

Orygenes mówi, że ten, kto „nie przyjmuje do świadomości tego Słowa, które «na początku było u Boga», ten albo poświęci się Słowu, które ciałem się stało, albo będzie zaliczał się do tych, którzy sami w słowie uczestniczą, albo też pozbawiając się udziału w tym, co w Bogu jest uczestnictwem, będzie się zaliczał do wyznawców rozumu zupełnie obcego Słowu”. Prawda, że jest to myśl jasna i prosta?

To jest nasze podwójne czekanie: czekanie na narodzenie Boga i czekanie na drugie przyjście Pana. Czekamy na koniec i na początek świata. Czekamy na Zbawiciela.

Norwid: „Liryzm jest zawsze ascetyczny; ascetyzm jałowy, bierny, bez ofiary za coś, jest samobójstwem”.

Norwid po śmierci Mickiewicza: „Zmartwychwstał w s ł o w o”; „laur... to cierpie!”.

Norwid: „Przeczytaj wszystko, co Zbawiciel faryzeuszom odpowiadał, ale przeczytaj nie tak, jak oklepało ci się o uszy – tylko sercem i życiem powołaj przed się czytając, a zobaczysz, że kolosalniejszej ironii nigdzie nie spotkałeś i spotkać nie możesz nad nią. [...]

Pamiętaj, że dwie są l r o n i e: jedna piekielna (to jest, kiedy siebie za cel ma i raduje się ze zła swego), druga, która z czasu jeno pochodzi i z działania”.

Ponowna lektura Śmierci Iwana Iljicza i Sali nr 6. Jakby dwie, opowiedziane z różnych punktów widzenia wersje tej samej opowieści. W pierwszej opisana jest śmierć sędziego Izby Sądowej Iwana Iljicza Gołowina, zmarłego w wieku 45 lat. „Ył sobie przyjemnie i przyzwoicie, a jego życie było, jak sam mówi, „jak najprostsze i najzwyczajniejsze, a jednocześnie najokropniejsze”. Minęło szybko, ani się obejrzał. I teraz jest okropne umieranie: ból, cierpienie, bezradność, opuszczenie, nieobecność ludzi i nieobecność Boga. Znikąd pocieszenia: tylko męka, rozpacz i żal. Zrezygnowany powtarza w kółko: „Wszystko było nie to”. Resztą sił przypomina najlepsze chwile swojego życia – dzieciństwo, ale jest to jak wspomnienie o kimś, kogo już dawno nie ma. Bohater drugiego opowiadania – doktor Andrzej Jefimycz Ragin uważa, że na tym świecie „wszystko jest błahe i nieciekawe oprócz wyższych duchowych przejawów ludzkiego rozumu”. W pewnej chwili uświadamia sobie jasno, że znajduje się w pułapce, z której nie ma wyjścia. Wszystko wydaje mu się „głupstwem i marnością”. Jedynym człowiekiem, z którym ma jakiś lepszy kontakt, jest chory psychicznie szlachcic Iwan Dmitrycz Gromow, pacjent sali nr 6. Ta sala, która jest w jego lekarskim rewirze, to jakby jedyne dobre miejsce dla Ragina. W niedługim czasie zostaje w niej umieszczony jako pacjent, szybko popada w apatię, obojętnie, nie widzi przed sobą żadnej przyszłości, traci wiarę w nieśmiertelność. Jego życie kończy się w czarnej matni, bez jednej iskry światła. Proza Becketta przy tych narracjach to jest jednak, mimo wszystko, jakieś przytulne miejsce.

Krzysztof Myszkowski

Leszek Szaruga

Jazda (2)

3.

Czytam w „Rzeczpospolitej” dziennik Mariusza Wilka – swego czasu przedstawiciela „Kultury” w Rosji: Giedroyc drukował z upodobaniem, gdyż każde czytanie Rosji uważał za niezwykle ważne, kolejne odcinki Wilczego notesu – i natrafiam w nim na cytaty z Sándora Márai: „Europa jest cudowna, ma tylko jedną wadę – tę mianowicie, że jej nie ma”. Do tego komentarz: „Ciekawym, który jeszcze z plejady europejskich pisarzy pozwoliłby sobie na taką frazę?”.

Czytam to i myślę, że jednak jest paru takich pisarzy, w dodatku polskich, choćby właśnie z kręgu „Kultury”: Jerzy Stempowski, Stanisław Vincenz, z młodszych Andrzej Bobkowski, który wszak Europę dla tej jej wady opuścił. Być może należałoby poszukać takiej frazy w narracjach Tadeusza Konwickiego czy Jacka Bocheńskiego spisanych w tomie Trzyńście ćwiczeń europejskich, ale także w poszukującej Europy wędrowniej prozie powstającej pod piórem Andrzeja Stasiuka. Zapewne: szukać by należało raczej w przestrzeni literatury środkowo- i wschodnioeuropejskiej niż na Zachodzie. Dlaczego? Rzec chybą w tym, iż owa nieistniejąca cudowna Europa jest dla tego właśnie obszaru nieredukowalnym punktem odniesienia. Tak jest w eseju Milana Kundery Zachód porwany, ale tak jest także w szkicach Czesława Miłosza lub Aleksandra Wata.

Może ulegam jakiemuś mitowi wschodniośrodkowoeuropejskiemu, ale nie wydaje mi się, by tak było do końca. Historia Europy Wschodniej zasadniczo się różni od dziejów zachodniej części kontynentu. Jednym z podstawowych wyróżników jest tutaj płynność granic państwowych w historii najnowszej, szczególnie w okresie, gdy kształtowała się idea państwa narodowego, czyli w wieku XIX: na tych obszarach wszystko się mieszało, macerowało, przenikało nawzajem. Drugim wyróżnikiem, choć może mniej widocznym, jest ścieranie się prawosławia z chrześcijaństwem zachodnim, nawet po Lutrze. Zachód w całości przeszedł „łaciński czyściec”: wyłanianie się literackich języków narodowych z piśmiennictwa łacińskiego to proces niezwykle, zaś rozpoznawanie go, zapoczątkowane słynnym tomem Curtiusa Literatura europejska i łacińskie średniowiecze, znajduje się ciągle w powijkach. Warto bowiem poprzez łacinę próbować dotrzeć do „podglebia” kulturowego poszczególnych nacji europejskich: pewne wskazówki zapewne da się odnaleźć w książce Karola Modzelewskiego Barbarzyńska Europa. Wschód, w odróżnieniu od Zachodu, wszedł w literaturę „z marszu”, od razu w językach narodowych i uczynił to w dodatku wcześniej – stąd może intuicje Miłosza dotyczące „innej polszczyzny”,

która stanowiła szansę „realizmu”: zresztą, polszczyzna literacka jest opóźniona zarówno w stosunku do Wschodu, jak do Zachodu. Tu, jak się zdaje, warto poszukać jakichś możliwości reinterpretacji całej historii kultury europejskiej.

Zapisuję to, bowiem nawet jeśli miałbym się zgodzić ze zdaniem mówiącym, że owej cudownej Europy nie ma, to chciałbym wiedzieć: już czy jeszcze? Jeśli już jej nie ma, to warto się zastanowić nad tym, jak i czym była. Jeśli jeszcze jej nie ma, to czy znaczy to, iż kiedyś być może? I co należy uczynić, by ją do życia powołać?

4.

Te pytania o istnienie Europy wzmacnia we mnie podróż do Daugavpils, drugiego co do wielkości miasta Łotwy, gdzie zostałem zaproszony na konferencję zatytułowaną „Polsko-bałtyckie związki kulturowe”. Pojechałem z referatem – wciąż trwa Rok Giedroycia – „Trop Bałtycki” w paryskiej „Kulturze”, ale cały czas huczało mi w głowie pytanie o los Prusów i Jadźwingów i o to, jak dalece Polska przyczyniła się, pospołu z Zakonem Krzyżackim, po części też z Litwą, do ich zagłady. Na tym kawałku kontynentu działa się bowiem rzeczy dramatyczne. Jeśli za obszar „bałtycki” uznać dziś Litwę, Łotwę i Estonię – a tak na ogół się uważa, co potwierdza choćby turystyczny przewodnik Pascala – to warto przypomnieć, że w okresie międzywojennym, pisząc o krajach bałtyckich, Maria Dąbrowska miała na myśli Łotwę, Estonię i Finlandię, Litwę z tej konstelacji wyłączając. Dlaczego? Dobrze pytanie, mogące stanowić niezły komentarz do tytułu daugavpilskiej konferencji. Tym bardziej, że dziś nikt z uczestników konferencji o Finlandii nie wspomniał: czy tylko dlatego, że udało się jej – zręcznością polityczną, ale wcześniej walecznością – uniknąć sowieckiej okupacji? Czy tu się rozchodzą historyczne drogi krain tego obszaru? I czym ten obszar jest?

To jedno z pytań, które stanowią kolejny przyczynek do rozważań o europejskiej jedności i tożsamości. W eseju Kundery o Europie Środkowej nie było mowy o krajach bałtyckich, choć skądinąd wydawałoby się, że chociaż Litwę mógłby czeski pisarz w swych rozważaniach uwzględnić, a to ze względu na długotrwałą unię z Polską. Jednakże nie jest to takie proste. Im dalej na zachód (ale też na południe), tym mniejsza wiedza o tym dziwnym regionie łączącym północ, wschód i zachód Europy. Nie tylko zresztą o nim – cała Europa Środkowa to dla Zachodu abrakadabra. Gdy w roku 1979, w czasie wieczoru autorskiego w Berlinie Zachodnim, spytałem zgromadzonych na sali młodych inteligentów niemieckich o to, jakie kraje znajdują się między Polską i Rosją, odpowiedziało mi milczenie. I wiem, że Europa nie odnajdzie własnej tożsamości tak długo, jak długo sama się o sobie nie nauczy. Ale tak samo jak Niemcy czy

Hiszpanie muszą się dowiedzieć o istnieniu Estonii, Białorusi czy Ukrainy, tak samo Polacy i Białorusini winni dowiedzieć się, o co chodzi w sporze o kraj Basków oraz że Niemcy to nie liczba pojedyncza, lecz mnoga.

Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości – pół wieku trwająca dominacja (łagodnie rzecz określając) sowiecka (a w istocie rosyjska) ogarniająca wschodnią i kawałek południowej części kontynentu poczyniła spustoszenie także w ogólnoeuropejskiej świadomości. Odrabianie tych spustoszeń wymaga przemyślanej polityki edukacyjnej, bez której Europa nie nauczy się być sobą. Jest rzeczą pilną opracowanie takich programów, w których „zapomniane” kraje i narody będą mogły do Europy „powrócić”, odzyskać swe utracone pozycje. Myślę, choć mogę się tu mylić, że Polska mogłaby w formowaniu takich programów – czy choćby w inicjowaniu ich formowania – odegrać niebagatelną rolę. Może zamiast uprawiać, jak to dziś się czyni, coś, co określa się mianem „polityki historycznej” z polonocentrycznym nastawieniem, należałoby zająć się sprawami poważniejszymi: odbudową samoświadomości europejskiej. Wiem, że jest to postulat utopijny, ale, póki nie zostanie wypowiedziany, nawet takim być nie może.

5.

Cytowany przez Wilka Márai jest głównym bohaterem najnowszego (96) numeru „Zeszytów Literackich”. Sięgam po fragment jego Pożegnania: „Złowróźbni prorocy zapowiadali twój schyłek, Cesarstwo Zachodu, Europo. Złowróźbni prorocy, którzy widzieli nie tylko wojnę światową, lecz całe cykle wojen, pokazali z okrutną precyzją, nieubłaganą precyzją, jak zastygają ciepłe i żywe formy kultury w mechanicznych ramach ogołoconej cywilizacji, jak radość życia zmienia się w rozrywkę, odpowiedzialność – w odterkowany i przemielony program partyjny, oryginalne, narodowe wartości – w banal przetaczający się ponad granicami krajów”. W dalszym ciągu pisze jednak autor, iż, jakby na przekór tym wszystkim znakom, wciąż wierzy, „że siła rozumu i solidarności okaże się potężniejsza od terroru instynktów”.

Cóż – wspaniale jest to, powtarzane już tyle dziesiątków lat, *contra spem spero*. I może należy to powtarzać nawet wówczas, gdy się już całkowicie utraciło tę wiarę. Ale czymże jest owa „siła rozumu i solidarności”? Pamiętam, jak zdumiało mnie, a później zachwyciło zdanie Ryszarda Przybylskiego, który napisał gdzieś, że rozum nie ma prawa wierzyć w nic, nawet w siebie. Czym zatem byłaby wiara w rozum? Nie-rozumnym, poza-rozumowym wyzwaniem rzucanym światu opanowanemu przez instynkty. Przez kilka wieków Europa wierzyła w rozum, odkryła rozum jako wartość. Myślę, że rozumieć świat to tyle, co czynić go ludzkim, naznaczać go obecnością człowieka. Rozumieć

drugiego człowieka – a to wszak jest warunkiem solidarności – to tyle, co go poznawać, a dalej: rozpoznawać w nim siebie i tym samym potwierdzać własne człowieczeństwo. Solidarność zatem, o której mówi Márai, byłaby po-rozumieniem.

Z tym właśnie żegna się autor Krwi świętego Januarego. Nie on pierwszy i nie on ostatni: Europa bez przerwy, a przynajmniej od długiego już czasu, żegna się sama ze sobą, by wciąż do siebie powracać. Cogito wzmacniane jest przez dubito – aż dziw, że nikt dotąd nie przeciwstawił Panu Cogito jakiegoś Pana Dubito – byłbym ciekaw, jakie byłoby przesłanie tego ostatniego. Być może dałoby się streścić w zdaniu nieszczęsnego Piotra Abelarda: „Dubitando ad veritatem pervenimus”. Wiedział on, że „wiarę trzeba umacniać przez rozumowe dowody, i przeciwnie”. Ale też trafnie zauważał: „W tych samych słowach są bardzo często zawarte różne warianty treści, ponieważ jedno i to samo słowo jest używane raz w takim, raz w innym znaczeniu. Jest oczywiste, że każdy pisarz ma swoje własne słowa i własne rozumienie słów”.

Tak też jest z rozumem i solidarnością, tymi wartościami, które, jak chce Márai, zdolne są przemóc siłę czy też może raczej dominację – jak on chce: terror – instynktów. Przemóc je, a zatem, zapewne, opanować moc zmysłów przez pracę duchową. Światło rozumu miałoby zatem rozjaśniać mroki instynktownych, zmysłowych terytoriów, na które wiedzie czy w które spycha owa „ogolocona cywilizacja”. Tak wygląda nadzieja Sándora Márai zamknięta w aforyzmie otwierającym jego Pożegnanie: „Teraz, kiedy zmrok zapada nad ukochanym krajobrazem, który był mi drugą ojczyzną i którego nazwa geograficzna brzmi: Europa, zamykam oczy, by móc przez chwilę lepiej widzieć i nie chcę wierzyć, że to pożegnanie”. Powtarzam: „zamykam oczy, by (...) móc lepiej widzieć”!

6.

Uznaje Márai – obok rozumu – solidarność za istotną wartość Europy. Kilka lat wcześniej, w roku 1946, pisał o tym Gustaw Herling-Grudziński w swym wstępie do wydanych przez Instytut Literacki Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego Mickiewicza (wznowiono tę edycję w roku 1982 na powitanie emigracji „solidarnościowej”). Stwierdzał mianowicie: „zjednoczenie Europy może się dokonać jedynie na dwóch podstawach: antyhumanistycznego totalizmu politycznego, albo humanistycznej demokracji ludów, które na naszych oczach stają się narodami, nauczonymi wreszcie przez wszystkie imperiałizmy świata solidarności europejskiej”.

Z dzisiejszej perspektywy należałoby może pisać ostrożniej – nie tyle narody solidarności się nauczyły, co jej dopiero się uczą. Solidarność wciąż pozostaje projektem, którego przecucie odnaleźć można w opublikowanym przez „Kultu-

re" w 1951 roku Manifestem demokratycznym napisanym przez ojca Józefa Marię Bocheńskiego, lecz sygnowanym przez cały Zespół: „Reasumując (...): dojrzeliliśmy do wielkiej przemiany; starych form mamy dosyć, chcielibyśmy urzeczywistnić nowe, które by bardziej odpowiadały naszemu moralnemu poczuciu. Poczucie to jest wynikiem naszych własnych europejskich dziejów. A form, które wypadnie im dać, szukamy także naszym, europejskim sposobem, próbując różnych rozwiązań. Idea, organicznie z naszego dziedzictwa wyrosła, winna być organicznie wcielana w życie”.

„Kultura” od początku była takim tygłem, w którym ścierały się rozmaite propozycje owego nowego – i opartego o poczucie moralne przede wszystkim – ładu europejskiego. Była stworzoną dla polskiej myśli politycznej trybuną, miejscem spotkania, przestrzenią sporu, drogą w s p ó l n y c h poszukiwań. Jest w tym, rzecz jasna, pewien paradoks, gdyż pismo trzymane było żelazną ręką Redaktora i ostatecznie to on decydował, jakie materiały mają się na kartach miesięcznika ukazać. Myślę jednak, że żaden to paradoks – to połączenie dyscypliny i poczucia odpowiedzialności za słowo. I wydaje mi się, że znakomitą dewizą, która tej pracy przyświecała, mógłby być aforyzm patrona mojego warszawskiego liceum, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, który codziennie mogłem, wchodząc na zajęcia, przeczytać: „Człowiek nie urodził się sobie”.

7.

Europa poszukuje nowych form. Piszę o tym w swej książce Europa: wyzwanie dla kultury Jean-Marie Domenach: „Przywrócić naszym społeczeństwom – które dyktatura (na Wschodzie) wtłoczyła w sztywne ramy przymusu, a bogactwo i biurokracja (na Zachodzie) pozbawiły energii – zdolność działania i poszukiwania nowych rozwiązań, to nasze podstawowe zadanie. Właśnie w tak pojętej wolności odnajdziemy jedyne uchwytne granice Europy”. Jak widać, Europa to nie do końca określenie geograficzne, nie tylko nazwa, o której pisze Márai. Dowiadujemy się zresztą o tym każdego dnia: kontynent przestał być własnością „Europejczyków”, zapełnia się Innymi – tymi, o których tak interesująco pisał ostatnio Ryszard Kapuściński. O tych Innych – obecnych wszak także wśród samych Europejczyków od dawna – pisze też w eseju Dziedzictwo Europy Hans-Georg Gadamer: „Trzeba swe uprzedzenia, swoje oczekiwania, skłonności, nadzieje, interesy na tyle trzymać pod kontrolą, aby inny nie stał się lub nie pozostał niewidzialny. Nielatwo jest przyznać, że inny może mieć rację, nielatwo wobec siebie i swych interesów uznać swój brak racji. (...) Należy pogodzić się z tym, że możemy nie mieć racji. Musimy się nauczyć, że w grze się przegrywa (...). ȳć z innym, żyć jako inny kogoś drugiego, to podstawowe ludzkie zadanie obo-

wiązuje zarówno w małej, jak i w dużej skali. To, jak uczymy się żyć jedni z drugimi, kiedy dorastamy i wchodzimy w życie, obowiązuje także dla większych części rodzaju ludzkiego, dla narodów i państw. I tu może tkwić szczególna przewaga Europy, że mogła i musiała poznać więcej krajów niż inni, żyć z innymi, nawet jeśli ci inni byli naprawdę inni. Jest to przede wszystkim wielojęzyczność Europy. W niej inny w swej inności przysuwa się całkiem blisko”.

Ale też warto może pamiętać o tym, że owa wielojęzyczność Europy, zadziwiająca pewnie dla takich krajów jak USA, Chiny czy Rosja – jest w Moskwa-Pietuszki Jero-fiejewa taki fragment, gdzie określa się „zagranicę” jako terytorium, na którym nie mówi się po rosyjsku – wyrasta ze wspólnego podłoża, w szczególności w Europie Zachodniej, której języki literackie kształtowały się przez filtr łaciny: w tym doświadczeniu należałoby chyba poszukiwać rdzenia tożsamości kultury tego obszaru. Z drugiej strony języki literackie wschodniej części kontynentu tego łacińskiego filtru są pozbawione: tutejsze piśmiennictwo od razu powstawało w językach narodowych. Czy ta odmienność odgrywa jakąś rolę, zaś jeśli tak, to jaką?

Zwracając uwagę na różnice między językami polskim i rosyjskim pisał Giedroyc: „To przeciwstawienie polskiej miękkości twardości rosyjskiej występuje u Błoka, u Mandelsztama, u Okudźawy. Bardzo bym chciał, by Polacy przyswoili sobie coś z twardości rosyjskiej, nie przestając być Polakami. By połączyli wolność i twardość”. Podobne przeciwstawienie opisuje Miłosz: „Bluszczowatość polskiego języka. W przeciwieństwie do samowystarczalności, bliskiej ludowym korzeniom, krzepy rosyjskiego. Ale bluszcze i powoje nie muszą być uznane za podrzędne. Muszą mieć jednak na czym się opłacać i dlatego tak ważny dla piszących po polsku był rytm łaciny”.

Ten rytm, jak się zdaje, został dziś zagubiony. Łaciński rdzeń czy – jak pisał zaraz po wojnie Jerzy Zagórski – „łacińska kotwica”, to przeszłość. Polszczyzna poszukuje nowego oparcia, nowych form: to warunek, jaki musi spełnić, by wejść w dialog z innymi, by stać się językiem rozumiałym. Podejrzewam, że Europa, o której pisał Márai, ma podobny problem.

Leszek Szaruga

Piotr Szewc

Z powodu i bez powodu (7)

Listopadowa 45 (II)

Klucz obrócił się w zamku. Zadźwięczała pęknięta, z grubego szkła, nieprzezroczysta szyba. Usłyszałem, jak pobrzękuje blaszana skrzynka na listy, najwidoczniej pusta, bo dzisiaj nie było jeszcze listonosza. Z drzwi łuszczyła się, jakby dotknęła je straszna choroba, jasnoniebieska farba. Zeskoczyłem z betonowych schodów. Trzymałem piątkę chleba, żeby podrobić go moim kurom: białej i jarzębatej. Białą dostałem od babci z Udrycz, jarzębatą od babci z Czołek. Nie nadałem im imion – były kurami, po prostu. Mieszkały w drewnianej komórce na węgiel, spały na drewnianej żerdzi, obok wyścielonego słomą gniazda, w którym znosiły jajka. Popychana przemożną siłą, komórka chyliła się w stronę podwórka. Kryła ją papa, dziurawa, dlatego wciąż ją łatano. Mała, a przecież jakże pojemna. Na półkach nad węglem czekały na zimę moje sanki (z oparciem i krótkie – inne, niestety, niż sanki kolegów; trochę z tego powodu cierpiałem) i narty. Obok nich szczyrzyła zęby piła do drewna. Poza tym siekiera, młotek, pudełka z gwoździami, zakurzone słoiki, szarobure worki konopne, wiadro, uszkodzona klatka na kanarki, trzonek od szczotki... Najmniejszego okienka. W słoneczne dni przez szpary w ścianach ukośnymi promieniami wpadało tu światło. Teraz mi się wydaje, że było barwne, jakby przeszło przez tęczę. Nieprawda. W świetle wirował kurz.

Przed olejarnią też stały komórki. Nie było dla nich miejsca, a jednak zmieściły się: cud może być również taki. Podpierały się wzajemnie: ich upadek zbliżał się dużymi krokami. Przypominały liczne, ubogie, przedwcześnie postarzałe rodzeństwo. Tej ruiny nic nie mogło powstrzymać. Przez dziurawe ściany pozwalały zajrzeć do środka: węgiel, porąbane drewno, półki z narzędziami, rupiecie. Na dachu kawałki zardzewiałej blachy. Kot wygrzewa się na słońcu. Pan Baraś otworzył i podparł drzwi. Na ich wewnętrznej stronie widać rozciągniętą i przybitą gwoździami króliczą skórę. Już prawie wyschła. Przechodzi mnie dreszcz. Pan Baraś hodował króliki w ogrodzie na Listopadowej, w pobliżu Hrubieszowskiej, i w zagrodzie rodziców mojego kolegi Radka Bełza, na Spadku. Równie często prowadził rower, jak na nim powolutku jechał. Wtedy myślałem, że pan Baraś jest stary; myliłem się. Jego najmłodsza córka, Janina, była starsza ode mnie o kilka lat. Od niej dowiedziałem się o węgierskim zespole Omega, skądś miała jego płytę. Przepadałem za jej towarzystwem, ale ona ledwo mnie tolerowała. Pani Barasiowa pokazała mi kwiat, który nazwała „kurzy grzbiet”. I doniczkową pokrzywę o fioletowych liściach – liście nie parzyły. Barasiowie mieszkali na piętrze domu z naprzeciwka. Z okna naszego pokoju widać było okno ich kuchni. Nie jestem pewny, czy za oknem wisiała firanka.

Kilka razy wszedłem na strych nad mieszkaniami Barasiów i Ćwików. Nie było to łatwe, bo nie prowadziła do niego drabina ani schody, tylko przybite do ściany szczeble. Niewielki otwór wejściowy zostawiono chyba tylko dla kominiarza. Strych był pusty. Z glinianej polepy podnosił się pył. Skradałem się na palcach, nasłuchiwałem. Cisza. Na strychu panował półmrok. Ze szpar przy kominie i otworów w ścianach wpadało skąpe światło. Czego więcej – oczywistości czy tajemnicy? Jednak tajemnicy. Wspinałem się na palce, żeby przez szpary wyjrzeć na okolicę. Z wysokości strychu wyglądała inaczej: opowiadały o niej wycinki, fragmenty. Dachy, kominy, anteny telewizyjne. Za rynkiem kościół św. Krzyża. Młyny i browar. Nad domem Krzyśka Smolińskiego zakołowały gołębie jego ojca. Najwyższe na Nowym Mieście drzewa. Betonowe i drewniane słupy elektryczne i telefoniczne. – Koty, koty jeść! – usłyszałem wołanie pana Wolińskiego z kamienicy na Polnej. Na podwórku trzepaczka uderzała rytmicznie o chodnik lub dywan. Strząsałem z siebie pył i przez otwór wejściowy zacząłem przeciskać się na korytarz. Chyba nikt mnie nie zauważył. Zaskrzypiały schody.

Pod rynną stała wanna do połowy wypełniona wodą. Żeby oszczędzić siły na noszeniu wody z pompy na Polnej, sąsiadki zbierały deszczówkę z przeznaczeniem do prania. Mama była złego zdania o tej praktyce. Mówiła, że z dachu ścieka wyłącznie brudna woda. No więc dzwigaliśmy ją wiadrami z Polnej. Była to czynność zwyczajna i powszednia.

21–23 września 2006

Listopadowa 45 (III)

Najbliższe okolice. To, co przylega do domu pod numerem 45, do oficyny w podwórzu, w której mieszkaliśmy, do olejarni. Kocie łby na Listopadowej – znieawidzone, ukochane, nigdy mi obojętne. Nieregularne, obłe, ciemnoszare kamienie. Wypieszczone kołami furmanek, które od ulicy Hrubieszowskiej lub od Lwowskiej podążały do młyna i browaru. Jeszcze słyszę terkotanie kół i głuchy stukot końskich kopyt. Koła furmanek rozjeżdżały końskie odchody. Rzadko Listopadową przejeżdżały auta: sąsiedzi byli niezamożni, chodzili więc pieszo, ten i ów, jak pan Baraś, jeździł rowerem. Środek wyłożonej kocimi łbami jezdni lekko się wznosił – dzięki temu łatwiej spływała woda po deszczu – a po obu stronach prowadziły wydeptane ścieżki i ułożony z cegieł i betonowych płyt chodnik. Do szkoły na Lwowskiej chodziłem zwykle chodnikiem, mijałem bramę wjazdową do browaru i sam browar.

W nim samym byłem tylko raz albo dwa. Po co? Nie pamiętam. Porównanie tej niskiej i dość dużej budowli do zamku z powieści Kafki byłoby nadużyciem. Pozostaje faktem, że browar był dla mnie podówczas budowlą tajemniczą. Intrygował mnie. Staralem się wypatrzeć, co dzieje się za bramą. Furmanki przyjeżdżały do browaru po młóto – produkt odpadowy, powstający przy warzeniu piwa. Były to, mówiąc bardziej szczegółowo, nie rozłożone cząstki ziarna jęczmienia. Młóto, podobnie jak makuchy z olejarni, podawano zwierzętom gospodarskim jako paszę. Jak opisać zapach parującego w ciepłym powietrzu młóta? Nie potrafię.

Gdy stanąłem w drzwiach ganku, widziałem naprzeciwko stary, niepielęgowany sad. Dziki sad. Rosły w nim włoskie orzechy, jabłonie i grusze. Sad ogrodzony był drucianą siatką i miał właściciela, ale czy właściciel kiedykolwiek się w nim pojawiał? Jabłonie wiosną kwitły, po czym owocowały. Dla nikogo, dla siebie. Jesienią dojrzałe jabłka spadały na ziemię i gniły. Pod drzewami krzewiły się porzeczki, agrest. Gęsta trawa, łopian, bujna pokrzywa. Nikt nie zakłócał spokoju gnieźdzącym się w sadzie ptakom. Przedpołudnie. Ścieżką obok siatki idzie do szkoły pani Teresa Ćmil, moja wychowawczyni, później nauczycielka przyrody. W staranną i stale tę samą fryzurę wkładała niewątpliwie dużo trudu. Zapamiętałem, jak powiedziała kiedyś – mogłem być w drugiej, trzeciej lub czwartej klasie – że alkohol jest dla niej niejadalny jak drewno. Jeszcze o kocich łbach: z powodu braku kanalizacji, wylewano na nie kuchenne nieczystości. Dopóki nie wydziobały ich wróble i kawki, dopóki nie zjadły ich bezpańskie psy, pomiędzy kocimi łbami leżały resztki z obiadu. Kuchenne nieczystości wylewano też na skraj poletka pani Kulaszyńskiej. Rosły tam ziemniaki, buraki pastewne, żółta pastewna marchew, pani Kulaszyńska hodowała bowiem krowę, którą karmiła zimą burakami i marchwią. Bywało, że na tym poletku – ograniczały je ulica Listopadowa, Polna i Spadek – rósł tytoń. Późną jesienią wyschnięte łądy tytoniu paliliśmy w ogniskach. Była to jedna z zabaw. W grudniu na poletku stawały furmanki, które przybywały z rzepakiem do olejarni.

Sąsiednie podwórko oddzielone było szczelnym płotem z desek i komórkami. Wchodziło się na nie wąziutką, taką, aby pozwoliła się przecisnąć, furtką. Piętrowy, drewniany, kryty blachą dom, zbudowany jeszcze przed wojną. Prowadziły do niego dwa wejścia: cokolwiek elegantsze od ulicy i „robocze”, nieoficjalne od podwórka, naprzeciwko drzwi obory. Wejścia nie łączyły się. Na parterze znajdowały się cztery mieszkania, a na piętrze dwa. Bratkowscy – właściciele domu (piętro z widokiem na wschód, zachód i południe) – mieli nieźle prosperujące gospodarstwo. Uruchomili nawet „konkurencyjną” olejarnię. Masywne konie kasztanowej maści były ozdobą okolicy. Chodziłem do Bratkowskich na gruszki: liczne i drobne spadały na podwórko

obok żelaznej pompy na wodę (siostry pompy z ulicy Polnej), można je było zbierać do woli. Na ławce pod gruszą, obok pompy, w ciepłe popołudnia toczyło się życie towarzyskie. Obserwowałem je tylko: brali w nim udział starsi. Pani Bratkowska do udoju wkładała gumowe rękawice. A jak miała na imię? Już nie żyje. Na parterze mieszkali Wójtowiczowie: babka, matka i dwaj synowie (młodszy, Rysiek, był starszy ode mnie o kilka lat). W okresie poprzedzającym Wszystkich Świętych Wójtowiczowie trudnili się wyrobem i handlem sztucznymi kwiatami i wieńcami. Obok schodów stała buda – tak nazywali niską i małą komórkę – hodowali w niej gołębie. Pan Płaza, sąsiad Wójtowiczów, miał taksówkę, starą warszawę. Z braku garażu, parkował pod oknem. Często nie mógł jej zapalić. Ani razu nie zdarzyło mi się jechać jego warszawą...

Na wzmiankę zasługuje jeszcze Trop, cętkowany wyżeł pani Kulaszyńskiej. Zapewne mając na myśli, że jest rasowy, pani Kulaszyńska mówiła o nim, iż jest „pod ochroną”. Niedowidzący i głuchy, biegał wolno po Listopadowej, Polnej, tam, gdzie chciał, nie czekał, nie gryzł. I młody, dorodny dąb w rogu ogrodu pani Stoczkowskiej. Dlaczego Trop i dąb? Nie mam na to odpowiedzi.

10–11 stycznia 2007

Bez tytułu i daty (II)

Lubię równinne pejzaże. Ich monotonia jest maską, pozorem, złudzeniem na życzenie... Sama równina z nieprawdziwą optyką nie ma nic wspólnego.

Są prawdy (może bezpieczniej powiedzieć: tezy) fizyków, dotyczące m.in. Wielkiego Wybuchu, przestrzeni, czasu, materii, na których opierają się teorie o początkach Wszechświata. Nie jestem w stanie i tych prawd, i teorii zrozumieć. To, co mogę, to z najlepszą wiarą przyjąć, że nie są fałszywe.

Na akwatintach z cyklu Słuchających Włodzimierza Kotkowskiego natura surowa i dzika. Skalne urwiska, toczące się głazy, niebo czyste lub chmury ciężkie, jak brzuch objedzonej krowy. Tu i tam obłok przypomina podniesione skrzydła białego ptaka. Natury nie uładziła jeszcze ludzka ręka. Na Słuchających III grupka osób – miejscowi czy turyści? – w pomarańczowym blasku słońcu. Wypatrują czegoś? Przystanęli, żeby porozmawiać? Światło tak przejrzyste, że zacierają się kontury świata, a twarze są nie do rozpoznania. Barwy łagodnieją i mieszają się ze sobą, jak wszystko, co nie lubi istnieć osobno. Nie zwyczajność pejzażyków Kotkowskiego (a na pewno nie tylko ona) przykuwa uwagę, wciąga, wreszcie niepokoi. Co zatem? Cykl Słuchających wykracza poza oczywistość, niesie silny ładunek liryczny. Opowiada o świecie,

o którym tylko nam się wydaje, że go znamy. Bo naprawdę jest inny i jest go więcej. Słuchający to cykl dojrzałej, konsekwentnej wizji artystycznej.

Długowłose i ponętnie Zuzanny z obrazów Zbigniewa Kowalewskiego, zmarłego w 2000 roku krakowskiego malarza, tylko trochę zawstydzone są swoją nagością. Wyciągają się ku nim zdeformowane, jeszcze ludzkie, a już prawie zwierzęce twarze starców. Twarze odrażające i nawet nie próbujące skrywać wyuzdania. Zuzanny są skromne – bywa, że dłońmi zakrywają swój najcenniejszy klejnot – i niewinne. Czy na pewno skromne i niewinne? W *Locie na różowym* (z 1996 roku) w powietrzu unosi się kobieta w kapelusiku i z rozwianym okryciem, za nią – jak biały duch, jak powidok – dwie nagie kobiety. Zuzanny? Pod nimi kilkusobowa zbiorowość (zdaje się, że są to sami starcy) z zadartymi głowami nie dowierza spektaklowi, który właśnie się dzieje. Lot trwa, ale skąd i dokąd? Jest zdarzeniem incydentalnym, czy się powtarza? Nie wiadomo. „Nie wiadomo” towarzyszy mi w obcowaniu z obrazami Kowalewskiego. Zastanawiam się, jakiego gatunku jest para zwierząt na innym obrazie. Czy przeobrazili się w nie ludzie, czy też zwierzęta przeobrażą się – ale kiedy? kiedy? – w ludzi? Nad placem miejskim czy może nad podwórkiem leci kobieta w kapelusiku? Kim są postaci z tych obrazów? Słyszę o „latających kuzynkach” z obrazów Kowalewskiego. A czy starcy to postaci zupełnie anonimowe? Dzieła Kowalewskiego zachęcają do stawiania najróżniejszych pytań. Malarza intryguje to, co składa się na istotną treść – zatem i na aurę emocjonalną – relacji międzyludzkich. Tło tych relacji (np. status społeczny bohaterów czy realia, w jakich żyją) ma dla niego najwyraźniej znaczenie podrzędne, wręcz marginalne. W centrum tej sztuki pozostaje więc egzystencja ludzka. Dość często jest ona w wersji Kowalewskiego groteskowa i absurdalna.

Nie wiedziałem – wiedza polonistyczna wyparowała mi z głowy – czy „nie wiadomo” to zwrot, wyrażenie, czy może coś jeszcze innego. Odpytałem przyjaciół. Otrzymałem odpowiedzi sprzeczne lub nie otrzymałem żadnych. Wreszcie mejlem zwięźle odpowiedział mi Arkadiusz Morawiec: „«Nie wiadomo» to – jak informuje mnie prof. Krupska-Perek – po prostu «wyraz», a jak chce się bardziej uczenie to «predykatyw»”. Dziękuję.

Komplikuje się mój stosunek do miejsc, które dawno temu pożegnałem: do ulic, budowli, drzew, podwórek, najróżniejszych zakamarków... Poznikały wyboje na Polnej i kocie łby na Listopadowej, rozpadły się ze starości lub zburzono domy, od lat nie ma stodoły w Czołkach, po drewnianym młynie w Łapiguzie zostało puste miejsce. To już nie sentyment, ale lęk. Coś, co uwiera i boli. Choćbym uciekał przed nimi, i tak mnie dościgną. Nie do końca rozumiem, jaką władzę mają nade mną.

Już na początku lat pięćdziesiątych dzika grusza w Czołkach była okazałym drzewem. Marysię, młodszą siostrę mamy zaatakowała wtedy para gnieźdzących się na niej gawronów. Ptaki nie wyrządziły Marysi krzywdy. Pochylona ku wschodowi – ku Sitnu i Stabrowowi – grusza latem przypominała unoszący się nad miedzą i nad polami zielony balon. W latach osiemdziesiątych uderzył w nią piorun i roztrzaskał – balon pękł, nawet nie wiem, którego dnia. O tej właśnie gruszy pofantazjowałem w Zmierzchach i porankach.

Obudziłem się ponaglony potrzebą, żeby obraz zobaczyć w rzeczywistości. Duży prostokąt w ramie z surowego drewna, płótno. Obraz przedstawiał obróconą półprofil, z ustami rozchylonymi, jakby chciała coś powiedzieć, jedną z Zuzann, z poświęconego im cyklu Zbigniewa Kowalewskiego. Tej nocy należało zegary cofnąć o godzinę, ale odłożyłem to na później.

„Ten, kto nie lubi się wic niby wąż i zachowuje dumną, wyprostowaną postawę, umie skłonić innych do wicia się wokół siebie. W zachowywaniu rezerwy, będącej swego rodzaju wstrzemięźliwością, która może być również aktywna, kształtuje się postać człowieka. Osiąga ona doskonałość, kiedy człowiek nie daje nic po sobie poznać” (Elias Canetti: *Party pod wojennym niebem*. Lata w Anglii, przełożyła Maria Przybyłowska).

Paw składał i rozkładał ogon, za każdym razem inny widok. Krajobraz z tęczą i budowlą w barwie jasnego, zroszonego seledynu. Budowla stała w oddali, chyba pośród łąk, nie pozwoliły się rozpoznać szczegóły. Mogła być świątynią lub siedzibą ludzi zamożnych. Dochodziła czwarta nad ranem, cisza i ciemność. Jeśli nie zapiszę tego teraz, to nie zapiszę nigdy, paw zniknie. Rachityczne, samotne drzewo, jakby wycięto sad, a to drzewo zostawiono ot tak, nikomu i po nic. Pora roku nieokreślona, wapienny obłok, ścieżka pośród zrudziałej trawy, na horyzoncie grzywa lasu. Paw jeszcze raz rozłożył ogon. Dwa domy bez drzwi, okien i kominów, czarne dachy, fioletowe ściany. Pomiędzy nimi wąski prześwit. Domy podobne do siebie, jak rodzeństwo. Skraj wsi albo przedmieścia. Żadnego śladu ludzkiej obecności.

Pani Adamowiczowa stała pośrodku kuchni u babci w Czołkach. Spod zawiązanej pod brodą chustki wylaniały się siwe włosy. Miała dużą twarz poorly zmarszczkami, mięsisty nos, tu i tam brodawkę, szerokie usta i żywe jasne oczy. Energicznie gestykulowała, coś babci wzburzona mówiła, a ja, wtedy kilkuletni chłopczyk, patrzyłem na nią i słuchałem, jak urzeczony. Swój wywód, chyba chaotyczny, pani Adamowiczowa przerywała śmiechem; dziwna to była mieszanka. – Zgiń, jak sól na ukropie! – tak zakończyła, i te jej słowa – życzenie okrutne i stanowcze – zapamiętaliśmy.

G., niespełna trzydziestoletni, wynajmuje pokój u wdowy, która mogłaby być jego matką. Wdowa prowokuje go, chodząc po mieszkaniu w erotycznej, na przemian czerwonej i czarnej bieliźnie: pończochach, pasie i biustonoszu. „Ubiera bieliznę” – mówi o wdowie G., a ja uśmiecham się, kiedy słyszę lub spotykam w druku ten zwrot. W erotycznej bieliźnie wchodzi do łóżka młodego lokatora, nawet gdy po pracy jest zmęczony lub senny. Pełna temperamentu i uparta. Wdowa nie wie o niechęci, z jaką G. oddaje jej usługi. Są one wymuszonym bonusem do niskiej opłaty za wynajmowany pokój. Wyprowadzanie na spacer psa właścicielki mieszkania jest obowiązkiem G., o którym napomykam jedynie dla kronikarskiej skrupulatności.

Panek i Białoszewski – zdaje mi się, że jeden jest odpowiednikiem drugiego. Zamiłowanie do ludyczności i ludyczność praktykowana, brak uwagi dla kultury wysokiej. Odprysk, skrót, urwana fraza, obroty ludzi i rzeczy. Obląkana kobieta i Kicia Kocia, niewidomy erotoman i ciotka Aniela, dr Mitarski i Artur S., koza ze Zwardonia i łyżka durszlakowa, jarmarczny konik i szaranagajama... Święto zwyczajności. Nazwałbym to powinowactwem ducha.

W ramach praktyk zawodowych polecono mi i kilku jeszcze uczniom przebieganie psujących się wiosną ziemniaków. W piwnicy panował zaduch, przez małe okno docierało skąpe światło. Czas mija, nie mija natręctwo tego wspomnienia.

Ten, którego obserwuję, jest utalentowany, a nawet wybitny w dziedzinach, którymi się zajmuje. Raczej objaśnia innych – na różne zresztą sposoby – niż ukazuje siebie. Ale ma robaczywą duszę... Czyżby z owego zarobaczywienia czerpał pożytki jego odtwórczy talent?

Co jeszcze wydaje mi się ważne w poezji? Żeby nie kłamać. I nie próbować robić czegoś z niczego. Bo się nie uda.

Kartonik o wymiarach 10,5 × 15 cm. W prawym dolnym rogu sygnatura: Henryk Waniek. Nieco wyżej drugi podpis wersalikami: PANEK. To Panek zobaczony przez Wańka, Panek przez Wańka zinterpretowany. Jeszcze jeden Don Kichot, wersja wańkowo-pankowa. Zza kościstego zadu Rosynanta wyłania się kościsty zad osła, wyraźniejszy niż cień czy wyobrażenie; realny. Przed nami Don Kichot i Sancho Pansa. W żartobliwym i niejednoznacznym rysunku Wańka gest przywołania nabiera powagi: przywołania i Panka jako artysty, i motywu – tak udanie przez Panka zrealizowanego w drzeworytach – Don Kichota na koniu. Przeciwno komu (lub czemu) Don Kichot zaraz zwróci kopię? Co to za potwór ta czarna materia, wielka, przypominająca skałę i postać ludzką, znalazł się naprzeciwko? Może to wiatrak, który nie podniósł jeszcze skrzydeł?

Są poeci, którzy w uczuciach czytelników, w prywatnych i „oficjalnych” hierarchiach, wznoszą się i opadają, przyplływają i odpływają. Są tacy, których miejsce – jakiegokolwiek ono jest – pozostaje stabilne. I są wielcy nieobecni, przykładem Ważyk.

„Zawsze byłem skłonny podejrzewać, że jednostka, która imponuje nam równowagą i spokojem duchowym, kryje w sobie jakąś obsesję, że walczy ze zmorą. Ujawnienie takiej zmory bardziej tę jednostkę uczłowiecza i zbliża do nas wszystkich” (Adam Ważyk: Jeszcze o romantyczności, w zbiorze esejów Cudowny kantorek).

Odkrycia takie, jak to, o którym informuje telewizja, że na Marsie prawdopodobnie występuje woda w stanie ciekłym, przestały robić na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

Od pożytku ironii w poezji dwa kroki do zguby, która bierze się z nadmiaru.

Trudno o coś bardziej nudnego do obserwowania, jak jakoś w literaturze przechodzi w ilość.

Jedną z brzydszych rzeczy, jakie mogę sobie wyobrazić w pisaniu, jest upiększanie siebie.

Postscriptum do Wyrzucam śmieci: sześć dni po tym, jak sporządziłem tę notatkę poetycką, po gołębim gnieździe na parapecie na siódmym piętrze mojego domu ani śladu...

Mówiła głośno i wyraźnie, dlatego dobrze ją słyszałem. Wszystko było do rzeczy (na przykład o przyczynach ocieplania się klimatu), ale z za każdego słowa wychylało się szaleństwo, odtrącenie, samotność. Potem w ten grudniowy, mokry dzień zobaczyłem ją na przystanku. Miała wielobarwną, letnią parasolkę. Siedziała na skraju ławki. Czegoś szukała w przepastnej torbie nieokreślonego koloru. Zostawiłem ją, bo nadjechał mój autobus.

Nędza zjawiska zwanego pisarzami partyjnymi. Nędza zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i zbiorowości: bezideowej, konformistycznej, ogłupionej i wciągniętej w proceder ogłupiania innych. Nie żeby całkowicie pozbawionej talentu, ale z reguły miernej. Ta zbiorowość upadła, zanim zdołała wzlecieć. Historycznie rozdział zamknięty, a jednak nie daje o sobie zapomnieć. Udaje, że żyje we wstydliwych wzmiankach.

Kilka dni trwało poszukiwanie czarnego kota Henryka Wańka. Zaginął, gdy Krzysztof Lisowski i ja odwiedziliśmy malarza. To kot na okładkę nowego tomu wierszy Krzysztofa. Zmyślne zwierzę – przekorne, a może tylko nieśmiałe – ukryło się w skanerze. Kiedy się odnalazło, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Ilekoć przejeżdżam przez Garwolin, przypominam sobie garwolińskie wątki w poezji i prozie (a jednak nie oprę się temu rozróżnieniu) Mirona Białoszewskiego. Mylne wzruszenia – jeden z najcudowniejszych, najbardziej intrygujących tytułów, jakie zna polska literatura. Jego lekkość – czy raczej lotność – wzięła się z dowcipu. Mistrz Miron miał dar udanie tytułować swoje tomy poetyckie; w sąsiedztwie Mylnych wzruszeń są Obroty rzeczy, Rachunek zachciankowy, Było i było, Odczepić się.

Pierwsze wrażenie w obcowaniu z akwafortami Barbary Rosiak: obfitość, a nawet nadmiar. Różnorodność elementów architektury, natury, mitologii, wytworów ludzkich, wreszcie same postaci ludzkie ukazane w sytuacjach tajemniczych bądź niezwykłych. Graficzka chętnie wpisuje konkret w wyobrażenie swobodne, fantazyjne, czy lepiej powiedzieć fantasmagoryczne; Fantasmagoria i Fantazja renesansowa to przykładowe tytuły jej prac. W wieloznacznym i symbolicznym Przejściu szerokie schody wiodą ku nagiemu kobiecemu ciału, tam, gdzie winna znajdować się głowa, rozgałęziają się gęste konary. Z kolei w Fantomie drzewa rozrastają się w okazałą budowlę, może zamek. Na innej pracy wizyjny labirynt prowadzi pośród murów niezliczonymi schodami nie wiadomo dokąd, na jeszcze innej z fali morskiej rodzi się – właśnie się narodziła – syrena. Wrażenie obfitości i niezwykłości potęguje fakt, że Rosiak ukazuje swoją wersję rzeczywistości w chwili jej przemian. Jakby chciała powiedzieć: ta rzeczywistość zastygnie, znieruchomieje, ale jeszcze nie teraz. Oto żaglowiec Walkirii z wydętymi przez wiatr żaglami płynie po morzu i w czasie. Zjawiska kulturowe, mitologiczne i osadzone w przeszłości, do której nie sięgamy naszą pamięcią, Rosiak włącza w dziejący się obecnie akt interpretowania. Zarówno miniatura graficzna, jak i praca większego formatu zazwyczaj mierzy się z wizją o dużym rozmachu (także wtedy, gdy jest ulotną z natury impresją). Barbarę Rosiak najwyraźniej fascynuje nieuniknioność i nieprzewidywalność w skutkach przemijania. Przechodzenie jednego stanu w drugi stan, jednej jakości w drugą jakość jest tym, co stara się utrwalić. Chodzi o ów ruch, o uchwycenie niezakończonego, a tak ciekawego poznawczo procesu. Czy kapliczka jest jeszcze kapliczką, czy już drzewem z zieleniejącymi liśćmi? Rosiak zagęszcza motywy, symbole i ornamenty. Jej wizje zdają się wywiedzione z marzenia sennego, w którym bardzo wiele jest możliwe, lub z nieskrępowanej, a czerpiącej z rozlicznych bodźców wyobraźni. Może dlatego trudno ustalić zasadę artystyczną, organizującą jej grafikę. Wystarczy nazwanie jej przenikaniem porządków? Rosiak jest detaliczna, jak mało kto. Dbłość o szczegół – sam do niego stosunek artystki – to w jej grafice wartość

sama w sobie. Jakby te prace chciały powiedzieć, że prawda o rzeczywistości kryje się w bogactwie, nie zaś w skrócie i uproszczeniu.

Gdybym od razu napisał tak, jak trzeba, to bym nie wracał do niby zamkniętego tekstu po to z reguły, by tu lub tam wykreślić albo dopisać wyraz, coś uprościć, czy – przeciwnie – skomplikować...

Piotr Szewc

Zbigniew Ćwikiewicz

Ujrzane, w czasie zatrzymane (29)

Synteza ciała i ducha – dojrzałość...

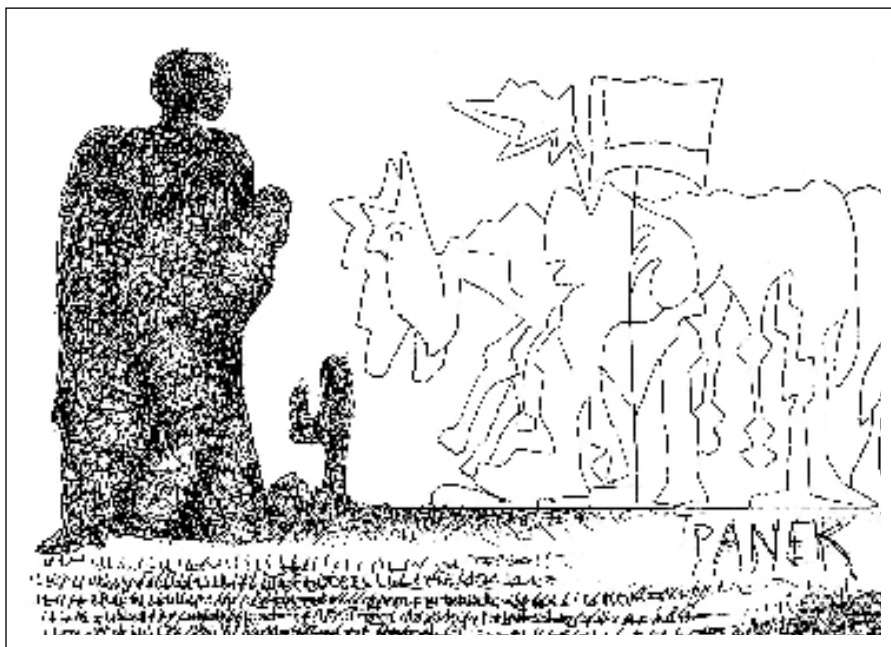
Gdy Anna Kamieńska odeszła nagle, zaledwie w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, wziąłem do ręki jej Notatnik, ażeby przybliżyć tak ważną dla mnie postać, której głęboka duchowość towarzyszyła mi przez wiele lat, poczynając od początku siódmej dekady XX wieku. W stałym Dzienniku zamieszczanym w diecezjalnym dwutygodniku „Gwiazda Morza” pisałem wówczas: „Podczytuję Notatnik Anny Kamieńskiej z lat siedemdziesiątych i nie mogę oprzeć się potrzebie, że właśnie teraz chcę jej coś powiedzieć, napisać do niej, choćby zadzwonić. Te krótkie aforyzmy, obrazki, refleksje domagają się rozmowy i uzupełnienia... I oto, pojmuję, że oddziela nas nie odległość od Gdańska do Warszawy, lub z sopockiego Zaiksu do Wrzeszcza – granicą jest Wieczność. Bo przecież nie czas, nie przestrzeń, nie cielesność. Tej dla niej już nie ma...”.

Notatnik Anny: „...Nie zowiecie mnie Anna, zowiecie mnie samotna, albowiem samotnością bardzo mnie otoczył Wszechmocny”.

Duchowa summa Anny:

Bunt przeciw groźnemu istnieniu – dzieciństwo.
Bunt przeciw ciału – wczesna młodość.
Bunt przeciw duchowi – późna młodość.
Afirmacja istnienia, synteza ciała i ducha – dojrzałość.
Tu nie ma miejsca na starość. Pełnia.

Anna żyła już pełnią, a tą pełnią było przyjęcie swego krzyża. W innym miejscu Anna Kamieńska notuje: „Głuchota i bezsenność – to dwa ramiona krzyża. A jego podstawą jest – samotność”.



Henryk Waniek, rysunek, 10,5x15 cm.

Zapis z dnia 28 września 1976 roku:

„Nie ten kto bez grzechu – lecz kto przebacza.

Nie ten kto nieskazitelny – lecz ten rozumiejący...”

Brzmi to jak fragment poetyckich medytacji. Anna po śmierci Jana Śpiewaka narodziła się po raz wtóry – już jako poetka metafizyczna. Nie bez pewnej przekory i ironii zapisuje swą rozmowę z Ważykiem: „Jesteś największą poetką religijną XX wieku, rozumiesz XX wieku! Całego! Ja ci to mówię, Ważyk! Twierdzi on, że wiek XX jest wiekiem systemów religijnych. Powrotem do historycznego Boga Izraela i do chrześcijaństwa. Bóg XIX wieku był Bogiem Natury”.

Dziś, gdy minęło równe dwadzieścia lat od jej śmierci, staram się przypomnieć sobie Annę Kamieńską, ze zdziwieniem stwierdzając, że poznałem ją zaledwie pięćdziesięcioletnią. Wówczas prawie czterdziestoletni, wciąż byłem w poszukiwaniach duchowych, niepewnościach, załamaniach, Anna, baczny obserwator, rzekła mi znamienne słowa, które stały się dla mnie ważkim odkryciem:

– „Człowiek jest zawsze psychicznie i w swej świadomości o jakieś dwadzieścia lat młodszy. Dziwne to i prawdziwe. Tak się właśnie czuję”. Anna wówczas pięćdziesięcioletnia, była więc trzydziestolatkiem, ja jako czterdziestolatek wciąż dojrzewałem...

I rzeczywiście, Anna Kamieńska miała w sobie tę ciepłą, prawdziwą kobiecość, nie tak dawno dotknięta tragedią wdowieństwa, ale nadal nie ukrywała swego umiłowania życia, ciekawości ludzi i pewnej bardzo kobiecej potrzeby podobania się, nie jako starsza pani, ale właśnie ta, która tak naprawdę była o dwadzieścia lat młodsza. – Dramat opuszczenia, samotność dopiero były przed nią, wiązały się ze śmiercią syna, chorobą serca i poczuciem, że dla bliskich nie jest tak potrzebna i konieczna, jak dyktowało to jej serce, tak spragnione miłości.

Poznaliśmy z żoną, wtedy panią Annę, za pośrednictwem poetyckiego małżeństwa Teresy Ferenc i Zbyszka Jankowskiego. Taką prawdziwie kobiecą przyjaźnią, prawie że koleżeństwem obdarzała ona Teresę. Była w tym ta duchowa młodość, zapewne też duchowe pokrewieństwo, bo Teresa Ferenc – ocalone dziecko Zamajszczyzny, uosabiała prostotę, rustykalność i wiejskość, ale napiętnowane okrutnym doświadczeniem wojny: na oczach dziecka zginęli rodzice.

Anna przebywając często w sopockim Zaiksie, z czasem zaczęła odwiedzać i nasz dom (bo po raz pierwszy chyba spotkał się ją u Jankowskich). Moja Dominika, wyrosła w bujnych krajobrazach Beskidu Niskiego szybko przypadła Annie do gustu; podziwiała jej wielkanocne mazurki, przypominające dzieciństwo i rodzinny dom, kobiece pasje: robienie na drutach, szydełkowanie.

Te Anna nie ustała w swej afirmacji życia w jego różnorodności, bujności, przekraczającej to, co miało uchodzić za jedynie przyzwoite w oczach ludzi, przekonałem się pod sam koniec życia poetki. Pracowałem wówczas nad cyklem „opowieści żartobliwych” w których występowała ciotuleńka: taka kresowa odmiana Colas Breugnona, osiadła na Kaszubach i tu popijająca ze swego kryształowego pucharka. Ta krwista postać, kochająca życie, Boga i swoje „zwierzuki”, wtopiona w kaszubskie krajobrazy, które miały ciotuleńce przypominać rodzinną Oszmiańszczyznę, bardzo Annie spodobała się. Przyniosłem jej do Zaiksu maszynopis, po lekturze którego Anna zupełnie na serio spytała, czy jest (czy mogłyby być?), jak ta moja ciotuleńka? – Z pewnym ociąganiem, czy też autorskim zażenowaniem, zapewniłem, że tak, sprawiając Annie wyraźną przyjemność.

Tak się stało, że Anna zmarła, gdy kończyłem cykl, zadedykowałem więc swoją „Ciotuleńkę”: – „Pamięci Anny Kamieńskiej: wielkiej i mądrej miłośniczce życia”. Gdańsk, w maju 1986 roku...

W ostatnią nowelkę, pisaną już po śmierci Anny pt. Anielskie piórko wplotłem swój dziwny sen, który mnie nawiedził rychło po jej śmierci. – Widzę Annę Kamieńską w towarzystwie Seweryna Pollaka, z którym poetka u nas po raz ostatni gościła. „Wiem, że ona nie żyje i jakiś lęk pierwotny, strach chyba wampiryczny przed tym

ludzkim ciałem, co przekroczyło granicę: jest tam i tu – ogarnia mnie.” Wówczas pomyślałem sobie: „Przecież to jest ona! Czemu mam się jej bać? Wtedy Anna w sposób niepojęty, tylko w snach możliwy pokonuje przestrzeń i materializuje się na grzbiecie mojej prawej dłoni – jako kiść bzu! Jest to bez szlachetny, szczepiony, kwiaty nie są pełne, choć duże, w delikatnym odcieniu jasnego wrzosu, bez jednego zielonego listka. Sam kwiatostan. Tę kiść widzę i w tej chwili. Następnie kiść wędruje po wyciągniętej na przywitanie ręce – przez łokieć, przedramię, na chwilę zatrzymuje się na ramieniu, aby jednym skokiem dopaść mojego policzka i przytulić się do kącika warg”.

Po tej opowieści narrator się zastanawia nad sensem swojego snu i w rozmowie z żoną stwierdza: „Ona tam jest szczęśliwa. Chciała nam powiedzieć: «Nie martwcie się, ja tam kwitnę». Bo to nie była ciotuleńka sama w sobie, to była jakby i nasza Anna. Anna jako ciotuleńka, czy może na odwrót. Trudno wyrazić tamto widziane i przeżyte. A pamiętasz, jak Anna pytała po przeczytaniu opowieści, czy mogłaby też być ciotuleńką? – Chciałem (przecież nie tak dawno!) potwierdzić, że Anna to ciotuleńka nad ciotuleńkami, ale jakiś fałszywy wstyd kazał mi zamilczeć. A potem było za późno...”

Dlaczego Anna Kamieńska w moim śnie przeszła tak piękną transformację i zakwitła kiścią bzu? – Czyżby dlatego, że zmarła w środku maja, w miesiącu kwitnących bżów? Czy też był to jej ukochany kwiat? – Zapytana o to Teresa Ferenc, odrzekła, że Anna kochała wszystkie kwiaty.

I w ogóle, rzeczy piękne. Przypomniałem wówczas jej warszawskie mieszkanie, rzeczywiście, pełne rzeczy pięknych. I te grafiki Ryszarda Stryjca, które nasz przyjaciel ofiarował warszawskiej poetce, a ona powiesiła je w widocznych miejscach.

Po wyborze Karola Wojtyły na papieża, pełen optymizmu zapragnąłem przenieść się do Warszawy. Wiktor Woroszyński moje plany przyjął z aprobatą, że od dawna na to czekaliśmy, itd. Tymczasem Anna stanowczo odradzała, mówiąc, że w Gdańsku jesteśmy niezależni, nie skazani na ostateczny wybór opcji, że nie musimy przypisywać się do żadnej literackiej grupy czy koterii. Zrozumiałem wtedy jak bolesne musiały być dla niej te warszawskie walki, podziały i sfery. W tym również kryła się przyczyna, tak doskwierającego jej pod koniec życia poczucia samotności. – Ona kochała świat i ludzi, cierpiała więc podwójnie w tym stolicznym „piekielku”. I w Warszawie miała swoje grono przyjaciół lecz my, z prowincji, byliśmy bliscy również dlatego że właśnie niezależni, duchowo „bezpартyjni”. I w życiu też poza partiami.

Nie darmo Ważyk uznał Annę Kamieńską „za największą poetkę religijną”. To najbardziej zbliżało nas do Kamieńskiej. Była dla nas, wciąż poszukujących, potrzebna jako postać absolutnie autentyczna, jako osoba jak sama pisała w cytowanym aforyźmie, która realizowała na naszych oczach – „afirmację istnienia, syntezę ciała i ducha – dojrzałość”. Nie było „tu miejsca na starość. Pełnia”. – Gdy umierała sześćdziesięciosześcioletnia, serce miała czterdziestolatka. I tak dzisiaj sądzę, że gdyby dane jej było dożyć do moich lat siedemdziesięciu, dalej nie byłoby miejsca na starość...

Anna była szczodra w obdarowywaniu przyjaciół swoimi dziełami. My z żoną i nasze dzieci mamy pięknie zadedykowane jej książki. Przed sobą mam jedną, która teraz jest mi pomocna w rozpoczynaniu dnia, nieraz w sposób niby przypadkowy otwierając się na właściwej stronie. Jest nią O naśladowaniu Jezusa Chrystusa Tomasa à Kempis w tłumaczeniu Anny Kamieńskiej. Wstęp, przyjaciela Anny księdza Jana Twardowskiego. Píše on, że przekład „wybitnej poetki zbliża nam tekst mądrym i prostym słowem”. Swój odświeżający językowo, odważny, pisany w świetnej polszczyźnie tekst Naśladowania Anna zadedykowała nam cytatem: „Kto kocha – zna to wielkie wołanie, Warszawa, lipiec 1981 rok”. Jest to fragment z rozdziału: Ocudownym działaniu Miłości Bożej. Ciąg dalszy cytatu: „...zarliwa miłość ducha brzmi wielkim krzykiem w uszach Boga: Boże mój, moja miłości, należysz cały do mnie, jak i ja cały jestem Twój”.

W tym rozdziale Tomasz à Kempis rozbudowuje przepiękny hymn św. Pawła z pierwszego listu do Koryntian, o najdoskonalszej drodze, która przewyższa wszystkie inne. Ten natchniony hymn kończy się słowami: „Teraz poznaję po części, potem poznam tak, jak sam zostałem poznany. Teraz więc trwają, wiara, nadzieja i miłość – te trzy. Z nich największa jest miłość”.

Wewnętrzne ukryte życie duchowe Anny Kamieńskiej musiało być intensywne, oddane najwyższej Miłości. Widzieliśmy to w jej religijności, która była żywa i jak najdalsza od dewocji, której nie znosiła. Promieniowała ciepłem wewnętrznym i autentyzmem. Była prawdziwie do końca żoną, potem wdową z wieczną pamięcią o nim, Janku, matką kochającą synów, z których jednego nie udało się jej, pomimo wielkich wysiłków i starań, wyrwać śmierci. I była też przyjacielem, niezawodnym i uważnym. Teraz myślę, że dedykując tak a nie inaczej O naśladowaniu..., miała na uwadze moje duchowe borykania się, neofity, samouka w sferze chrześcijańskiej mistyki. Wyraziłem to w Dzienniku intymnym mego NN wydanym w „Więzi” w 1977 roku.

Anna umiała też bacznie obserwować i na gorąco zapisywać rozmowy z ludźmi, widząc też ich w śmiesznoścach i słabościach. Wśród zapisków dotyczących mojej osoby, znalazłem również i taką: Oczarowany Kaszubami, wędrując pieszo po tej krainie, przy obiedzie, gdy gościła u nas Anna i Ryszard Stryjec, rozmarzyłem się megalomańsko – jak wyobrażam swój grób? A miałem wówczas gdzieś około czterdziestu lat. Chciałem, mianowicie, na swej mogile mieć duży, narzutowy głaz z Kaszub, a na nim Rysio Stryjec miałby wykuć w malutkim kwadraciku krótkie epitafium...

Działo się to tyle lat temu! – Stryjec spoczął właśnie na Srebrzysku, ale bez głazu na grobie, Anna odeszła do Wieczności, a ja chciałbym jedynie kiedyś znów spotkać się z nimi przy jakiejś niebiańskiej wieczerzy.

Darem przyjaźni, jaki ofiarowała mi Anna, była przedmowa do następnego tomu dzienników pt. Pożądanie Wzgórz Wiekuistych. Weszły tam wspomniane „dzienniki intymne” wydane w bibliotece „Więzi” oraz nowe zapiski z lat 1977–1984. Książkę wydało poznańskie „Pallottinum” w 1987 roku. Wstęp Anny Kamieńskiej datowany jest na grudzień 1984 roku.

Tak więc na półtora roku przed śmiercią Anna pisała, że moje „chrześcijaństwo jest autentyczne, trudne, dalekie od łatwego optymizmu i taniej pociechy nie respektującej tragizmu istnienia” i dalej nawiązując do mojego opętania pisarstwem Dostojewskiego, które, mniemam że dziś mnie opuściło, zauważa: „Jakże mogłoby być inaczej u autora, którego do głębi przeorała myśl Dostojewskiego. I tak jak u rosyjskiego pisarza, wszystko tu może zostać w jednej chwili postawione w stan wątpienia i nieufności: i sens cierpienia, i świat, i nawet zbawienie oprócz jednego, co jest pewne i niewzruszone: oprócz Chrystusa”.

Gdzieś około 1970 roku przeżyłem głęboki wstrząs duchowy związany z Osobą Chrystusa. To ciężkie, doznanie znalazło się w Pożądaniu. Tam też notowałem stopniowo i wielkie odkrycie, jakim były dla mnie zapiski siostry Faustyny z jej Dzienniczka. I to, że Bóg jest Miłością i Miłosierdziem! Była to droga, która wyrwała mnie ze swoistego manicheizmu i „dostojewszczyzny”. Ale o tym Anna już nie mogła wiedzieć.

Dziś pozostaję wielkim dłużnikiem Anny, która zaliczyła tę amatorską, choć żarliwą pisaninę, za „eseistyczną biografię, która przełamuje stereotyp aintelektualnego charakteru polskiego katolicyzmu”. Teraz, gdy mamy tak bogatą literaturę dotyczącą sfery chrześcijańskiego sacrum, wówczas niedostępną w druku, panorama polskiego katolicyzmu wygląda zupełnie inaczej.

Dla mnie Anna Kamieńska pozostanie tą „rozumiejącą”, nie patrzyła ona „na grzeszność naszą – lecz była tym kto wybacza”.

I dzisiaj żal, że nie zdążyłem jej tak naprawdę się odwdzińczyć, że nie dożyła wydania książki, do której napisała, we wstępie, tyle dobrych słów. I żal – że tyle lat już jej nie ma wśród nas...

Zbigniew Ćwikiewicz

RECENZJE

Bogusław Kierc

Wszystkimi oczami

Nie potrafię przeczytać tej książki strona po stronie. Oczywiście, niejedną taką jej lekturę mam za sobą, ale porządek doskonałej kompozycji tomiku A-dur Kazimierza Hoffmana za każdym razem domaga się we mnie niby krystalografii w utrwalaniu muzycznego zapisu przestrzeni, w jakiej ta poezja się powierza mojemu słyszeniu i widzeniu, całemu zmysłowemu odczuwaniu i duchowej kontemplacji.

Muzycznych proveniencji nie dopatruję się (dosłuchuję), zasugerowany tytułem. Pewnie, że tytuł na nie wskazuje, ale właśnie z nich wyniknął; choćby tylko z wiersza A-dur.

Znamienne, że przed nim umieścił Hoffman wiersz Nad Ósmą Elegią z mottem z tejże Elegii Rilkego:

Nur unsre Augen sind
wie umgekehrt

Nie od razu uprzytomniłem sobie, że ten wiersz uzasadnia ową trudność linearnego czytania, o której dopiero co napomknąłem. „Stworzenie widzi wszystkimi oczami/Przestwór. Jedynie nasze oczy są/jak odwrócone.”

Mógłbym powiedzieć, że Kazimierz Hoffman czyni poezję zdolną do widzenia „wszystkimi oczami”; oczami zmysłów i oczami umysłu, oczami duszy...

Mógłbym tak powiedzieć i jeszcze uściślić, że właściwie chodzi tylko o oczy duszy, bo to one są w istocie „wszystkimi oczami”, i nie na miejscu byłoby kwestionowanie duszy zwierząt. Nie na miejscu – w poezji Kazimierza Hoffmana. Ale tak powiedziawszy, niestety, upraszczam jedną z najważniejszych spraw jego twórczości, jego życia.

Gdybym miał komuś doradzić, gdzie powinien szukać oparcia dla zrozumienia czułości (nie uczuciowej jedynie) będącej osobliwym przedmiotem jego poetyckiej gnoseologii, wskazałbym Ósmą Elegię. Jest ona bowiem myślowym sanktuarium idei i przekonań drogich autorowi tej przedziwnej książki. Sam najpewniej mógłby nie tylko potwierdzić, ale spontanicznie wypowiedzieć to zdanie: „O tym, co j e s t na zewnątrz, wiemy tylko/z twarzy zwierzęcia”. Podobnie,

jak pojęcie losu mogłoby u niego przyjąć (przyjmuje) zarys Rilke'ańskiej definicji: „być w obliczu, wobec, /i nic prócz tego, zawsze tylko wobec”.

To właśnie w Ósmej Elegii „niepewna pewność” ptaka upodabnia go do duszy.

Dusza jest zresztą pierwszym problemem wspomnianego wiersza i – zdaje się – jego polemicznym zarzewiem. Zapewne mocno poruszyła poetę konstatacja Wisławy Szymborskiej, że „duszę się miewa”. Podważa ona bowiem zasadę bycia duszy nieśmiertelnej w nas (czy – naszego bycia duszą żyjącą, jak podaje Pismo). I nie o teologiczne racje tutaj idzie, ale o godność. O tę godność, która nie dopuszcza strojenia min, żartów, kpin i błazenady wobec rzeczy „zbyt ważnej”.

Stało się dla mnie jasne, że poezja Kazimierza Hoffmana jest niemal zupełnie pozbawiona ironii. I że to właśnie jest jednym z wyróżników jej doniosłości.

Dla (tej) poezji dusza jest „rzeczą zbyt ważną”, choć rzeczą nie jest. Ale z tym „jest nie jest” musi się borykać (muszę się borykać) co chwile.

Pisząc kiedyś o innej książce Poety (Kos i inne wiersze) powiedziałem wprost: „rzeczą” Hoffmana jest dusza. To bycie rzeczy uzyskało w następnym jego tomie (Drogą) niezwykłą przejrzystość:

panoramiczny wręcz
opis przez ileś

tam stron po-
jedynczej (jak los)

rzeczy
szczegółu Co

więcej, teraz
i tu.

Kiedy czytam Ze szkoły słuchania. Symfonie pierwsze zdanie „Muzyka nie jest bytem”, to – nie doczytawszy do końca – już zaprzeczam; nie teoretycznie, ale z praktyki słuchania i słyszenia. By tak ryzykownie powiedzieć: z b y c i a w muzyce muzyką, wiem, że j e s t bytem. Dla mnie. We mnie:

j a
widzę t e p r z e s t r z e n i e

Widzę je dzięki sztuce poetyckiej Hoffmana, ale – chociaż w tym tomie sprawa „pisarstwa” jest wyjątkowo uwydatniona – nie ona (albo: nie przede wszystkim ona) stanowi o ważności tego mówienia. Cóż więc? Nic.

Bardzo efektownie się to powiedziało, a przecież naprawdę chodzi o nic, które – pisane przez N – jest czymś, uchwytnie nieuchwytnym, jak w tym wierszu N z konkluzją:

Jakie to zwykle.
Jakie niezwykle

Zatem od dostrzeżenia niezwykłości w zwykłym zdaje się zależeć istota poetyckiego widzenia. Ale u Hoffmana ta zależność okazuje się subtelniejsza niż w doświadczeniach, do których jakoś przysposobili nas inni (podobnie uwrażliwieni) poeci. Inaczej mówiąc: materii, którą się posługuje, nie pozbawia duchowych ugruntowań; tego pierwszego blasku, z jakim (i w jakim) się pojawiła jako „wid, piękność” (jakby powiedział Słowacki). Jako drobiazg w Kosmosie; drobiazg stanowiący o sensie Kosmosu. Ujął to z przenikliwą cudownością już w poprzednim tomie (Droga) w wierszu Przyspieszenie, tekst:

(...) drobiazg przerasta w coś co
ważne w prawdziwą rzecz w jej całej

powadze (...)

le mi się to mówi, bo wiem, że jestem blisko istoty, a zarazem nie potrafię wyrazić jej specyfiki. I nawet nie bardzo zależy mi na wyrażeniu jej. Zależy mi na zrozumieniu jej miejsca w byciu. Jej bytu w byciu.

Zależy mi, bo wiem, że to zrozumienie warunkuje odsłonięcie (się) nie poznanych przestrzeni, w których relacje między mną a innymi, między mną a Innem (czyli stworzeniami i rzeczami) mogą być jeszcze subtelniejsze, oczyszczone do rzeczywistości d a r u.

Pojęcie d a r u wydaje się podstawowym dla poetyckiej ontologii Hoffmana. Najprościej mówiąc zakłada ono przepływanie wzajemnych obdarowań między istnieniami: to, co jest przede mną i wokół mnie, powierza mi się w darze tak, jak ja mogę się temu darować. Najlepiej oddaje to muzyka, bo owo „przepływanie wzajemnych obdarowań” samo jest muzyką w takim sensie, jaki objawia się w zdaniach Wittgensteina o symfonii Brucknerowskiej, że ma ona dwa początki: „początek pierwszej i początek drugiej myśli. Te dwie myśli mają się do siebie nie jak powinowate jednej krwi, lecz jak mężczyzna i kobieta”.

Tego typu muzyczna proveniencja liryki Kazimierza Hoffmana daje o sobie znać także przez wielogłosowość materii poetyckiej; pobrzmiewają w niej liczne tematy „cudze”. Widać to w graficznym kształcie wierszy, w kursywach i spacjach,

w cudzysłowach... (W cudzysłów ujęty jest cały obszerny tekst Z nagrań dla N. – drukowany wcześniej w „Kwartalniku” pod tytułem Szkiców do portretu części pierwsza bez cudzysłowu. Warto przyrzeć się innym subtelnym różnicom obu redakcji tego tekstu.)

Cudzysłowy, spacje, kursywy, dywizy – to są drobiazgi ortograficzne, ale w muzyce Hoffmana znaczące bardziej niż w jakiegokolwiek innej poezji, choćby najbliższej jego pisarskiej empirii.

Wracając do tego, co nazwałem „przepływaniem wzajemnych obdarowań” chcę powiedzieć, że poeta nazywa to po prostu „darem zapośredniczenia”:

chwile tylko,

kropla, niemniej są, tak: gdy wszystko się
scedza w prostą złożoność. Czasami to
drobiazg: motyl na stole, niekiedy zaś
dar
zapośredniczenia: Bóg przemawia moją
radością na widok witającego mnie w domu psa.

Dar zapośredniczenia to także dar będący efektem dzielenia się, udzielania się. Bo i czas jest nam u d z i e l o n y. Na początku tomu eksponuje to poeta, mówiąc o „surowej regule u d z i e l o n e g o czasu”.

Udzielony czas to są chwile, w których mieści się – by tak powiedzieć – treść c a ł e g o czasu. Podobnie (i przypuszczam, że ta analogia nie jest interpretacyjnym nadużyciem) jak w Eucharystii „pod każdą też częstką konsekrowanej hostii i konsekrowanego wina jest – po jej oddzieleniu – cały Chrystus”.

Chwila i drobiazg są synonimami tego samego daru – tyle ulotnego co konkretnego. Jak płatek śniegu. Będący tyleż „myślą nagłą z Aikena, i pewnością niemal”, co samą materią i formą, treścią i sensem tego zdania: „Płatek śniegu mym ojcem”.

Myśl jest z Aikena, ale jej iluminacyjne ukonkretnienie, jej entelechia ma tonację A-dur Hoffmana.

Bogusław Kierc

Kazimierz Hoffman, A-dur, Biblioteka „Toposu”, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2007

Jerzy Gizella

Od nieufności do afirmacji

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Stanisław Barańczak stał się jednym z najbardziej popularnych poetów i krytyków pokolenia Nowej Fali. W dziedzinie krytyki błyskotliwy, pełen pasji i żarliwości sposób pisania o współczesnej literaturze wzbudzał autentyczną wściekłość nadzorców kultury, którzy jednak byli bezradni ze swoimi szyskanami i siecią donosicieli oraz szwadronami „nieznanych sprawców” – spotkania z poznańskim poetą stawały się manifestacjami wolności i niezależności, wszędzie ściągając tłumy zgłodniałe wolnego słowa. Tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego Barańczak wyjechał do USA, gdzie objął na Harvardzie wykłady z historii literatury polskiej. Moment wyjazdu był szczególnie z kilku powodów – popularny pisarz obejmował prestiżowe stanowisko: nie był więc typowym emigrantem z tego okresu. Jechał za Ocean do pracy, lecz nie „za chlebem”, „na zawsze”. Stał się w Harvardzie nie tylko ambasadorem wolnej polskiej literatury i myśli, ale i propagatorem – zwłaszcza po 1989 roku – literatury obszaru języka angielskiego w Polsce.

Początkową totalną krytykę peerelowskiej rzeczywistości skupiał poeta na języku oficjalnej propagandy – tomy Korekta twarzy (1968), Jednym tchem (1970), Dziennik poranny (1972), choć ocenzone, wносиły powiew autentycznej semantycznej świeżości i odkrywczości, i co warto przypomnieć – zjadliwego humoru. Jako krytyk literacki Barańczak oskarżał oficjalną literaturę o napuszoną stylistykę i poznawczą bezwartościowość – obie te cechy zresztą współistniały i znakomicie się dopełniały. W swoich wierszach wydawanych od 1976 roku poza cenzurą: Sztuczne oddychanie (1978), Ja wiem, że to niesłuszne (1977), Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu (1980) – poza programową „nieufnością”, ironią, mistrzowskim przedrzeźnianiem i ośmieszaniem partyjnej „nowomowy”, „czarnej piany gazet” – wyrażał też nieśmiały optymizm: ta cała fasada, rozdęta, sztuczna i zakłamana musi prędzej czy później runąć, bo takie są prawa natury. Wtłoczony w „betonowe jamy”, zredukowany do tępego wykonawcy rozkazów, nakazów i zakazów obywatel PRL-u nie zrezygnuje z tęsknoty do wolności, prawdy i sprawiedliwości – ale nie ten, który wyglądał w oczach postronnego obserwatora wyłącznie na szmatławego czytelnika gazet, na „merdającego językiem” skacowanego lumpa. To będzie inteligent, sceptyk, nawet uczciwy agnostyk. Bywało, że w ówczesnych dyskusjach po autorskim spotkaniu młodzi zarzucali autorowi nadmierne ekspozowanie bezradności i czarnej, pesymistycznej wizji oraz przecenianie laickiej opozycji – zwłaszcza po cudownym i niemal przez nikogo nie przewidywanym wyborze Polaka na Stolicę Piotrową. Zarzuty dotyczyły nadmiernego uwikłania się poety w polemikę z bieżącą rzeczywistością, ucieczkę ze sfery ponadczasowych wartości,

nieobecność katolickiej aksjologii i tego wszystkiego, co w sferze doktryny wiary pozwala zachować optymizm, poczucie transcendencji, nadsensu.

Próba weryfikacji tych zarzutów mogłaby się okazać dziś nazbyt ryzykowna – niejeden prorok mylił się zupełnie. Nawet ci, którzy straszili zemstą komunistów za powstanie „Solidarności”. I oni nie przewidywali, że stan wojenny też nie będzie trwał wiecznie. To nie była epoka łatwa dla jasnowidzów. Ściana „z betonu, zmęczenia i śniegu” była w każdym razie miejscem (sytuacją), w której nie można było zastygnąć. Wyjazd z Polski musiał przynieść zmianę perspektywy, konfrontację z wolnym, otwartym społeczeństwem, z brakiem doświadczenia, które paraliżuje ducha i zmysły, albo prowadzi do pozy Rejtana. W tym sensie „emigracja” była dobrą sytuacją „graniczną”, w Jaspersowskim rozumieniu.

To w tomie *Atlantyda* i inne wiersze z lat 1981–1985 wydanym w 1986 roku Barańczak zmierzył się po raz pierwszy z Ameryką, emigracją i pomijanymi wcześniej pytaniami. Przypomnieć też warto niemal równoległe doświadczenie opisane przez Adama Zagajewskiego, który w tomie esejów *Solidarność i samotność* (1986) opowiedział się jako poeta za samotnością, naturalną dla każdego pisarza, nie tylko czasowego czy wiecznego emigranta. W wierszach *Dyletanci*, *Kwestia rytmu* rozważa Barańczak jeszcze pytania, które ciągle dotyczą priorytetów krajowych, kształtu dyskursu politycznego – np. jakie metody są bardziej skuteczne w prowadzeniu walki z przebiegłym, nie przebieającym w środkach, wrogiem. Ewolucja (pokojowa) czy rewolucja (krwawa)? Czy społeczeństwo po osiągnięciu wymarzonej wolności nie stanie się mściwym fanatycznym motłochem, który zacznie prześladować, niczym stalinowski reżym, inaczej myślących? Czy dawni działacze partyjni nie zamienią po prostu szturmówek na kościelne sztandary i feretrony? Obawy takie musiał mieć przede wszystkim ktoś, kto chyba znał katolicyzm dość powierzchownie. Pojawia się też stoicyzm, afirmacja w stylu Jana Kochanowskiego – co kontrastuje z wcześniejszą obojętnością na kwestie religijne. To zresztą charakterystyczne, że u Barańczaka w *Chirurgicznej precyzji* (1998), ale i we wcześniejszej *Widokówce z tego świata* (1988) – wśród licznych wspomnień z dzieciństwa i młodości nie znajdziemy motywów związanych z atmosferą popularnych świąt, gwiazdką, choinką – to dla czytelnika widomy znak racjonalnego, zimnego wychowu. W *Atlantydzie* najwięcej jest wierszy adaptacyjnych (znakomite teksty *Resume*, *Druga natura*, cykle *Atlantyda* i *Small talk*), pełnych rozważań uniwersalnej kondycji człowieka, ziemskiego pielgrzyma, który szuka ale nie znajduje, który zadaje ważne pytania, ale „z góry” odpowiada mu tylko milczenie.

Motywy dialogu z tym, którego nazwy nie należy wymawiać – to także częsty motyw zbioru *Widokówka z tego świata*. Odeszła na bok groźba akceptacji byle jakiego bytu (w komunizmie), nagiego bytu w ogóle, ale pojawiło się pojęcie bytu jako egzystencji, pełnej świadomych i nieświadomych wyborów, pochwała mądrego życia, takiego, które nie komplikuje go najbliższym i nie rani ich duszy. Bo przecież narrator tych opowieści-reportaży-widokówek znakomicie zdaje sobie sprawę z tego jak się robi karierę w salonach artystycznych – te „zasady” są globalne: bez skandalu, rozwodu, romansu na boku, narkotyków i ciągłego upijania się trudno czymś zaimponować kampusowym snobom i liberałom. To samo i tam i tu. Gorzka konstatacja, ale na szczęście istnieje zdrowy rozsądek: wynikający ze staroświeckiej, „drobnomieszczańskiej” miłości do innych, do żony i dzieci. Dzisiaj bycie normalnym to coraz częściej powód do wstydu – może niedługo normalni ludzie będą uznawani za chorych psychicznie? Co zostawimy po sobie? „Mieszankę śmiecia i rozpacz”, choćbyśmy starali się jak nigdy – moszcząc się w „dobrej naturze” człowieka, do czego zachęcał kiedyś opozycjonista Krawczyk Olgierd z wiersza *Grudzień 1976*, a teraz robi to straszący piekłem telewizyjny kaznodzieja z *Ustawiania głosu*.

Chirurgiczna precyzja to ostatni oryginalny tom wierszy, który zamyka dotychczasowy dorobek poety – tu najmniej jest ironii i autoironii, najwięcej poczucia upływu czasu, nostalgii, także bolesnych wspomnień i reminiscencji z przeszłości. Stają się one coraz bardziej dojmujące i dotykające, coraz bardziej „muzyczne”, z wariacjami w rodzaju tytułowej „precyzji”, wbrew „ponowoczesnej” reporterskiej *Implozji*, czyli wyburzaniu starych konstrukcji (*WE BLAST THE PAST*), co jest możliwe chyba tylko w sferze materii, nie duszy. Pamięć, mimo „kontrolowanej implozji”, stale przywraca jakieś zapomniane obrazy, dialogi, krajobrazy. Nawet nędzna altanka z tektury i blachy na podpoznańskiej działce obok drzewa wiśni wyłania się z zakamarków przeszłości jak ukojenie, najczulszy obraz – i chyba nieprzypadkowo. O żadnej precyzji nie ma co mówić, to wszystko przypadek – kiedy serce mamy ściśnięte żalem i wzruszeniem, pozostaje piosenka, łatwa, z niepoważnym tekstem, wpadającym w ucho rytmem i rymem, choćby z księdza Baki. I ta piosenka jest czasem najbardziej prawdziwa. Nie wszystkim rezydentom z Europy Ameryka przyniosła ukojenie – a jeśli nawet, to nie na długo. Do nielicznej kategorii szczęśliwców zaliczał się na pewno Czesław Miłosz i Josif Brodski. Stanisław Barańczak jest poetą, który wybrał podobną marszrutę.

Jerzy Gizella

Mirosław Dzień

O widzeniu kropki i o kropce widzenia. Origami Juliana Kornhausera

1. Nowy tom poezji Juliana Kornhausera Origami przynosi trzydzieści trzy wiersze. Książkę otwierają trzy krótkie impresje (Unia, Na szybie, Split), w których zaobserwowany szczegół, jak na przykład dwa pracujące „ciężko i wytrwale” gawrony tworzą niezwykłą, bo przecież w nagłym oglądzie poety doświadczoną koincydencję. Świat jest tutaj zjednoczony we wspólnej sprawie, a poeta, jak położnik dogląda, po sokratejsku, następstwo wydarzeń. Zresztą motyw „trzeciego”, który jest obecny w Świecie, a przez to Świat czyniąc bardziej przytłoczonym (dla siebie i dla czytelnika) pojawi się w drugim z przywołanych utworów – Na szybie. Podobnie rzecz ma się w wierszu Na parapecie, gdzie „przewrócona figurka z kinderniespodzianki” znajduje dla siebie niespodziewane miejsce „wśród muszli, zasuszonej rozgwiadzy/szyszek i kasztana”. Oto obcy element w wykończonym krajobrazie rzeczy; oto element powodujący poznawczy dysonans. I właśnie rzeczywistość przekroczenia porządku staje się dla Kornhausera okazją do niezwykłego poszerzenia perspektywy. Pęka to, co naoczne, by ujawnić fundamentalne pytanie o źródło jej niezwykłej obecności. I co najciekawsze, a z poetyckiego punktu widzenia fascynujące – odpowiedź, jaką daje nam Autor całkowicie rozsądza możliwy horyzont. Oto bowiem domniemanie, iż „figurka z kinderniespodzianki” mogłaby przypłynąć „Arką Noego”, wydaje się, nie tyle próbą ośmieszenia jej obecności, a raczej wskazaniem na „ocalenie”, jako kategorii, w której to, co niewinne (czytaj: inne) może ostać się w zupełnie nowym środowisku. Zasadność pytania o powód obecności tego drobiazgu, jest zasadnością zadawania wielu poważniejszych pytań, a co ważniejsze – próba odpowiedzi na nie okazać się może nie lada wyzwaniem... Innymi słowy: kiedy poeta stawia kwestię „obecności”, jest to nieomal zawsze zaproszenie do szerszej refleksji natury metafizycznej. Refleksji, w której nie ma już ani banału, ani przypadku; refleksji, w której należy poszerzać przestrzeń sensu, by pełniej zobaczyć to, co przez nieuwagę może zostać przeoczone.

O podobnej współnocie między Światem a narratorem dowiadujemy się z wiersza Spotkanie. Tutaj to, co obserwowane obserwuje. To, co podglądane

uczestniczy w widzeniu, jak owa „jedna z saren” o „pięknych oczach”. Wspólnota. Wydaje się, jak gdyby poeta zapraszał nas do takiego przeżywania Świata, w którym nigdy nie istnieje on na zewnątrz nas, a zawsze to my musimy w nim uczestniczyć na równych prawach. Świat jest organiczną całością oglądanego i oglądającego; całością niepodzielną, nierozłączną. Tylko w takim bowiem Świecie możemy zamieszkać na równych prawach i, co ważniejsze, tylko taki świat możemy z powodzeniem poznawczo penetrować. Tak trzeba chyba czytać Diabelski młyn, Tu, W lipcu, Świąto.

2. Osobne znaczenie przypisałbym tytułowemu utworowi Origami. Doskonale wiemy w jakim celu turyści jeżdżą z „Krakowa do Oświęcimia”. Ich zabawa w origami – sztukę zginania papieru, jest tak niewinna, tak płocha, że tylko groza celu podróży może całkowicie wypaczyć jej brak znaczenia – bo przecież, chcielibyśmy krzyknąć, nie godzi się drodzy młodzi przyjaciele z Japonii, nie godzi się bawić papierem skoro miejsce, do którego jedziemy, jest miejscem zupełnie innego prochu, bynajmniej nie tego po płonącym papierze.

3. Każdy poeta musi odnaleźć w sobie przekonanie o „swoim miejscu”. Piszę „musi”, bo przecież żyjemy (na tyle, na ile jest to próba świadomego trwania) w określonym czasie, przestrzeni; w określonej sekwencji wydarzeń. Wiersz Tu rejestruje kontemplatywną postawę kogoś, kto dotyka samego siebie w czułym punkcie; punkcie, który z trudem można dookreślić, no może najłatwiej, co nie znaczy najpełniej, za pomocą następującej frazy:

Słucham muzyki, patrzę przez okno
na zachodzące słońce.
(...)
Jestem tu na swoim miejscu,
choć daleko od siebie
i od własnej, niepowtarzalnej
przeszłości.

Tu

4. Widzenie, to być może najoryginalniejszy i najciekawszy z utworów pomieszczonych w Origami. Wiersz składa się z tytułu, motta i kropki. Trzy elementy, trzy światy. Ale zacznijmy od końca. Jaka jest funkcja kropki. Najprościej byłoby powiedzieć: ona coś kończy, zamyka, definitywnie określa. „Kropka” zamyka świat. „Kropka” kończy zdanie – ten najważniejszy ze sposobów pisemnego komunikowania się. W świetle motta postrzeganie „kropki”, jest widzeniem graficznego znaku kończącego coś, co niewidzialne, zamykającego nieodgadnioną myśl, tajemne twierdzenie. Widzimy „koniec”, ale nie „początek”, i nie „wszystko, co pomiędzy”, a co przecież stanowi „treść”. W „kropce” świat doznaje

największej z możliwych kondensacji; to świat w stanie skupienia; świat atomu. Świat wszystkich możliwości. Przypominają mi się kabalistyczne zabiegi, których celem jest wyprowadzenie natury Boga i całego świata z pierwszej litery hebrajskiego alfabetu. Tak więc – idąc za radą kardynała Josepha Ratzingera – empirysta, więcej: sensualista, skazany jest na porażkę. Rzeczywistość przekracza to, co widzialne, i to przekracza w stopniu, który nieomal unieważnia dane zmysłowe. „Ślepota”, w którą popada poddaje w wątpliwość wszystkie jego zabiegi poznawcze. A zatem wiersz *Widzenie* jest przypowieścią o „kropce widzenia”, który tłumaczyć możemy sobie również jako „punkt widzenia”. Oto „punkt/kropka” widzenia, która więcej zakrywa niż ujawnia; oto perspektywa każąca nam z większą dozą intelektualnej pokory podchodzić do spraw świata tego. Trzeba zatem „widzieć” poprzez, pomimo, ponad tym, co dostrzegalne; trzeba wyrwać się z klatki zmysłów, aby jak ptak poszybować w inne rejony, w odległe krainy.

Wiersze Juliana Kornhausera wydają mi się przypowieściami o Świecie integralnym; Świecie, którego nie należy i nie można podzielić i zaszufadkować. Rzeczywistość jest jednością. Człowiek, zwierzęta, przyroda, przedmioty i unosząca się nad nimi pamięć Grozy, oto składniki jednej rzeczywistości, tego samego Świata.

Z punktu widzenia kropki rzeczywistość musi nas zaskakiwać, bo przecież taka jest jej nieprzenikniona nawet w najbardziej skupionym widzeniu rola.

Julian Kornhauser, *Origami*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007

Mirosław Dzień

Wojciech Gruchała

„Starszy pan” i „uboga krewna”, czyli opowieść o wierności

Część sprawozdawczą można w wypadku nowej książki Michała Głowińskiego streścić w kilku frazach godnych noty prasowej: w ofercie krakowskiego Wydawnictwa Literackiego pojawiła się kolejna książka autora *Czarnych sezonów* zatytułowana *Monolog wewnętrzny Telimeny i inne szkice*. Składające się na nią eseje podzielne zostały na dwie grupy, co odzwierciedla dwutorowość zainteresowań badawczych autora, a więc z jednej strony teoretyczne ujęcie wiedzy o literaturze, a z drugiej praktykę interpretacyjną. Te podstawowe fakty powinny wystarczyć

– autora omawianej książki przedstawiać nie trzeba, od kilku lat podejmowane są próby rozpoznania miejsca jego dorobku na tle polskiej teorii i historii literatury, nota bibliograficzna odsyła do miejsc pierwodruku wszystkich szkiców w tomie. Nie stanowi to jednak w żadnym wypadku powodu, aby książkę tę przyjąć w kategoriach oczywistości, wspomniana sytuacja raczej zwiększa wagę pytań o czynniki spójności tego tomu oraz jego miejsce w dorobku autora.

Bliższe spojrzenie na *Monolog wewnętrzny* Telimeny odsłania nowe sensy dotychczasowych osiągnięć Michała Głowińskiego być może dlatego, że ślad, jaki czas odciska na każdym dziele, jest już wystarczająco głęboki, by życie badacza i dzieje paradygmatu badawczego, jaki reprezentował, ukazały się w odmiennym świetle. Nie warto dokonywać zbyt szczegółowych kalkulacji, bo nie łatwo wyznaczyć moment początkowy, ale gdyby pomiar rozpocząć w roku wydania jego pierwszej książki, to wynikiem obliczeń byłaby liczba czterdzieści pięć. Prawie pół wieku.

Michał Głowiński wykorzystał ten czas niezwykle produktywnie, co nie oznacza wszakże, że nie odczuł jego upływu. Nigdy nie było mu obce myślenie w kategoriach pokoleniowych, a mijające dekady utrwaliły w nim w pierwszym rzędzie uczucie wdzięczności dla generacji swych mistrzów: Kazimierza Budzyka, Renaty Mayenowej, Kazimierza Wyki, Czesława Zgorzelskiego, by poprzestać na zaledwie kilku nazwiskach. Pamięć o nich łączy się z szacunkiem dla kształtu humanistyki, który trzeba było za nimi podjąć jako własny, a który chciałoby się przekazać następcom. W ich liczbie są badacze o tak wielkiej renomie jak Jan Błoński lub Ryszard Nycz, a także całe rzesze polonistycznej młodzieży, do której w tych szkicach kierowane jest dość szczególne słowo – wyraz zaufania i nadziei, że ich twórcza praca będzie kontynuacją dzieła mistrzów.

Dzieląc się tymi emocjami autor *Dnia Ulissesa* wpisał się w konwencję tekstów rocznicowych i mów laureackich, ale w *Monologu* wewnętrznym Telimeny uwagi tego typu mają wydzwięk dość niezwykły, ponieważ sprawiają, że mało oczywistym staje się balans między świadomością własnego miejsca w dorobku uprawianej dziedziny, pozycją klasyka, a czysto ludzkim, egzystencjalnym wymiarem każdej myśli, jak się okazuje także naukowej. Czytelnicze przygotowanie do lektury starych poetów w małym stopniu przekłada się na doświadczenie książki starego nauczyciela i mając tego świadomość Michał Głowiński oswajał swoich czytelników z tym tematem. Warto wymienić dwa miejsca, gdzie wyrażony on został najdobitniej. Pierwsze z nich to esej *Starszy człowiek na przełomie wieków* z poprzedniego zbioru szkiców. Tekst to niezwykły, bowiem sięgając czasem po ton autoironiczny, z eseistycznego dystansu autor Stylów odbioru określa się w nim wobec przemian cywilizacyjnych. Drugie stanowią przerażająco celne fragmenty *Przemilczeń* i figur poświęcone starości, a zwłaszcza ten, w którym opisane zostały przemiany przestrzennego zasięgu

i wyobrażeń o własnych możliwościach zachodzące w perspektywie całego życia. I oba te tryby mówienia o starości pobrzmiewają w najnowszej książce Michała Głowińskiego, z tym że ironiczne nazywanie się „starszym panem” lub powoływanie się na swój wiek jako na przyczynę (pozornego) niezrozumienia pewnych zjawisk współczesności harmonizuje z eseistycznym tonem wypowiedzi. Uchu stałego czytelnika nie umknie jednak druga, gorzka nuta. Tu właśnie znany teoretyk literatury pozwala sobie na uwagę: „miałem kiedyś nadzieję, że napiszę o nim [Norwidzie] dużą książkę, ale już wiem, że nie napiszę”. Gdzie indziej zaś tłumaczy swoją decyzję o nie przystępowaniu do nowych prądów i grup następującymi słowami: „Muszę jednak szczerze wyznać, nie jest to już mój świat, nie widzę w nim miejsca dla siebie”. Cytowane urywki są szczeliną, przez którą prześwituje osobisty i intymny wymiar pracy badawczej historyka literatury skrupulatnie przysłaniany przez zwyczajowe „my” naukowego wywodu. Gest ujawnienia tego prywatnego zaplecza rozmów z literaturą i o literaturze nawiązuje na gruncie naukowym do znaku, jakim było w planie egzystencjalnym opublikowanie Czarnych sezonów.

Ów dialog z książkami ma swoich stałych dyskutantów – w Monologu wewnętrznym Telimeny Głowiński powraca do kilku starych znajomych i zaprasza nowych uczestników. Brakuje Berenta, Gombrowicza, pojawia się Huelle, Puzyna. Jest też studium ptasiego świata i analiza obecności mitu Akteona w wierszach Bolesława Leśmiana, jest interpretacja mało znanego wiersza Mirona Białoszewskiego, któremu wprowadzie profesor IBL-u nigdy nie poświęcił osobnej książki, ale twórczość tę komentował na bieżąco od samych jej początków. I nade wszystko jest szkic o Tuwimie. Waga tej wypowiedzi krytycznej jest nieoceniona, jeśli zważy się na fakt, że współtwórca Skamandra był bohaterem książkowego debiutu Michała Głowińskiego. Pisząc o nim z okazji pięćdziesiątej rocznicy śmierci badacz podsumowuje nie tylko ważną dla polskiej poezji twórczość i jej recepcję, ale także rzuca ogarniające spojrzenie na własną karierę naukową. Trudno nie odnieść wrażenia, że wnioski o nowatorstwie klasyka i niejednoznaczności ocen jego dorobku jako potwierdzeniach żywotności tej poezji to egzorcyzm czyniony przed groźbą popadnięcia w czyściec niepamięci, która dotyka nie tylko artystów.

Rozmowy o twórczości artystycznej przebiegają na tle rozważań o języku władzy. Nie tylko nowomowie, której dotyczyły opublikowane w wolnej Polsce zapiski, lecz także języku systemów totalitarnych. Szerzej rzecz ujmując nie chodzi wyłącznie o język ideologów i administracji publicznej, lecz o sposoby komunikowania się wobec instytucji państwa. Monolog wewnętrzny Telimeny nie zawiera szkicu bezpośrednio w tę tematykę zaangażowanego, jednak przeziiera ona spod wielu warstw tej książki – od biograficznych wspomnień, przez obiekty wobec terminu

literaturoznawstwo, aż po kwestię poetyki zwrotu do władcy w szkicu poświęconym pieśni Kochanowskiego. To, że tematyka ta pojawia się tu w węższym zakresie, zwłaszcza w zestawieniu z *Dniem Ulissesa*, że „marcowe gadanie” i *Dzienniki Klemperera* nie podlegają w tym tomie analizie, nie znaczy jeszcze, że niezwykle dar syntezy łapanych na gorąco lub znanych z cudzej relacji zmian w języku opuścił eseistę. Być może chwilowy odwrót od tych zagadnień oznacza dostrajanie aparatu obserwacyjnego do problematyki języka w społeczeństwie demokratycznym budującym kapitalistyczną gospodarkę.

Szczególnym jednak tematem tej książki jest poszukiwanie nazwy i miejsca uprawianej dyscypliny oraz własnego w nią wkładu. Z jednej strony realizuje się on jako biografia człowieka, który w akcie sprzeciwu wobec zideologizowanej krytyki marksistowskiej zwrócił się ku myśli rosyjskich formalistów oraz praskiej szkole strukturalnej, aby w ciągu kilkunastu lat zdobyć pozycję jednego z największych reprezentantów polskiego strukturalizmu, któremu udało się pogodzić systemowe myślenie z hermeneutycznym nastawieniem na jakości indywidualne. W *Monologu wewnętrznym* Telimeny ta opowieść jest relacjonowana z punktu, w którym jej dynamika wygasa – strukturalizm przestaje inspirować, nie powstają jego nowe odmiany, czołowi jego twórcy przystępują do rozliczeń.

Nie jest to wszakże książka wspominkowa, bowiem czas liczenia strat i zysków jest też momentem nagłym do obrony osiągnięć wybranego w młodości paradygmatu. Michał Głowiński z niepokojem obserwuje pojawianie się w humanistyce trendów, które zezwalają na traktowanie dzieła literackiego jako zaledwie pretekstu dla rozważań pseudofilozoficznych. W dowolności traktowania literatury widzi zagrożenie dla kategorii tekstu, która dla strukturalistów stanowi pojęcie fundamentalne, na którym zbudowane zostały metody analityczne właściwe wiedzy o literaturze, które zagwarantowało jej autonomię wśród innych dyscyplin, a dla innych dziedzin, szczególnie historii, mogło stanowić istotne wsparcie. Tracąc z oczu tekst, jako podstawowy przedmiot swego zainteresowania, wiedza o literaturze stanie się „ubogą krewną” filozofii, antropologii, socjologii, czy szeroko pojętej nauki o kulturze. Rodzajem poligonu, na którym myślenie o tekście zostało zepchnięte do odwrotu, stała się w Polsce teoria dramatu i służy ona za przykład destrukcyjnych własności metodologii pomijających tę kategorię, gdyż bez niej wiedza o sztuce dramatycznej stanęła w miejscu i jej uwiad staje się już na tyle widoczny, że podnoszą się głosy domagające się powrotu do ujęcia bardziej tradycyjnego. Diagnozy te Michał Głowiński stawia z pozycji człowieka przychylnego zmianom, nie godzącego się jednak na zmarnotrawienie dotychczasowych osiągnięć pracy nie tylko własnej.

Tę ideową deklarację ilustruje szereg niezwykle instruktywnych, często błyskotliwych analiz konkretnych utworów, które sprawy metodologiczne i ogólne łączą z kwestiami odrębności i indywidualności dzieł literackich. Zachowanie proporcji między poetyką, systemowością a wiernością wobec tekstu gwarantuje swego rodzaju odporność na teoretycznoliterackie nowinki, bowiem nadaje trybowi interpretacyjnemu wystarczająco giętki kręgosłup, by nie załamał się pod ciężarem dzieł o nowatorskiej strukturze formalnej i ideowej i nie musiał się posiłkować obcymi elementami.

Niezwykle symptomatycznym wyrazem wierności wobec tekstu jest szkic poświęcony wierszowi Wisławy Szymborskiej *Ze wspomnień*. Jego wyjątkowość polega na tym, że badacz przyznaje się w nim wprost do braku odpowiedzi na pytanie o najbardziej fundamentalny sens utworu. Mimo tego podejmuje trud lektury w przekonaniu, że wysiłek zostanie nagrodzony. Niestety udaje mu się jedynie wskazać potencjalne drogi poszukiwania znaczenia wiersza. Jeśli coś tu dziwi to przekonanie o wyjątkowości omawianego utworu nie oparte przecież o racjonalne przesłanki, lecz o uczucie obcowania z dziełem niezwykłym. Wielki badacz nie wstydzi się tu pokazać pustych rąk – jeszcze nie został nagrodzony – ale wobec czytelnika naiwnego, swego stałego towarzysza, staje w pełnej świadomości, że uczucie, któremu zdarza się łączyć ich obu, jemu czasem udaje się zrealizować w pełni. Może właśnie ten esej – raport z niezakończonej próby poszukiwania sensu – jest figurą całej pracy Pana Profesora Michała Głowińskiego, wierności klerka, miłości do literatury.

Monolog wewnętrzny *Telimeny* i inne szkice to książka mocno osadzona w dotychczasowym dorobku autora, a nowe akcenty i zmiany tonacji nadają jej kształt spójnego projektu wymierzonego w przyszłość nauki o literaturze. Gesty podsumowujące jedynie wzmacniają odczucie, że nie można przejść obojętnie koło fundamentalnych pytań o miejsce uprawianej dyscypliny.

Wojciech Gruchała

Michał Głowiński, *Monolog wewnętrzny Telimeny i inne szkice*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007

Anna Nasiłowska

Postkolonializm bez kolonii

Gdyby dorobek krytyczno-naukowy Aleksandra Fiuta ograniczał się jedynie do prac poświęconych Czesławowi Miłoszowi, wystarczyłoby to, aby uznać

go za ważnego badacza literatury polskiej. Tymczasem od lat dziewięćdziesiątych kolejne książki Aleksandra Fiuta układają się w nową serię, którą zapoczątkowały szkice z tomu *Pytania o tożsamość* (1995), a rozwinęły studia z kolejnej książki zatytułowanej *Być (albo nie być) Środkowoeuropejczykiem*. Najpierw były więc problemy tożsamości i wahania, teraz – logicznie – przyszła kolej na *Spotkania z Innym* (2006). Twórczość Czesława Miłosza jest w tych nowych książkach wciąż przywoływana, ale o tyle, o ile na jej podstawie można rozwinąć poruszane w kolejnych szkicach problemy i nie stanowi głównego przedmiotu badań.

Literackie eseje Fiuta dowodzą nie tylko perfekcji interpretacyjnej; ich zasadniczym walorem jest wprowadzanie nowych kontekstów. Za to wolne są od publicystycznych wycieczek i polemik. Dobrze to świadczy o badawczej wnikliwości, ale czasami szkoda, bo poruszane problemy należą do kluczowych. Mamy więc do czynienia z precyzyjnymi diagnozami, które powinny by wpłynąć na dyskurs sfery publicznej, ale raczej nie mają szans – są zbyt rzetelne, jak najdalsze od haseł i sensacji.

Od wielu lat w zachodniej humanistyce poważnym terenem badawczym są tak zwane studia postkolonialne. Obok feminizmu czy studiów kulturowych stanowią one dowód uwrażliwienia na problemy dominacji; trudno sobie wyobrazić demokratyczną świadomość, która zamykałaby się na tego typu problematykę. Stanowi ona pewną część samokrytycznej świadomości kulturowej Zachodu, taką samą jak reagowanie na przejawy dyskryminacji w wielokulturowym społeczeństwie. Tym bardziej, że w okresie postępującej globalizacji pojawiają się nowe wyzwania, związane z technologiczną łatwością przekazu informacji, co nie zawsze oznaczać może szansę równomiernego rozwoju i łagodzenia różnic. Uwaga zachodnich badaczy przyjmujących postkolonialną perspektywę koncentruje się przede wszystkim na relacjach *Pierwszy Świat – Trzeci Świat*.

W polskiej humanistyce nie zawsze ten punkt widzenia jest doceniany, czasem – spotyka się wręcz z nieufnością. A hasło: „postkolonializm” przeważnie wywołuje lekceważący uśmiech i wzruszenie ramion: „przecież nie mieliśmy kolonii”... Zachodnia świadomość samokrytyczna dość często wydaje się wobec świeżej demokracji przesadna lub skażona lewicową naiwnością. Możliwość zastosowania wypracowanej na gruncie studiów postkolonialnych terminologii do literatury polskiej zauważyła bodajże jako pierwsza badaczka amerykańska i wybitna tłumaczka polskiej poezji Claire Cavanagh w artykule opublikowanym na łamach „Tekstów Drugich” w 2003 roku. Było

to zaledwie szkicowe zarysowanie możliwych pól badawczych, zwracające uwagę na to, że kultura polska należy do umownego obszaru tzw. „drugiego świata”, który ma swoją wyraźną specyfikę, na którą składa się zarówno doświadczenie dominacji, jak i obrony przed cudzą ekspansją. Z jednej strony – kultura polska w dawnych wiekach dokonywała ekspansji, głównie na wschód, z drugiej – musiała się bronić przed zakusami Imperium i zachować swoją specyfikę wobec różnorodnych wpływów. To bardzo ciekawa sytuacja, powodująca szczególne uwrażliwienie na przejawy dominacji, zapisane w historii ślady podbojów i niszczenia innych kultur w poczuciu cywilizacyjnej misji czy wyższości wobec tego, co zastane. Od dawna zachodni badacze twórczości Josepha Conrada podkreślali, że świadomość polskiego kontekstu stanowi u niego rodzaj szczepionki na imperialne zakusy brytyjskie.

Książkę Aleksandra Fiuta otwiera szkic o Conradzie, sprawozdawczy i stawiający pytania. Materiału do zasadniczych rozpoznań dostarcza jednakże twórczość Iwaszkiewicza, Gombrowicza, Miłosza, czy Schulza. Trudno jednoznacznie powiedzieć, czy postkolonialna perspektywa rzeczywiście tak wiele zmienia, z całą pewnością jest odświeżająca, gdyż na przykład pozwala na uwolnienie się od mitologii, którą obrosła literatura wokół tematów kresowych. Dość długo, co najmniej od połowy lat siedemdziesiątych, mówiło się o obszarach krzyżowania się kultur jako o szczególnie płodnych, sprzyjających wzajemnej tolerancji, a nawet – kształtujących szczególny typ człowieka, mieszańca, całkowicie odpornego na pokusy szowinizmu. Ten mit był widać potrzebny, skoro nie zdołało nim zachwiać nawet to, że jaskrawo rozmiął się na przykład z obrazem rozpętanych konfliktów i namiętności narodowych, obecnym w prozie Odojewskiego.

Wpisanie problematyki trans-kulturowej, w naturalny sposób w literaturze polskiej obecnej, w pewną generalną perspektywę, związaną z „drugim światem”, pokazuje że analogii wobec naszych doświadczeń powinniśmy szukać na Bałkanach czy u sąsiadów, a wtedy wyraźniej widać naszą specyfikę polityczną, ograniczenia mentalności i próby ich przewyciężenia. Kultura polska nie rozwijała się w izolacji, wręcz przeciwnie, jesteśmy już jakoś przygotowani na doświadczenie Innego. Najważniejsze okazuje się jednak uwzględnienie punktu widzenia ukraińskiego, czy litewskiego. W obszernym szkicu poświęconym Iwaszkiewiczowi Aleksander Fiut systematycznie zaznacza wyłaniające się rozbieżności między badaczami ukraińskimi a przyjmującymi polską perspektywę w ocenie poszczególnych faktów historycznych. To oczywiste, że proza Iwaszkiewicza jest mocno związana z Ukrainą, ale – jak się okazuje po drobiazgowej analizie – Ukraińcy sprowadzeni są do

malowniczego stereotypu, stają się tłem. Autentyczne napięcia rozgrywają się tu przede wszystkim między Polakami a Rosjanami, przy czym ci pierwsi przeważnie reprezentują młodzieńczą naiwność, drudzy – mają w sobie pociągającą, choć dwuznaczną siłę. Taki przebieg konfliktu być może uwarunkowany był w pewnym stopniu ograniczeniami cenzuralnymi, ale nie tylko. Także klasowe podłoże różnic sprawia, że brak tu wspólnej płaszczyzny, tym bardziej że w pisarstwie Iwaszkiewicza modernistyczny estetyzm dominuje nad obrazem historii. Jeśli szuka się u Iwaszkiewicza „ukraińskości” – to okazuje się, że jego proza jest przede wszystkim świadectwem kłopotów z jej postrzeganiem. Co trzeba potraktować jako rzetelne rozpoznanie i kulturową diagnozę odzwierciedlającą „młodość” Ukrainy, a nie – ocenę.

Najbardziej odkrywcze wydają się inne partie książki Fiuta – poświęcone światowej recepcji Schulza, czy argentyńskim obserwacjom Gombrowicza. Trudniej je za to przełożyć na historyczno-polityczny konkret i tak naprawdę dowodzą one, że zamknięcie w ramach jednej kultury czy języka było w XX wieku niemożliwe. Literatura polska oswajała też Amerykę i kpiła zarówno z własnych stereotypów jak i z pop-kulturowych klisz – temu poświęcone są partie książki dotyczące literatury najnowszej.

Jedną z ostatnich książek Ryszarda Kapuścińskiego był zbiór esejów i wykładów zatytułowany *Ten Inny*. Problematyka ta staje się niezwykle ważna – XXI wiek okazuje się czasem masowych podróży, globalnej gospodarki i nowych konfliktów, nie koniecznie z sąsiadami, którzy zawsze są jakoś „rozpoznani”, choćby sprowadzało się to do stereotypu. „Inny” to przede wszystkim kategoria moralna, respekt dla inności stanowi warunek zbliżenia i zrozumienia.

O ile u Aleksandra Fiuta problematyka inności wpisana jest w literaturę, to dla Kapuścińskiego była ona przede wszystkim punktem wyjścia do rozważań filozoficznych i kulturowych. „Inność” u Kapuścińskiego, napotkana w podróży, doświadczana przede wszystkim w Afryce miała charakter bardziej radykalny niż w większości polskich utworów z nurtu kresowego: była to widoczna na pierwszy rzut oka różnica ras. To Kapuściński był w wielu miejscach „innym”, białym, przybyszem, obserwatorem, a jego życie miało zależeć od zaufania, jakie udało mu się pozyskać.

Kapuściński w pewnym momencie stawia tezę, która brzmi zdumiewająco, wbrew temu, czego uczyła nas przez lata literacka mitologia: warunkiem tolerancji dla inności jest dobre poczucie własnej tożsamości, pewność, brak kompleksów. Zapewne teza ta pokazuje ukryty związek między Pytaniem o tożsamość Fiuta a książką najnowszą, choć sam problem nie staje

się przedmiotem rozważań. W Spotkaniach z Innym zabrakło też szkicu

o Kapuścińskim – co wobec formuły zbioru esejów, jaki przybrała książka,

nie jest oczywiście zarzutem, a raczej pokazuje kolejne pole badawcze, które otwiera

się dzięki zarysowanej w ten sposób perspektywie.

Anna Nasiłowska

Noty o książkach

✱

Nowy polski przekład Księgi Koheleta, a więc radość, bo dobrze jest obcować z księgą, która uchodzi za „kwintesencję człowieczej mądrości, będącej zarówno skutkiem wszechstronnego doświadczenia, jak i głębokiej refleksji nad kondycją ludzką i kolejami dziejów świata”, co przypomina we wstępie tłumacz rabin Sacha Pecaric, którego kolejne cenne przekłady Biblii omawiamy na łamach „Kwartalnika Artystycznego”. Od Koheleta, czyli Szlomy/Salomona dowiadujemy się, jaki jest sens życia człowieka na ziemi i wątplię, a w głębi serca jestem tego pewien, żeby ktoś znalazł gdzie indziej coś mądrzejszego. Jest to dla mnie bardzo bliska Księga, w łączności z którą czytam i interpretuję dzieło Becketta, którego różni postimpresjonistyczni interpretatorzy zaszukali jako pesymistę i ateistę, w najlepszym razie agnostyka. „Księga Koheleta uchodzi niesłusznie za dzieło głębokiego pesymizmu. Można ją odczytać w ten sposób jedynie wówczas, gdy porzuci się perspektywę religijną. (...)” – mówi rabin Pecaric i podobnie, moim zdaniem, jest z Beckettem – Księga Koheleta jest księgą mądrości, a nie pesymizmu.

Pecaric proponuje w swoim przekładzie nową w polszczyźnie interpretację głównych słów tej księgi: hawel hawalim, jako „daremną ulotność”. „Marność bowiem zawiera w sobie jednoznaczny element negatywnej oceny, skoro jej synonimami są bezwartościowość, złuda, urojenie, a nawet nicość. Można by rzec, że «marność» stanowi zanegowanie naszego świata. Słowo hawel, użyte przez Koheleta, ma zaś charakter raczej opisowy i jest bardziej punktem wyjścia, niż punktem dojścia jego refleksji. Bo istotnie na hawel nic nie można poradzić, dotyczy to wszystkich razem i każdego z osobna – a przecież choć kres doczesnego życia jest dla wszystkich taki sam, to bilans tego życia bywa bardzo różny. I to Kohelet stara się przeniknąć umysłem – jak mimo hawel człowiek ma osiągnąć szczęście, gdzie ono mieszka, jak na hawel zareagować” – wyjaśnia rabin Pecaric. Wspomina, że Czesław Miłosz dwie trzecie przedmowy do swojego przekładu Księgi Koheleta poświęcił zagadnieniu hawel hawalim/vanitas vanitatum czyli „marności nad marnościami”, które jest tu rzeczywiście problemem węzłowym.

Nowemu przekładowi towarzyszy obszerny i bardzo pomocny w lepszym zrozumieniu Księgi komentarz autorstwa rawa Nissima Mosze

Abota, noszący tytuł Meam loez („spośród ludu obcej mowy”, psalm 114), oparty na wcześniejszych źródłach rabinicznych – dla wielu pokaże on „nowego” Koheleta. „Księga Koheleta gromadzi w sobie blask pozostałych ksiąg Biblii Hebrajskiej, jednocześnie rzucając na nie swoje własne światło. Dlatego tak dużo w Meam loez odniesień do Tory, Newiim i Ketuwim, a także do Talmudu, dzięki czemu widać, jak spójną intelektualną i duchową sieć tworzą wszystkie te księgi. Meam loez – komentarz gęsty i lakonicznie ujmujący swe idee, inkrustowany jest wieloma dłuższymi przypowieściami, które w inny, bardziej metaforyczny sposób ukazują głębię myśli Koheleta”, mówi rabin Pecaric, a my korzystajmy z tego i obcujmy z Księgą, która jest darem nieocenionym.

K.M.

Księga Koheleta wraz z komentarzem Meam loez, tłumaczył rabin Sacha Pecaric, Stowarzyszenie Pardes, Kraków 2007



Znane są książki o proroku Jonaszu i jego przedziwnej historii – na przykład prozy Camusa, Brandstaettera, Frossarda; znane są sławne egzegezy tej księgi – na przykład świętego Hieronima. Teraz dostajemy jej nowy polski przekład autorstwa rabina Sachy Pecarica w serii jego biblijnych przekładów „Tora Pardes”.

Jonasz, czyli Každy. Historia upartego proroka, który sprzeciwił się Bogu, jest bardzo krótka, bo liczy tylko trzy czy cztery strony i może dlatego jest tak wyrazista; niektóre elementy powtarzają się w niej dwa razy i znamy ją prawie na pamięć. Wszystko kończy się dobrze: cudownie ocalony Jonasz wypełnia swoje zadanie, a Niniwa zostaje uratowana. Tę księgę czyta się w synagogach w Jom Kipur – najbardziej dramatyczny dzień roku, gdy, według tradycji, ważą się losy człowieka. Motyw teszuwy (skruchy i pokuty) jest w Księdze Jony bardzo ważny, bo przypomina o skuteczności skruchy i pokuty. Jest to bardzo krótka, ale i bardzo trudna lekcja. Egzegeza tej księgi może być dokonana z perspektywy historycznej, psychologicznej, symbolicznej i mistycznej, a także egzystencjalnej i trzeba ją czytać bardzo uważnie. Na przykład występują w niej dwa imiona Boga: imię Elokim, zapisywane w wydawnictwach Stowarzyszenia Pardes jako „Bóg”, oznaczające atrybut sprawiedliwości i imię Haszem, zapisywane jako „Bóg” i oznaczające atrybut miłosier-

dzia i od tego rozróżnienia zależy kontekst i interpretacja. Występujące w księdze, wyznaczone przez Boga: ryba, rycynus, czerw i wiatr reprezentują żywioły: ryba – wodę, rycynus – ziemię, wiatr – powietrze, a także ogień. Jak piszą we wprowadzeniu Lidia Kośka i rabin Sacha Pecaric: „Księga Jony jest opowieścią wewnętrzną, rozgrywającą się w środku ego, a podróż Jony – oczywiście «podróżą wewnętrzną». To dlatego jego jedynym realnym partnerem jest w niej Bóg. (...) Postać Jony jest alegorią duszy. Może dziwić niektórych, że w Jom Kipur, najświętszy dzień w roku, czyta się w synagogach historię o nieżydowskim mieście. Lecz w istocie jest ona opowieścią o duszy, dla której ciało, do którego ona «wchodzi» (jak Jona do Niniwy), jest obce, pełne pokus, «pogańskie». Jeśli uznamy, że Jona jest duszą, znaczy to, że bohaterem tej książki jest Każdy – każdy z nas. (...) dzieje Jony są dziejami duszy przechodzącej gilgul – kolejne etapy wcielenia”.

Jonasz dostaje od Boga trzy lekcje: lekcję burzy, lekcję ryby i lekcję rycynusa. Wszystko rozgrywa się na progu życia i śmierci. Księga opowiada o śmierci, która się nie zdarzyła – tak w przypadku Jonasza jak i Niniwy, mówi więc o tryumfie życia: „Wyplucie przez rybę jest w przypadku Jony alegorią powtórnych narodzin. Ryba jest więc zjednoczonym symbolem grobu, śmierci, ale także łona (jej symbolika związana jest również z płodnością) i arki. Można by również powiedzieć, że jest ona symbolem pewnego stanu – zawieszenia, wstrzymania, w którym człowiek, mocą refleksji, modlitwy i teszuwy, może uczynić z «grob» i «śmierci» – «łono» i «arkę»” – woda symbolizuje Torę. Wezwanie Boga do Jonasza: „Idź i wracaj” jest wezwaniem dla każdego z nas. Głównym problemem jest to, jak na nie odpowiadamy.

Przekładowi rabina Pecarica towarzyszą obszerne komentarze oraz gramatyczne i lingwistyczne analizy zaczerpnięte z Rasziego, Pirkej derabi Eliezer, Ibn Ery, Radaka, gaona z Wilna i wielu innych klasycznych dzieł judaizmu, wyjaśniające alegoryczne, mistyczne i ludzkie sensy tej wielkiej Księgi.

K.M.

Księga Jony z tradycyjnymi żydowskimi komentarzami, tłumaczenie Sefer Jona rabin Sacha Pecaric, Stowarzyszenie Pardes, Kraków 2007

Drugi tom monumentalnego Komentarza do Księgi Hioba św. Grzegorza Wielkiego (tom pierwszy omówiliśmy w „Kwartalniku Artystycznym” 2006 nr 3–4) prowadzi nas dalej w głębokie tajemnice tej świętej księgi. Jest to solidna egzegeza bez zawilości, nie ma zaciemnień i niejasności; słowa Hioba i jego przyjaciół rozważane są w sensie mistycznym i w sensie moralnym – nic więcej z jakiegokolwiek tekstu wywieść nie można.

W pięciu księgach omówione są rozdziały od piątego do dwunastego (cała Księga Hioba ma czterdzieści dwa rozdziały). Na początku Grzegorz wyjaśnia, kto jest, a kto nie jest głupcem i od czego to zależy („Nic na ziemi nie dzieje się bez przyczyny” (Hi 5,6)). Ludzie nie widzą cudów, które codziennie dzieją się wokół nich, bo stracili wrażliwość i „za sprawą przyzwyczajenia przestają być skłonni do podziwu”. A przecież obcowanie ze Słowem Bożym to jest obcowanie z Bogiem – czyż może być coś bardziej cudownego i realnego jednocześnie?

Istnieją dwie drogi życia, którymi posługuje się umysł: czynna i kontemplacyjna. Na świecie są rzeczy wyższe i rzeczy niższe, rzeczy wzniosłe i „głupie gadanie ziemskich ludzi”, które cały czas natrętnie wciska się do naszych uszu rodząc w sercu wojnę pokus – dobrze to znamy z własnego doświadczenia. Jest pragnienie rzeczy wzniosłych i jest głupota w rzeczach najniższych: „Czy może ktoś skosztować to, co po skosztowaniu powoduje śmierć?” (Hi 6,6). Ci, co odrzucają rzeczy wzniosłe, a kierują się do rzeczy niskich i najniższych – „Chodzić będą w próżni i zginą” (Hi 6,18). To są sprawy jasne: „Gdy przemijający majątek jest chroniony nieustanną zapobiegliwością, rozprasza się poczęte w duchu słowo Bożej nauki, ponieważ zgodnie z wypowiedzią samej Prawdy, ciernie zagłuszają kielkujące ziarno, kiedy natrętnie troski o rzeczy ziemskie przepędzają z pamięci słowo Boże. Opieszalym krokiem chodzą więc w sieci tacy, którzy nie porzuciwszy jeszcze świata w sposób doskonały, krocząc, sami się krępują, aby nie mogli kroczyć naprzód”, mówi Grzegorz i powtarza to w różny sposób. Wiele zła i grzechów przydarza się za sprawą języka; złe duchy mają wielkie pole do popisu. Większość ludzi żyje w gadulstwie, wypowiada próżne słowa, czyli takie, którym brakuje uzasadnienia sprawiedliwej konieczności lub pożytecznej i uczciwej intencji. Dlatego tak bardzo trzeba być powściągliwym w mówieniu i w pisaniu. Obłudnicy (nieprawi) odciągają nas od tego. Grzegorz pisze o tym, jak postępują – są to ludzie przewrotni i zawsze działają na zgubę swoich naśladowców (warto to wiedzieć i warto o tym pamiętać!). Trzeba budować mieszkanie dla ducha, a nie wznosić spiętrzone konstrukcje dla własnej chwały i wygody.

Jest świat widzialny i jest świat niewidzialny: piękny jest świat widzialny, ale „nieporównanie piękniejsze jest to, co się w niewidzialny sposób osiąga”, mówi Grzegorz. Wewnętrzny człowiek jest jak glina i bardzo ważne jest to, kto i co wewnątrz go lepi i kształtuje. Duchowi prawie nieustannie zagrażają popędy cielesne, grzechy i kuszenia, a „To, co się wcześniej popełniło w ciele, potem za sprawą

natrętniej myśli powraca w duchu". Złe duchy i demony uwijają się jak w ukropie! Krótko jest przyjemnie i zaraz następuje koniec żałosny i tragiczny: „jak wielki będzie ogień potępienia, jaka ciemność w ogniu, jaki lęk w ciemności” – mówi święty Grzegorz.

W księdze dziesiątej jest mowa m.in. o różności Prawa Bożego, o Bogu, który jest miłością, i znowu o pokusach, o grzechach, o łasce i o mądrości tego świata. Gdy czyta się taką książkę jak *Moralia*, to się myśli: czy warto czytać książki, które są z nią w jawnej sprzeczności?

K.M.

Święty Grzegorz Wielki, *Moralia*. Komentarz do Księgi Hioba, tom 2, Księgi VI–X, przekład: Katarzyna Nastał, ks. Ludwik Gładyszewski, Andrzej Wójcik, Elwira Buszewicz, opracowanie: Leon Nieścior OMI, seria ródła monastyczne 41, Starożytność 28, TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2006



Wydawnictwo Ossolineum przedstawia obszerny wybór poetyckich tłumaczeń Juliana Tuwima, znakomite dopełnienie jego poezji: to jakby dwie strony tego samego medalu i dobrze jest analizować i interpretować wiersze Tuwima w łączności z jego translatorskimi dokonaniem. W 1911 roku napisał pierwsze wiersze i ogłosił pierwsze przekłady (z języka polskiego na esperanto) i tak już było do końca jego drogi twórczej: przekłady towarzyszyły wierszom, a wiersze przekadom. Większość tłumaczeń jest z języka rosyjskiego, który Tuwim znał świetnie, tak jak i literaturę rosyjską, do której miał bardzo emocjonalny stosunek – jest tu cała *Lutnia Puszkina*, a także tłumaczenia między innymi Lermontowa, Tiutczewa, Niekrasowa, Błoka, Pasternaka i Majakowskiego. Są i przekłady z innych języków, na przykład wierszy Horacego, Heinego, Rimbauda i Maeterlincka. Tuwim był przekonany o wysokim powołaniu i obowiązkach poety i był przekonany o wysokim powołaniu i obowiązkach tłumacza, co w przypadku wybitnego poety i wybitnego tłumacza jest czymś naturalnym i oczywistym.

M.W.

Julian Tuwim, *Tłumaczenia poetyckie, wybór dzieł w opracowaniu Tadeusza Januszewskiego*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 2006



333 według Stanisława Barańczaka najsławniejsze okazy angielskiej i amerykańskiej poezji niepoważnej, a wśród autorów między innymi Shakespeare (fragmenty m.in. z *Króla Leara*, *Snu nocy letniej*, *Romea i Julii*, *Zimowej opowieści i Burzy*), John Donne, lord Byron, Lewis Carroll, Mark Twain,

A.A. Milne, Ezra Pound, Vladimir Nabokov, W.H. Auden, Philip Larkin, a nawet John Lennon i Paul McCartney. Razem osiemdziesięciu dwóch autorów, a także wiersze i piosenki anonimowe. Błyski humoru wierszowanego Anglii i Ameryki Północnej, specyficzny skrót historii niepowagi i poezji niepoważnej w angielskim obszarze językowym. Obserwujemy ciągłość tej tradycji: przyglądamy się malapropizmom Shakespeare'a, czytamy poezję nonsensu (humor purnonsensowy), limeryki, fraszki, różnej długości i jakości wiersze i wierszyki. Jak mówi tłumacz, są to raczej wolne przekłady, parafrazy, wariacje na kanwie oryginału i obok tej kanwy, a cel jest taki, żeby u czytelników wzbudzić śmiech albo choćby tylko uśmiech; tłumacz sądzi, że czytelnik czytając te teksty uśmiechnie się trzysta trzydzieści trzy razy i daj Boże, żeby tak było. Utwory ułożone są nie w porządku chronologiczno-alfabetycznym, ale tematycznie, podzielone na dwadzieścia działów, co nadaje książce spójność i dramaturgię. Całość zdobi ekscentryczna okładka Eugeniusza Geta-Stankiewicza, jest więc tu razem sporo humoru, komizmu i dobrej zabawy.

M.W.

Stanisław Barańczak, *Fioletowa krowa*. 333 najślawniejsze okazy angielskiej i amerykańskiej poezji niepoważnej. Antologia, Biblioteka poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, Wydawnictwo a5, Kraków 2007



Tajemne przejścia. Myślę tu o przejściach w podwójnym znaczeniu tego słowa: o przeżyciach i o połączeniach. Poezja jest zapisem tych pierwszych i odkrywaniem tych drugich. Jest opowiadaniem o doznaniach i wydarzeniach, które składają się na obraz świata człowieka, ale jest też narracją o relacjach łączących różne sfery i obszary doświadczenia. A tajemne? To znaczy takie, które dotąd nie były nam znane, choć istniały zapewne zawsze, lecz dotąd nie było nikogo, kto by mógł tak doznawać i po takich ścieżkach się poruszać.

Kimś takim może być debiutant, który od początku proponuje nam swoje widzenie świata – inne od tego, jakie znamy, osobliwe, na wskroś własne. Taką też debiutantką jest Krystyna Dąbrowska, której zbiór *Biuro podróży* czytałem z rosnącym z wiersza na wiersz zainteresowaniem: dokąd teraz? Co się zaraz wydarzy? Jak to się rozwinie? To satysfakcja z istnienia wierszy, które od razu przykuwają uwagę i wciągają w nieznaną mi dotąd obszar rzeczywistości, w nieznaną mi dotąd logikę następstwa obrazów.

Ta właśnie logika stanowi najbardziej istotną cechę tej poezji. To logika zaskoczenia, przy czym jest to zaskoczenie wykalkulowane, dla którego punktem wyjścia, jak w wierszu Tego dnia nie starczyło piasku, jest bezstronna, obiektywna konstatacja:

Tego dnia nie starczyło piasku
Na wysypanie oblodzonych ulic

Nic niezwykłego, sytuacja raczej typowa. Ale konsekwencje już niebanalne:

Starzy ludzie rozbijali klepsydry
Emigranci, upadając co chwila na swoich zdartych żelówkach
Wytrząsali z woreczków garstki rodzinnej ziemi.

I tak dalej: Dąbrowska tworzy tu sytuacje tyleż oczywiste, co absurdalne, sprawiając, iż wiersz w swej warstwie znaczeniowej staje się coraz bardziej wieloznaczny. Dzieje się tak dlatego, że konstruuje autorka kolejne – tyleż „realistyczne”, co zaskakujące – akcje mające przeciwdziałać ślizgawicy: rozsypywanie piasku z klepsydry itd. Wyjściowa sytuacja staje się z opisu okoliczności alegorią. Ale alegorią czego? Nie do końca wiadomo, tym bardziej że i końca nie ma: w poincie utworu, w którym starannie stosowane są znaki przestankowe, brak zamykającej zdanie kropki:

A tam – łyżwiarz? Ciemna figura szusuje po bruzdach i muldach
jak po gładkim jeziorze

Ten chwyt – otwierający jakieś „dalsze ciągi” narracji – powtarzany jest na tyle często, by stać się jednym ze znaków rozpoznawczych tej poezji. Takie „otwarcie” utworu wydaje się oczywiste we współczesnej poezji od momentu, w którym rezygnuje ona ze stosowania znaków przestankowych, jednakże nabiera dodatkowych znaczeń wówczas, gdy znaki te w wierszu stosowane są konsekwentnie, rezygnuje się zaś z nich tylko w pewnych okolicznościach, jak w utworze Czarne poletka zagrabione, w którym wszakże rytm zdania wyznaczają wielkie litery – tu zresztą mamy do czynienia przede wszystkim z równoważnikami zdań budującymi swoistą wyliczankę określającą kształty fryzur: owe „czarne poletka zagrabione” stanowiące „sprężyny zegarów”, dzięki którym można się przekonać, że:

Płynie przez miasto czas zakłęty
W supły i pierścienie
Namaszczony woskiem, powleczoney szkliwem
Ozdobne kołatki kołaczą

Do surowych świątyn

Dopiero po chwili uzmysławiam sobie o jakie to świątynie chodzi: o świątynie głów. Oto ornament, jakim jest fryzura, podkreśla znaczenie tego, co zdobione. Jak pisał Gadamer: „Ozdoba, ornament (...) są w takim sensie reprezentujące, jak reprezentujący jest sam kościół, w którym je umieszczono”. Ma to swoje konsekwencje dla całego tego tomu: wiersze Dąbrowskiej wszak także są owego rodzaju „ornamentami”. Więcej: w ogóle wiersze są takimi „ornamentami” reprezentującymi nasze myślenie.

To myślenie nakazuje poszukiwanie nowych, nieznanych dotąd punktów widzenia, perspektyw, wcieleń. Tak jest choćby w tytułowym, zamykającym tom utworze Biuro podróży, w którym udaje się autorce wskazać tajemne właściwości poezji organizującej umarłym „przeloty do snów żywych”.

bo chociaż nie mam wstępu ani do świata zmarłych
ani do cudzych snów
dzięki mnie się spotykają

Cała niezwykłość tych krótkich narracji polega przede wszystkim na tym, że zanurzone w codzienności, przenoszą nas w niezwykłość. To właśnie owa logika niewielkich czasem – a czasem, owszem, godnych surrealistów – przesunięć znaczeniowych wywołanych przez bezlitosną konsekwencję języka nie liczącego się z powszechnym doświadczeniem, przekraczającego jego ograniczenia, jak wówczas, gdy mowa o rozsypaniu na lodzie piasku z klepsydr czy, jak w wierszu Parterowe okna:

podkoszulek
na klamce otwartego okna –
zaczął się dziś rano kiedy przechodziłam
a teraz gdy wracam tli się jeszcze

Zapewne: logika zdania pozwala użyć dowolnych czasowników. Tekst jest zbudowany, z punktu widzenia gramatyki, poprawnie i zwyczajnie. Ale ta zwyczajność uruchamia niezwykłość, jak choćby w tej relacji: „myje okna u starej kobiety i wyskakuje przez nie do ogrodu”. Tak jawi się niecodziennosc codzienności, którą nasycony jest świat wierszy Dąbrowskiej. I tak – co było do okazania – z naszego świata przedostajemy się owymi tajnymi przejściami języka w inne, cały czas obecne i nieustannie nas otaczające światy. Każda rzecz istnieje tu wielorako i czeka na to, by ją wyrażać wciąż na nowo, zawsze inaczej. By nadać jej istnieniu sens, który w biegu spraw powszednich nie zawsze bywa rozpoznawalny.

Ten tom jest zapisem wrażliwości i spostrzegawczości. Umie Dąbrowska dostrzec i pozornie beznamiętnie zrelacjonować małe dramaty powszedniego bytowania, ale zarazem potrafi skupić się na detalu i pochwycić jego codzienną niecodzienność, jak w wierszu *Kobiety o oczach jak ścinki*, gdy zauważa, iż owe kobiety „noszą męskie koszule starannie rozchełstane”. To wszystko sprawia, że czyta się te utwory z uwagą. W poezji tej króluje konkret, nie ma pojęć ogólnych, ale poetycka dykcja Dąbrowskiej sprawia, że ów konkret nabiera cech symbolicznych: tak dzieje się choćby wtedy, gdy mowa o wyskakiwaniu przez myte u starej kobiety okna do ogrodu. Jaki to ogród? Ale też kim naprawdę jest ów łyżwiarz – domysłny, bo witany znakiem zapytania – pojawiający się w wierszu *Tego dnia nie starczyło piasku*?

Przy czym uderza rygoryzm poetyckiej narracji, najlepiej chyba widoczny w wierszu *Pozowali za marne pieniądze* opowiadającym o modelach w pracowni plastycznej. Ale jest to rygoryzm specyficzny – rygoryzm empatii, zrozumienia i porozumienia, nawet bez słów, najdobitniej dochodzący do głosu w takich wierszach jak *Pani F.* czy w tytułowym utworze zbioru. Docieranie do innych, do ich odczuć, próba zrozumienia sensu ich przeżyć i doświadczeń to z pewnością najważniejszy problem tej liryki. I tu właśnie pojawiają się znów owe tajemne przejścia: od człowieka do człowieka, owe nie do końca jasne relacje łączące ludzi i pozwalające im się – choć to przecież niemożliwe – wzajemnie rozumieć.

L.Sz.

Krystyna Dąbrowska, *Biuro podróży*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2006



Błyski Eliasa Canettiego (1905–1994) z lat 1973–1985 to ten nurt jego pisarstwa, który lubię i cenię. Szczególną uwagę zwracam na myśli Canettiego dotyczące języka i literatury, które są ciągle obecne w jego zapisach z różnych lat i myślę, że najlepszą zachętą do przeczytania tej książki będzie przytoczenie właśnie kilku tego rodzaju cytatów:

„Na skraju przepaści kurczowo chwyta się ołówków.”; „Nieprzyjemnie jest w y - j a ś n i a ć zapiski, to zupełnie tak, jakby się z nich wycofywało.”; „Strach wywołują nie sprzeczności, lecz stopniowe pozbawianie ich mocy.”; „Tak niewiele pozostało z Heraklita, że zawsze wydaje się nowy.”; „Odwaga w powtarzaniu wciąż tego samego, aż nie będzie można już tego wykorzystać.”; „W literaturze ważne jest, że wiele

rzeczy zostaje przemilczane. Chodzi o to, żeby czuć, o ile więcej przemilczający wie, niż mówi, i że nie milczy z powodu ograniczenia umysłu, lecz z rozwagi.”; „Krócej, jeszcze krócej, aż pozostanie jedna sylaba, która powie wszystko.”; „Gdybyś więcej podróżował, wiedziałbyś mniej.”; „Słowa jako straż przednia.”; „Montaigne, powtarzający wciąż «ja». «Ja» jako przestrzeń, nie jako pozycja.”; „Najbardziej zaraźliwe w Biblii: chwała skoncentrowana na Bogu.”; „Nie sądzę, by ktokolwiek wiedział, czym są słowa. Ja również nie wiem, ale je c z u j ę , składam się z nich.”; „Bez n i e p o r z ą d k u czytania nie ma pisarza.”; „Być może najważniejsze jest s k r o m n e zadane pisarza: d a l e j p r z e k a z y w a ć t o , c o p r z e c z y t a ł.”; „To krótkie fragmenty, ale w każdym z nich jest oddech, znany z długich książek.”; „Rankiem, z pierwszym pianiem koguta, zaczyna od pojedynczych zdań, którym nie wolno w nic się połączyć.”; „Czy potrafisz znaleźć słowa, które po prostu wystarczą, nie obiecując niczego więcej?”; „Jedyny ratunek: życie innego człowieka.”; „Zdania, które już nie są jego zdaniem, to dopiero zdania.”; „Pesymiści nie są nudni. Pesymiści mają rację. Są zbędni.”; „Wieczór pełen ziół i zgryzot, za oknem czapla.”; „Nic nie wyjaśnij. Przedstaw to. Powiedz. Zniknij.”; „To, co człowiek zapisuje jako „ostateczne”, jest nim w najmniejszym stopniu. Ale to, co niepewne, może przelotne, trwa dzięki swoim brakom.”; „U Schopenhauera wspaniałe jest to, że określa go zaledwie kilka wczesnych rzeczy, których nigdy nie zapomniał i których nie pozwolił zniekształcić. Wszystko późniejsze jest niczym innym niż solidną dekoracją. [...]”; „Pisarz, którego sztuka polega na braku dystansu: Dostojewski.”; „U Arystotelesa najobfitsza w następstwa jest jego szczegółowość.”; „Kiedy wszystko pasuje do siebie, jak u filozofów, nic to już nie oznacza. Rani i liczy się to, co oddzielne.”; „Tak długo był sam, aż zaistniał.”; „Jak bardzo człowiek kocha i jak daremnie: to właśnie jest istota rzeczy.”; „Nie czytając Biblii, j e s t e ś w niej.”; „Dziesięć minut Lichtenberga i przychodzi mu na myśl wszystko, co od roku tłumił w sobie.”; „Jeszcze nigdy nie byłeś tak zwięzły, jak chciałbyś być.”; „Dickens należy do nieporządných pisarzy; wydaje się, że wśród wielkich tacy właśnie są najwięksi. Porządek w powieści zaczyna się od Flauberta, nie ma tam niczego nieprzespanego. Porządek osiąga doskonałość u Kafki. Jego oddziaływanie wiąże się również z tym, że ulegamy wielorakim porządkom, które trawią nasze życie; ich panowanie i przewagę czujemy we wszystkim, co pochodzi od Kafki. Ale ma on jeszcze oddech, który pozyskał z gorączki wyznań Dostojewskiego, i ten oddech jest tym, co ożywia jego porządki. Kafka dopiero wtedy będzie martwy,

kiedy te porządki się rozpadną.”; „Groza fragmentaryczności.”; „Wyrzeka się samego siebie i oddycha z ulgą. Nigdy już nie chce słyszeć o sobie.”

K.M.

Elias Canetti, *Tajemne serce zegara*, z języka niemieckiego przełożyła Maria Przybyłowska, seria Meridian pod redakcją Krzysztofa Czyżewskiego, Fundacja Pogranicze, Sejny 2007



W wolno postępującej edycji „Pism zebranych” Witolda Gombrowicza ukazał się tom drugi – *Ferdydurke* w solidnym polonistyczno-krytycznym opracowaniu profesora Włodzimierza Boleckiego: dwieście czterdzieści stron powieści i około sześćset stron „Dodatku krytycznego”, a w nim – według standardowych składników przyjętych w tej nowej edycji – jej zasady, geneza, próby i fragmenty powieści, odmiany tekstu, przypisy, studia nad tekstem, komentarze, materiały, wypowiedzi autora o *Ferdydurce*, indeksy i katalogi, bibliografia najważniejszych opracowań i przekładów oraz aneksy z filologicznymi porównaniami przekładów z oryginałem. Podstawowym założeniem tego tomu jest ostateczne ustalenie (w sensie filologicznym) tekstu powieści, który miał dwie różne polskie i dwie innojęzyczne wersje zaakceptowane przez autora i przedrukowywany był wielokrotnie z powtarzającymi się błędami.

Co znajduje się w środku? Przypisy zawierają nie tylko informacje filologiczne, objaśnienia nazwisk, tytułów, słów i zwrotów obcych, ale też liczne glosy i komentarze dotyczące zagadnień poetyki (m.in. stylistyki i kompozycji), interpretacji, stanu badań, recepcji, a także związków *Ferdydurke* z innymi utworami Gombrowicza oraz biografią pisarza.

W dziale pt. „Jak powstała *Ferdydurke*” znajdujemy pięć tekstów w pewien sposób inicjacyjnych dla tej powieści oraz pięć jej fragmentów-rozdziałów drukowanych m.in. w „*Skamandrze*”, a także rysunki Brunona Schulza. Przy okazji ciekawostka: to Aleksander Wat odrzucił *Ferdydurke* w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa i ukazała się w Wydawnictwie „Rój”. „Odmiany tekstu” rejestrują różnice między wydaniem krytycznym *Ferdydurke* (2006) a wydaniem autorskim powieści z lat 1956 (drugie wydanie) i 1937; jest tu m.in. zapis negocjacji autora i jego brata Janusza z PIW-em w osobach Jana Józefa Lipskiego i pana Jodełki (Gombrowicz drwi sobie

z tego nazwiska), poprawki pisarza wprowadzone w korekcie wydania 1956, a także jego bardzo meandryczną, dotyczącą nowych polskich wydań korespondencję z Jerzym Giedroyciem. Najciekawsze są rozbudowane „Przypisy, studia nad tekstem, komentarze, materiały” – ważne i cenne, ale zawierają także różne śmieszności z ducha profesora Pimki wzięte. Najpierw zostaje na sześciu stronach „wyjaśniony” tytuł (Ferdy Durkee z Babbita Lewisa, „ja, Ferdydurke”, czyli „ja, Gombrowicz” i różne inne dywagacje), a następnie omówione są kalambury, paronomazje, fałszywe etymologie i gry słowne, różnego rodzaju ferdydurkizmy, cytaty, kryptocytaty, powiedzenia, przysłowia, slogany, aforyzmy, sentencje, złote myśli, rozmyślenia, uwagi etc.

Znajdujemy tu wiele ważnych w świecie Gombrowicza, ale ciekawych i pomocnych dziś słów i zwrotów, na przykład: bieda = trud, fibra, chlęstek, fetowany, rozpięty pomiędzy wyższością i niższością, predestynowany, dystynkcja, drastyczny, efemeryda, przemożność, fidrygałki, przekabacić, gwałt przez uszy, cząstki, kardynalny, dzieckiem podszyty, bubek, awersja, kazić, pandemonium, obmierźle, degrengolada, szprynce, na udry, inwektywa, furda, do rozpuku, szmira, dżdżu, śmiać się w kułak, kindersztuba, fanaberie, komitywa, hulajgęba, chamidła, werbalistyka, woda na jego młyn. Wyjaśnienia są niekiedy bardzo szczegółowe i dokładne jak na przykład: „przybrał tony ... – tak w «Skamandrze» i we wszystkich wydaniach książkowych. Jednak liczba mnoga w tym miejscu zaskakuje. Zgodnie z konotacją czasownik «przybrać» konotuje rzeczownik w liczbie pojedynczej (mówi się «przybrać ton»), tym bardziej że mowa jest o «zajadłości» (w liczbie pojedynczej). Zajadłość wielotonowa”. Albo: „W a h a ł a s i ę j a k w a h a d ł o – kontaminacja dwóch znaczeń: fizycznego (wahadło się waha) i psychicznego (wahać się – mieć wątpliwości, nie być zdecydowanym). Pleonazm charakterystyczny dla stylu Ferdydurke”. Natomiast pimkowską śmiesznością jest, gdy profesor Jerzy Jarzębski twierdzi, że spór Filidor – antyFilidor odwzorowuje spór Naphty i Settembriniego z Czarodziejskiej góry, a doktor Janusz Margański podbija bębenka twierdząc, że w Filidorze dzieckiem podszytym Gombrowicz ostentacyjnie nawiązuje do dyskursu Kanta z Krytyki czystego rozumu – „dokładniej zaś do rozważań zawartych w podrozdziale drugim...” etc., a w innym miejscu scenę lekcji języka polskiego porównuje do odpowiednich fragmentów Syzyfowych prac (tak!).

K.M.

Witold Gombrowicz, *Ferdydurke*, „Pisma zebrane”, tom drugi, opracował Włodzimierz Bolecki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007

*

9. tom Archiwum „Kultury” wypełnia korespondencja Jerzego Giedroycia i Witolda Gombrowicza: na około siedemset czterdziestu stronach siedemset piętnaście listów z lat 1950–1969. Jeden z największych polskich współczesnych pisarzy i jeden z największych polskich redaktorów w niesamowitym intelektualnym zwarcu, w sieci natchnień i napięć, w jedynej w swoim rodzaju grze, która miała tak wielki wpływ na tak wielu. Giedroyc i Gombrowicz jakich nie znamy: w kontakcie, we współpracy i w sporze, osobno i w symbiozie; ich plany, taktyki, strategie, kalkulacje, przekonywania, zabiegi, opinie, sprawy. Tak jak i w Listach do rodziny mamy tu Gombrowicza od podszewki, a Giedroycia tak wyrazistego jak chyba w żadnej innej korespondencji.

„Doszła mnie wiadomość, że Pan zapytywał o mój adres; ja również od dawna pragnę skomunikować się z Panem” – tak, zdaniem Gombrowicza napisanym 26 V 1950 roku z Buenos Aires, zaczyna się ta korespondencja. „Bardzo się cieszę z nawiązania kontaktu” – odpowiada odwrotną pocztą Giedroyc i prosi o esej o życiu kulturalnym w Argentynie lub Ameryce Południowej. W tych listach Gombrowicz pisze głównie o sobie i o swoim dziele, a Giedroyc o „Kulturze” i o sprawach redakcyjnych, ale to się oczywiście świetnie uzupełnia. Gombrowicz, wtedy autor *nowel*, *Ferdydurke*, *Iwony i Ślubu*, był już jako pisarz zrobiony, chociaż ciągle jeszcze wiele miał do zrobienia: „Moja sytuacja dziś jest taka, że mogą mi pomóc tylko wypowiedzi krańcowo dodatnie – albo ujemne” – pisze w liście z 1951 roku. Giedroyc jest jak opoka – niezmienny, można spodziewać się, co powie i jak postąpi, ale przecież jest otwarty na Gombrowicza, uważnie na niego nastroszony i łaskawy dla niego. „Nie chcę niczego decydować bez porozumienia z Redaktorem w myśl poprzednich uroczystych oświadczeń moich – proszę zatem przekazać bez zwłoki swój punkt widzenia. Znając bystrość i trzeźwość Redaktora, nie wątpię, iż nie będzie SZTYWNY I FORMALISTYCZNY ten pogląd. Musimy godzić rozmaite sprzeczne elementy” – pisze Gombrowicz w gorącym październiku 1956 roku. Są między nimi duże napięcia, ale byłoby dziwne, gdyby ich nie było: w ich świetle widzimy, jaką obaj mają klasę i format.

Kto tu kogo wciąga do gry i jakiego rodzaju jest to gra? Gombrowicz wypełnia zamówienia Redaktora, nawet tłumaczy dla niego teksty, kombinuje, ironizuje, reklamuje (się), polemizuje, zabiega, przekonuje, wypytuje, wycofuje się i naciera z impetem. Ale Gombrowicz to jest pisarz i to, co mówi o Miłoszu: „to, co on pisze, jest nie tylko wysoce inteligentne, ale i stanowi wyraz jakiegoś procesu duchowego: to jest ważne” – stanowi niezmienny probierz w ocenie jakiegokolwiek pisarza. Albo w tym, co się pisze są: rozum, inteligencja, wartości i duch albo jest to „szewstwo”.

Znajdujemy tu wiele inteligentnych zdań Gombrowicza, które są ciągle aktualne, na przykład: „Každy sądzi książki, ludzi i problemy, jak mu na to pozwala jego zasięg moralny i intelektualny” (zwróćmy uwagę na kolejność!); „Te urzędasy zdają się nie rozumieć, że słowo jest dziś jedyną realną naszą siłą”; „«Pisarz»... no tak... «Pisarzem» można nazwać od biedy każdego, kto «pisze». Ale zgódźmy się, że pisarz z prawdziwego zdarzenia zaczyna się tam, gdzie się zdobywa rzeczywiste istnienie duchowe, zapewniające słowu istotny rezonans. Takich pisarzy mamy na emigracji, według moich przybliżonych i raczej optymistycznych obliczeń, pięciu lub sześciu” (a ilu „takich pisarzy” mamy obecnie? – według moich przybliżonych obliczeń raczej nie więcej... – przyp. mój K.M.); „Dla ludzi bardziej oświeconych literatura to jest treść; to jest to, co się pisze; to jest to, kim się jest; to sprawa żywa obcowania duchowego. Ale dla skryby literatura to przede wszystkim kwestia wydań, kontraktów, honorariów, debitu, słowem całego tego handelku, gdzie książka staje się przedmiotem, jak but”.

Gombrowicz był zarazem w fatalnej i w znakomitej sytuacji: żył w biedzie („W obecnej mojej sytuacji każdy grosz ma znaczenie”), był zarżnięty pracą w banku, ale miał talent, rozum, inteligencję, rozwijał się duchowo i miał Giedroycia i „Kulturę”, bez których, z czego sobie świetnie zdawał sprawę, nie zrealizowałby swoich celów. A jego główny cel to penetracja na Zachód. „Literatura, jak moja, natrafia na wielkie przeszkody i od tego są pisma literackie, aby ją propagować” – pisze w 1953 roku (w innym miejscu pisząc o tym, jak „Wiadomości” Grydzewskiego reklamują Lechonia, wykrzykuje: „Nienawidzę reklamy!”). Na naszych oczach powstaje Dziennik i widzimy, jak wielką rolę w jego powstaniu odgrywał Redaktor. „Pana Dzienniki są jak zawsze doskonałe, a nawet pasjonujące, ale ostatnie jakby słabsze od poprzednich. Boję się, że to wynika z tego, że Pan nie docenia tej formy. Jest ona przez wszystkich Gide’ów i Greenów tak zbanalizowana, że dopiero Pan pokazuje, co z tego można zrobić. Ta forma może być kamieniem węgielnym Pana sławy” – pisze Giedroyc w 1954 roku. „Mam nadzieję, drogi Redaktorze, iż nie będzie Pan spuszczał ojcowskiego oka swego z mych losów. Urodziłem się ponownie w literaturze ojczystej dzięki «Kulturze», więc teraz pilnujcie, abym nie skonał” – odpisuje Gombrowicz

i zapewnia nie raz: „Dziennik powstał właściwie dzięki «Kulturze», a nawet urodził się ze szczęśliwej inspiracji Redaktora”.

Oczywiście nie jest to ciągle taka sielanka: obserwujemy ostre tarcia i starcia między nimi, nieporozumienia, a nawet chwilowe zerwania i rozejścia: w tle pojawiają się Grydzewski i „Wiadomości”, Nowak-Jeziorański i RWE, a potem, w czasie tzw. odwilży, Iwaszkiewicz i PRL. Jest trochę winy Giedroycia, bo po pańsku zmienia on teksty Gombrowicza bez konsultacji z nim, przetrzymuje je długo, a potem nie drukuje po kolei. Widzimy hamowane i nie hamowane furie Gombrowicza z tego powodu i olimpijski spokój Giedroycia, chociaż i on niekiedy traci cierpliwość. Najostrejsze są właśnie zawirowania z 1956 roku, kiedy Gombrowicz wydaje swoje rzeczy w PRL-u i zbliża się z onnipotentnym Iwaszkiewiczem. „Podziwiam tyleż chorobliwy upór Redaktora, ile własną anielską cierpliwość wraz z pojednawczością” – pisze w tymże roku 1956, a wcześniej stwierdza: „Musimy jakoś pogodzić nasze interesy”. Jest to trudne, bo Gombrowicz nie jest lojalny wobec Giedroycia, niekiedy kręci, nie mówi prawdy i mąci już i tak zagmatwaną sytuację, co uważny czytelnik dobrze widzi. „Mam dużo wyrozumiałości, gdyż dobrze wiem, że gdyby oprócz talentu wymagać od pisarza charakteru, to literatura w ogóle by przestała istnieć” – pisze Giedroyc, na co Gombrowicz odpowiada: „Tobie doradzałbym trochę poczucia humoru, ale jako Litwin musisz, rzecz jasna, krew sobie psuć, znam się na Litwinach, sam będąc z litewskiej rodziny. Bóg z Tobą. Mój ojciec też był Litwin”. W innym miejscu Redaktor stwierdza: „Jak Pan zresztą widzi, nasza taktyka jest i bardzo realistyczna, i bardzo elastyczna od początku”. Pilnie obserwujemy ich urazy i mimo wszystko trwanie i współpracę, konflikty i jednak ich zażegnywanie. Na początku 1957 roku Gombrowicz proponuje przejście na „ty”, chociaż spory trwają nadal; Gombrowicz dalej jest nielojalny, a Giedroyc ani przez chwilę nie spuszcza z tonu: w 1963 roku następuje sześciotygodniowa przerwa w korespondencji, ale nie zrywają, bo żyć bez siebie nie mogą i w gruncie rzeczy dobrze do siebie pasują. „Mnóstwo ludzi na emigracji jeszcze nie wie, że jestem za granicą uważany za NAJWIĘKSZEGO PISARZA POLSKIEGO. Po cóż ukrywać ten fakt, przecież interesujący? PO CO? I Tobie będzie lżej, gdy ludzie się dowiedzą. Ha, ha, ha!” – pisze Gombrowicz, a Giedroyc odpowiada: „Pozdrowienia dla NAJWIĘKSZEGO PISARZA POLSKIEGO” i Gombrowicz ciągnie dalej: „Zauważ, że nie jest wcale powiedziane, obiektywnie biorąc (ja w tych rzeczach jestem b. ostrożny), czy nie jestem dzisiaj nie NAJWIĘKSZYM PISARZEM POLSKIM, a ŚWIATOWYM. Ferdy i inne moje rzeczy ani na 20% zostały dotąd zasymilowane i możliwości są rzeczywiście niezmierzone, czas to pokaże.

Otóż gdybyś, mając na stajni NAJWIĘKSZEGO W ŚWIECIE, tej gratki należycie nie wykorzystał, to sam powiedz, cóż z Ciebie byłby za Redaktor?”. Proszę sprawdzić numery „Kultury” z tamtego czasu, jaka była reakcja Redaktora. W 1963 roku Gombrowicz znowu podbija bębenka i pisze: „nie wiem, jakie jest Twoje zdanie, ale wg mnie już wyskoczyłem na Mickiewicza N. 2 i nie ma co tego trzymać pod korcem”. „Drogi Wieszczu”, zaczyna swój list Redaktor.

Gombrowicz wraca do Europy, nawet chce osiąść w Maisons-Laffitte, snuje różne plany, choruje, staje się religijny, co irtuje Giedroycia, który ciągle podkręca go politycznie, przed czym pisarz dzielnie się broni (tu: widzimy wyraźnie jego strategię). I ostatnie akordy: nasilająca się choroba Gombrowicza, jego krótki list przedostatni i dyktowany list ostatni, na który Giedroyc odpisuje, kończąc pytaniem: „...czy dostanę coś od Ciebie?”. Przychodzi telegram od Rity z wiadomością o śmierci pisarza i o pogrzebie; i na koniec list Izy Neyman do Zofii Hertz relacjonujący ostatnie godziny i chwile Gombrowicza.

W Aneksie znajdują się dwa fragmenty Dziennika oraz przedmowa Gombrowicza do francuskiej edycji Pornografii.

Jakże dzisiaj przydałby się nam i Giedroyc i Gombrowicz! Ale czy nie jest to marzenie ściętej głowy?

K.M.

Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, Listy 1950–1969, wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Archiwum „Kultury”, tom 9, Czytelnik, Warszawa 2006



Znali się od 1916 roku i ich współpraca i przyjaźń trwała, przechodząc różne fazy, czterdzieści lat, a w tym na około dwadzieścia lat przypada ich korespondencja. Niestety prawie wszystkie listy z okresu dwudziestolecia międzywojennego, na które przypada kulminacja pisarskiej kariery Lechonia, uległy zniszczeniu w czasie wojny (zachował się tylko jeden jego list i trzy listy Grydzewskiego), a i potem mamy różne wyrwy i luki w tej korespondencji, o której ciekawie opowiada w słowie wstępnym Beata Dorosz.

Bywało, że Grydzewski jako redaktor pisał od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu listów dziennie i można powiedzieć, że i on i Lechoń byli namiętnymi korespondentami: tu mamy 248 listów Lechonia pieczołowicie zrekonstruowanych z prawie nieczytelnych rękopisów, o czym świadczą zamieszczone faksymilia i 227 listów Grydzewskiego. Listy Lechonia to obok wierszy i prozy oraz trytomowego

Dziennika trzecie główne źródło dotyczące jego życia i twórczości. Grydzewski był jedną z najważniejszych osób w jego życiu: Lechoń pisał do niego do końca, i chociaż w ostatnim roku krótko, to jednak często; ostatni list napisał w kwietniu 1956 roku, czyli na niespełna dwa miesiące przed śmiercią, podpisując się: „Twój wierny Kolega Serafinowicz”.

Jaki z tych zapisów wyłania się Lechoń? Człowiek inteligentny i utalentowany, chociaż jakby zamknięty w kilku pasmach i jednak człowiek rozbity; pewnie z tego rozbicia i zablokowania brały się: jego małość i małostkowość, zawiść, głupie, a niekiedy chamskie opinie i sądy o innych pisarzach podbarwione relacjami i anegdotami o charakterze towarzysko-obyczajowym, czy na przykład oceny kręgu paryskiej „Kultury”. Ale był to na pewno wybitny poeta i dlatego nas tak ciekawi i smuci. W każdym razie nie mogą nie mieć dystansu do kogoś, kto wymyślił i bardzo lubił „zabawę w drania”, która odbywała się w kawiarni i polegała na ostrej krytyce ustalonego z góry kandydata, to jest po prostu mówieniu o kimś jak najgorzej; „Jak się o kim źle pogada, to się człowiekowi robi źle na duszy” – mówił. Pamiętamy, jak w Dzienniku prawie o wszystkich pisał tylko źle i bardzo źle. A ja nie chcę źle pisać o Janie Lechoniu.

M.W.

Mieczysław Grydzewski, Jan Lechoń, Listy 1923–1956, tom 1 i 2, z autografu do druku przygotowała, wstępem i przypisami opatrzyła Beata Dorosz, Biblioteka „Więzi”, tom 197, Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2006



W czterdziestu pięciu zamieszczonych w tym tomie wspomnieniach rysuje się sylwetka Lechonia. Teksty ułożone są w miarę możliwości chronologicznie, opisują kolejne okresy w życiu poety, które można by nazwać: początek, okresy – warszawski, paryski i nowojorski, i końcówka. Tragiczna, nieszczęśliwa postać. Wyrzucony z ojczyzny, nigdy już do niej nie wrócił, chociaż do końca wierzył, że wróci do Polski i żył tą nadzieją. W PRL-u był prawie nieobecny. Tu wspominają go między innymi: Zygmunt Serafinowicz (brat), Grydzewski, Iwaszkiewicz, Wierzyński, Słonimski, Józef Wittlin, Paweł Hertz.

Kim był i jaki był? Ktoś inny; podobny do albatrosa; świetny kompan i samotnik, snob, złośliwy i inteligentny, utalentowany, zakochany w poezji (znał na pamięć dziesiątki polskich i nie tylko polskich wierszy), depresyjny; „bardzo nieuchwytny gość” (Iwaszkiewicz); „jeden z najświetniejszych

polskich poetów" (Słonimski), chociaż słabością były jego związki z Młodą Polską; „bardzo mały człowiek" (Iwaszkiewicz); hipochondryk i neurotyk; jasny i ciemny, pełen zadr i sprzeczności. Toczyła się w nim walka Dobra i Zła; gnieździły się w nim różne demony i raz dobre, a raz złe dawały sobie folgę. „Wiem, że gdybym uspokoił się i zaczął, zmusił do pisania – inne rzeczy też by się ułożyły" – zapisał w Dzienniku w roku swojej śmierci. Uwagę zwraca relacja Wacława Solskiego z ostatniego dnia życia Lechonia. W dzień śmierci o siódmej rano poeta zatelefonował do niego i zapytał: „ – Proszę mi powiedzieć, czy pan wczoraj widział nad moją głową błękitny płomyk?". Nie otrzymawszy odpowiedzi, za kilka minut zadzwonił ponownie i Solski podaje przebieg (dosyć przerażającej, chociaż prowadzonej jakby na luzie) ostatniej swojej rozmowy z poetą.

Widzę bezsilę tych literackich wspomnień – każdy czy prawie każdy wystawia w nich przy okazji, a niekiedy i bez okazji, siebie, wyzłościwia się, wydziwia, przechwala lub zamazuje i robi się z tego wiele mgły, chociaż jednak przecież ktoś (coś) z tej mgły prześwituje, zarysowuje się i ukazuje wyraźnie.

M.W.

Wspomnienia o Janie Lechoni, zebrał i opracował Piotr Kądziera, Biblioteka „Więzi", tom 193, Towarzystwo „Więź", Warszawa 2006



Punkt wyjścia (Ansatz) zwany także punktem zaczepienia lub zarodkiem (Ausgangspunkt oder Ansatz) – to jeden z podstawowych terminów Ericha Auerbacha. „Za punkt wyjścia może posłużyć wszystko, co charakterystyczne", mówi Auerbach i dodaje: „Niemał idealnym punktem wyjścia jest interpretacja ustępów tekstu". Wielkie tematy można omawiać jedynie przez redukcję do wyspecjalizowanych punktów wyjścia.

Język literacki i jego odbiorcy w późnym antyku łacińskim i średniowieczu – ostatnie dzieło Ericha Auerbacha (1892–1957) – jest szczególnym uzupełnieniem do *Mimesis*. Jest to książka niedokończona i fragmentaryczna; znajdujemy w niej między innymi frapujące ujęcie procesu przejścia od literatury antyku do średniowiecza, syntezę rozwoju wczesnośredniowiecznej prozy oraz obraz kształtowania się literatury chrześcijańskiej na Zachodzie. Jej dominującym tematem jest *sermo humilis* – styl historii Jezusa i chrześcijańska forma wzniosłości.

Auerbach zaczyna od świętego Augustyna – od niesamowitego fragmentu jego kazania, w którym mówi, że jesteśmy przywiązani do grzechu, tak jak jesteśmy przywiązani do ciała: „Wróć do siebie, popatrz w siebie: to ty sam jesteś zły. Kiedy więc Bóg uwolni cię od ciebie samego, wtedy zbawi cię od złego”. Jest to jedna z najtrudniejszych nauk chrześcijaństwa. Jak o tym mówić, jak rozważać te tak trudne, najtrudniejsze sprawy?

Starożytni wyróżniali trzy poziomy stylu: wzniosły, średni i niski oraz ich różne mieszaniny. Ten był wymowny, który, jak twierdził Cycero, „potrafi to, co małe, powiedzieć skromnie, to, co średnie, umiarkowanie, to, co wielkie, podniosłe”. Ale Chrystusowe Objawienie, które jest niezmiennie tematem chrześcijańskiego mówcy, nigdy nie jest tematem średnim czy niskim. Nawet mówiąc o rzeczach małych, takich jak na przykład kubek chłodnej wody, zawsze wypowiadamy się na jeden wielki temat. U Augustyna zasada trzech stylów ma za podstawę jedynie aktualnie realizowany cel (uczyć, zganić lub pochwalić, nakłaniać), dlatego trójpodział rodzajów ekspresji jest w praktyce bezwartościowy.

Humilis – w dosłownym znaczeniu niski, nisko leżący, mało wyrośnięty; słowo to często wskazuje na porządek hierarchiczny, chociaż nie zawsze używa się go w sensie negatywnym, bo na przykład skromność, mądre umiarkowanie, posłuszeństwo, pobożna uległość mieszczą się w jego sferze znaczeniowej. Z uwagi na to, że termin humilis oznaczał niskość, stał się jednym z najczęstszych określeń stylu niskiego: *sermo humilis*; z drugiej strony humilis stał się najważniejszym przymiotnikiem na określenie inkarnacji – znika jego pejoratywność, a czynnik pozytywny, w literaturze pogańskiej rzadki i pozbawiony mocy, staje się w nim wiodący (tu: pokora wcielenia, które jest lub może być dobrowolnym upokorzeniem). „Pokora wcielenia uzyskuje w ogóle swój pełny ciężar dopiero poprzez przeciwstawienie jej Boskiej naturze, co tworzy paradoksalną, podstawową antytezę nauki chrześcijańskiej: człowiek i Bóg, niski i wzniosły, humilis et sublimis; obaj w niepojętej, niezmierzonej głębi i wysokości: *peraltissima humilitas*.” Jest jeszcze humilitas Pisma Świętego, czyli wzniosłość w „niskości” stylu Biblii; to, co ukryte, przedstawione jest w sposób „niski” („Niskość lub skromność wykładu jest jedynie możliwą, jedynie stosowną formą, w jakiej można ludziom uprzyścić tak podniosłe misteria”). Niski styl Pisma Świętego (humilis) ma w sobie wzniosłość; wspólny mianownik tego stylu stanowi pokora. Antytezy są ważnym składnikiem stylu biblijnego (święta wzniosłość akcji powstaje z codzienności), nadają mu narracyjną i realistyczną moc. Łączący się z tym motywem jest również ważny motyw gloria passionis, opisany w Ekskursie. Passio staje się przeciwie-

stwem ratio. Arystotelesowski złoty środek zastępuje gloriosa passio z żarliwej miłości do Boga. Pasja – jak mirra – jest gorzka i uzdrawiająca. „Wszystkie chrześcijańskie myśli, w szczególności wszelkie wyobrażenia mistyczne poruszają się pomiędzy biegunami przeciwieństw”, mówi Auerbach i dodaje: „Tym, co w moim mniemaniu stworzyło z mistyki pasyjnej passio jako namiętność, jest pogłębienie jej znaczenia «cierpienie» w biegunowo przeciwnym sensie, w którym może ono jednocześnie oznaczać zachwyty i ekstazę – a zatem to, co Eckhart nazywa inhitizge minne [płomienną miłością]”.

W drugim rozdziale Auerbach omawia prozę łacińską wczesnego średniowiecza, a w trzecim porównuje fragment Eneidy z jej opracowaniem autorstwa dwunastowiecznego poety francuskiego, próbując przedstawić schyłek wysokiego stylu antycznego i jego odrodzenie w zmienionych warunkach. W czwartym rozdziale dotyczącym odbiorców europejskich i ich języka pisze między innymi o Dantego zwracaniu się do czytelnika oraz omawia rolę i wpływ mistyki Mistrza Eckharta.

K.M.

Erich Auerbach, *Język literacki i jego odbiorcy w późnym antyku łacińskim i średniowieczu*, przełożył Robert Urbański, Wydawnictwo Homin, Kraków 2006



Trudno przecenić znaczenie tej książki, zwłaszcza dzisiaj, w czasach rosnącego zainteresowania religiami Dalekiego Wschodu, któremu równocześnie często ze strony przedstawicieli Kościoła towarzyszy pewna podejrzliwość, niechęć czy nieufność oraz skłonność do daleko posuniętej ostrożności wobec tych, którzy szukaliby we wschodniej duchowości inspiracji dla własnego życia. Postawa o. Jacka Bolewskiego SJ wyraźnie i zdecydowanie odbiega od tej, zasygnalizowanej powyżej i zidentyfikowanej jako najbardziej typowa dla reprezentantów wąsko i zgoła fundamentalistycznie pojmowanego chrześcijaństwa. Daleki Wschód na Zachodzie stanowi niezwykle erudycyjny i cenny wkład na rzecz zbliżenia pomiędzy chrześcijaństwem a duchowymi i religijnymi tradycjami Wschodu – w ich różnych postaciach oraz szczególnie nośnych wątkach. Stanowi zarazem przykład rozumnego i wyważonego stosunku chrześcijanina, świadomego wagi i niepowtarzalności zbawczego orędzia Chrystusa, wobec odmiennych tradycji religijnych, w których – bez sprzeniewierzenia się własnej wierze – dostrzega przejawy autentycznej mądrości i działania Bożego Ducha – rozlanego w sercach wszystkich, nie tylko chrześcijan. Za najważniejszą wspólną płaszczyznę uznaje Jacek Bolewski SJ sferę doświadczenia religijnego oraz – co ważne – duchowej praktyki, prowadzącej do

iluminacji, przeżycia jednoczącego, w którym podmiotowi doznającemu dana jest intuicja pierwotnej jedności wszystkiego. Doświadczenie to – nazwałabym je źródłowym – jawi się jako konstytutywne dla każdego przeżycia mistycznego, niezależnie od kulturowych i religijnych uwarunkowań podmiotu. Autor podkreśla przy tym odmienność i nieprzystawalność do siebie dwu rzeczywistości: samego doświadczenia religijnego oraz opisu tegoż doświadczenia, ujmowanego zawsze w kategorii wypracowane na gruncie konkretnej religii. Daleki Wschód na Zachodzie jest zatem nie tylko gruntownym i poniekąd porównawczym studium teologiczno-antropologicznym takich kwestii jak reinkarnacja, pustka, jedność w ujęciu „wschodnim” i „zachodnim”. Jest nie tylko dyskursem polemicznym – tak względem fundamentalistycznych i wąsko pojmowanych interpretacji tychże zagadnień w opisach teologii zachodniej, a także – nierzadko – wobec przywoływanych i opisywanych wschodnich tradycji. W głównej mierze pozostaje przecież książką o spotkaniu w drodze, spotkaniu ludzi podążających za tym, co rozpoznali jako Prawdę. Dyskurs naukowy, poznawczy łączy się tu więc i przechodzi w przekaz duchowy – i to wydaje mi się osobiście najcenniejszą wartością omawianej pozycji.

Problematyką dialogu międzyreligijnego oraz duchowością Dalekiego Wschodu autor zajmuje się od dawna, czemu dał wyraz już w poprzedniej publikacji, penetrującej – w głównej mierze – obszar tradycji buddyjskiej i hinduistycznej. Myślę o wydanej w 1993 roku i niedawno wznowionej książce pod wiele mówiącym tytułem *Nic jak Bóg*. Te dwie pozycje dzieli kilkanaście lat, podczas których zmienił się i uległ pewnemu przeorientowaniu oraz modyfikacji charakter „wschodnich zaangażowań” autora. W obydwu stosunek Bolewskiego do dziedzictwa duchowego Dalekiego Wschodu dałoby się określić najkrócej jako krytyczną fascynację; przy czym we wcześniejszym tytule akcent padałby raczej na „fascynację”, w najnowszej zaś książce przesunąłby się w stronę krytycyzmu, zawsze jednak przyjaznego i otwartego na spotkanie oraz dialog, uznane przezeń za najistotniejsze we wzajemnych odniesieniach. Obydwie publikacje dzieli także przyjęta w każdej z nich metoda przybliżania tematu. *Nic jak Bóg* proponuje spotkania z konkretnymi postaciami, w których życiu i doświadczeniu duchowym uwidoczniają się cechy charakterystyczne dla tradycji wschodnich. Daleki Wschód na Zachodzie przynosi ujęcie problemowe, obejmujące najistotniejsze i zarazem najbardziej sporne kwestie teologiczno-filozoficzne, powracające w dialogu międzyreligijnym i ujawniające różnice w rozumieniu pojęć oraz sposobie myślenia tak o rzeczywistości jak i o zagadnieniach eschatologicznych i metafizycznych. Obie książki dopełniają się wzajemnie, tworząc bogatą treściowo i duchowo całość. Mogą więc być pomocą jako merytoryczne kompendium wiedzy o „miejscach wspólnych”

oraz różnicach w obu opisywanych obszarach tradycji. Przede wszystkim jednak obydwie pozycje prowadzą czytelnika na ścieżkę duchowego rozwoju, odsłaniając jednocześnie tajemnicę osobistej drogi autora – ku Jednemu.

Z.Z.

Jacek Bolewski SJ, Daleki Wschód na Zachodzie, Wydawnictwo WAM, Kraków 2006

✱

1983 rok, czyli Rok 6 – Droga przez rok święty. Pielgrzymki apostolskie do Włoch, USA, Korei Południowej, Papui – Nowej Gwinei, Wysp Salomona, Tajlandii, Szwajcarii, Kanady, Hiszpanii, Dominikany i Santo Domingo. Kalendarz ludzi i kultur. Liczne spotkania, w tym jak zawsze z rodakami, z chorymi i z dziećmi; dramatyczna rozmowa z Ali Agcą. Fotografie i słowa Ojca Świętego – widzimy, jak to biblijne, papieskie i pielgrzymie słowo żyje: w liturgii, w człowieku, w świecie.

Rok 7 – rok 1984. Tu oglądamy pielgrzymki apostolskie do Włoch, Ameryki Łacińskiej, krajów Beneluksu, Afryki i Lichtensteinu. Papież naucza i katechizuje – w centrum jego nauczania i katechezy nieustannie są Jezus Chrystus i Maryja. Widzimy liczne audiencje i spotkania następujące w rytmie roku liturgicznego. Wiele pięknych kolorowych fotografii portretowych i pokazujących papieża w akcji, w różnych sytuacjach.

M.W.

Rok 6. Fotokronika. Droga przez rok święty, Rok 7. Fotokronika. Pasterz biednych i bogatych, słowo Jan Paweł II, fotografie Arturo Mari, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2007

✱

Katedry – domy Boga, ośrodki władzy i organizacji kościelnej – to w Europie najczęściej budowle gotyckie, chociaż także i romańskie; pierwszy gotyk, zwany katedralnym, wywodzi się z Francji, z podparyskiego benedyktyńskiego opactwa Saint-Denis z lat 1135–1144. Znakomity poczet polskich katedr zawiera cenny album Adama Bujaka – cztery najstarsze i najważniejsze: gnieźnieńska – od 1000 roku archikatedra metropolitalna, jedna z najstarszych świątyń w Polsce, krakowska na Wawelu – symbol, najdostojniejsza polska katedra, wrocławska i poznańska oraz wszystkie inne, w tym katedra toruńska – jedna z najznakomitszych budowli gotyckich w Polsce i jeden z największych kościołów halo-

wych w Europie (z pięćdziesięciodwumetrową wieżą). Dzięki artystycznemu kunsztowi Adama Bujaka obserwujemy skalę i żywe piękno polskich katedr, wzniesionych z wiary, z ducha i z kamieni, ich potęgą i moc.

M.W.

Adam Bujak, Katedry polskie, słowo wstępne ksiądz infułat Stanisław Bogdanowicz, kompozycja wydawnicza i grafika Leszek Sosnowski, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2007



Jako dodatek do Wierszy wybranych Zbigniewa Herberta wydanych przez Wydawnictwo a5 – płyta CD, na której Herbert czyta wiersze swoje i ulubionych poetów. Nagrania dokonano 8 maja 1998 roku, czyli na niespełna trzy miesiące przed śmiercią, w mieszkaniu poety w Warszawie. Tak to wspomina Katarzyna Herbertowa: „Zbigniew Herbert ciężko chorował na niewydolność oddechową. Mówił zaledwie szeptem. Jednak zgodził się na nagranie wierszy. Powiedział: «teraz albo nigdy». Nagranie trwało przez cały dzień z małymi przerwami. Był to akt wielkiego wysiłku, ale również świadomość, że musi zostawić ten ostatni raz swój głos dla tych, którzy nie przestają go słuchać i czytać. I Bóg przywrócił mu głos, aby mógł nagrać tę płytę”.

Herbert z trudem i z wysiłkiem przez ponad godzinę czyta wiersze w swoim własnym wyborze i układzie i jest to wielkie przeżycie – uczestnictwo w tym obrzędzie, bo jest to obrzęd, w którym poeta jest jak guślarz, który wypowiada zaklęcia. „Raz, dwa, trzy...” – od takiej próby zaczyna i potem następuje dwadzieścia wierszy własnych, a wśród nich między innymi: Prolog (na początku), Postój, Raport z obłąkanego Miasta, Przesłanie Pana Cogito i Potęga smaku (na końcu). Potem brzmią trzy, a właściwie dwa wiersze trzech poetów, których nazywa swoimi patronami: Przed snem Gajcego, Bema pamięci żałobny rapsod Norwida i tylko trzy pierwsze wersy Sowińskiego w okopach Woli – „i broni się...” – tak kończy. Cały czas czyta z trudem i wysiłkiem, niekiedy z wyraźnym napięciem i patosem, mocno wymawiając i akcentując wersety i poszczególne słowa; niektóre słowa „gubi”, niektóre wiersze krótko komentuje. Do płyty dołączone są: autograf Czarnej róży z rysunkiem autora, portret Herberta oraz komentarz Tomasza Burka zatytułowany W te dni przedostatnie.

M.W.

Zbigniew Herbert czyta swoje wiersze, płyta CD, wybór i układ wierszy: Zbigniew Herbert, muzyka: Ewa Kornecka, fotografia: Isolde Ohlbaum, Radio Kraków S.A., Wydawnictwo a5, Kraków 2007



Światowa encyklopedia filmu religijnego – obejmująca okres od pierwszych ekranizacji w 1897 roku aż po rok 2006 – to praca zbiorowa czterdziestu siedmiu autorów, pierwsze tego typu opracowanie na świecie, zbudowane z 1700 haseł rzeczowych i osobowych zawierających między innymi omówienia religijnych filmów fabularnych i dokumentalnych, sylwetki reżyserów i aktorów, a także bohaterów tych filmów. Na 656. stronach ponad 1200 kolorowych ilustracji, indeksy, przejrzysta grafika umożliwiające szybkie znalezienie informacji. Film i religia, duchowość w filmie, przybliżanie Tajemnicy za pomocą obrazu i dźwięku i to nie tylko w chrześcijaństwie, ale i w innych religiach świata, to są ciekawe tematy, chociaż i tak nie wyjaśnią i nie rozstrzygną, jak oddzielać w dziele sztuki to, co jest religijne, od tego, co religijne nie jest, a już szczególnie dotyczy to dzieł wybitnych i najwybitniejszych, tak jak i w historii każdej innej dziedziny sztuki.

M.W.

Światowa encyklopedia filmu religijnego, pod redakcją ks. Marka Lisa i Adama Garbacza, wstęp Krzysztof Zanussi, Biały Kruk, Kraków 2007



Druga część III tomu Historii Torunia obejmuje lata 1920–1945. Toruń w styczniu 1920 roku został przejęty przez wojsko i władze polskie i był przez cały okres Drugiej Rzeczypospolitej stolicą województwa pomorskiego, jednym z najważniejszych miast Polski północnej. Potem nastąpił krach wojny i od 7 września 1939 roku okupacja hitlerowska – do styczniowo-lutowej Bitwy, w której miasto zostało prawie bez zniszczeń tego, co w jego architekturze było najcenniejsze, zdobyte przez wojska polskie i radzieckie. Ćwierć wieku burzliwej historii – czas wypełniony ważnymi wydarzeniami został wiernie odtworzony w ponad osiemsetstronicowym tomie zaopatrzonym w fotografie, plany i ilustracje. Opisane zostało społeczeństwo miasta, życie kościoła, organizacja wojska i samorządności, życie gospodarcze i polityczne, oświata. Szczególnie ciekawe są rozdziały ukazujące przemiany w układzie przestrzennym i w architekturze. W rozdziale XIII Bogusław Mansfeld opisuje najważniejsze budowle, które powstały w tamtym czasie, ich stylistykę i rolę. Szczegółowo opisane zostało życie kulturalne i literackie. W Toruniu, czyli w krainie literackiej Beocji, przed wojną mieszkali okresowo m.in. Roman Ingarden, Artur Górski, Sta-

niśław Przybyszewski, a w pensjonacie pani  uławskiej na ulicy Bydgoskiej bywał

Stanisław Ignacy Witkiewicz.

M.W.

Historia Torunia. W czasach Polski Odrodzonej i okupacji niemieckiej (1920–1945), pod redakcją Mariana

Biskupa, tom III, część II, Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego w Toruniu, Toruń 2006

K O M U N I K A T

XXI Ogólnopolski Konkurs Poetycki

O liść konwalii

im. Zbigniewa Herberta

Regulamin

1. Organizatorem konkursu jest Urząd Miasta Torunia oraz Centrum Kultury Dwór Artusa w Toruniu.
2. Konkurs ma charakter otwarty. Mogą w nim uczestniczyć autorzy nie zrzeszeni oraz członkowie związków twórczych.
3. Warunkiem uczestnictwa w Konkursie jest nadesłanie trzech egzemplarzy maszynopisu maksimum pięciu utworów poetyckich na adres: Centrum Kultury Dwór Artusa, Rynek Staromiejski 6, 87-100 Toruń (tel./fax (0-56) 655-49-29, 655-49-39) z dopiskiem na kopercie Konkurs Poetycki.
4. Tematyka i forma prac jest dowolna.
5. Prace konkursowe należy opatrzyć godłem powtórzonym na zaklejonej kopercie zawierającej imię, nazwisko oraz adres i numer telefonu autora.
6. Utwory zgłoszone do Konkursu nie mogą być wcześniej publikowane.
7. Powołane przez organizatorów jury dokona oceny nadesłanych prac oraz przyzna nagrody i wyróżnienia.
8. Pula nagród wynosi 6 000 zł.
9. Organizatorzy zastrzegają prawo do prezentacji i publikacji nagrodzonych i wyróżnionych utworów.
10. Termin nadsyłania prac mija z dniem 15 września 2007 roku.
11. Konkurs rozstrzygnięty zostanie w listopadzie 2007 roku, podczas XIII Toruńskiego Festiwalu Książki.
12. Na uroczystość zakończenia konkursu laureaci zostaną zaproszeni na koszt organizatorów.